ZA KULISAMI ZJEDNOCZONEJ PRAWICY

Wicepremier Gowin chce bronić klasy średniej. Nawet przed PiS

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 39/341 23–29 WRZEŚNIA 2019

Nie jestem wielbłądem – Terlikowski odpowiada Tekielemu

SZUKAJ EGZEMPLARZA Z PORUSZAJĄCYM FILMEM FABULARNYM O LOSACH ŚW. PIOTRA

Jaruzelska kontra Czarzasty

ZBIGNIEW ZIOBRO ODSŁANIA KARTY

Minister sprawiedliwości w rozmowie z Cezarym Gmyzem: o kulisach reformy sądów, walce z mafiami VAT-owskimi i aferze hejterskiej

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 39 >

Nakład: 77 tys. egzemplarzy

NA KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

ZAPRASZA MECENAS

ORLEN

WARSZAWA

9 GRUDNIA 2019 r.

TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA

eprasa.pl 74272a8403

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Żal mi Kanadyjczyków

Czasem aż trudno się połapać, który ze światowych liderów lewicy zasługuje na wyróżnienie, któremu należy się pierwsza nagroda za walkę z upiorami faszyzmu, populizmu, rasizmu, ksenofobii, który najbardziej przysłużył się światowemu postępowi, równości, egalitaryzmowi, walce z dyskryminacją i nierównościami. Kandydatów jest wielu, wyścig trudny do wygrania. Co ciekawe, na tle globalnych tuzów progresu polscy kuzyni bledziutko i niewyraźnie wypadają, słabowici jacyś i bez polotu się okazują. Jeśli już któremuś, tak jak Pawłowi Rabiejowi, wymsknie się, że pary panów i pań powinny mieć prawo do adopcji dzieci, to nim się człowiek zorientuje, wycofuje się, zaprzecza, kręci. Żadnych prawdziwych przekroczeń, żadnych wielkich aktów samopotępienia. Luminarze z Zachodu muszą, obawiam się, patrzeć na polskich lewicowców z poczuciem wyższości, może z odrobinką litości.

Tam naprawdę trzeba się postarać, żeby na poklask opinii światowej czymś nowym, oryginalnym, prawdziwie postępowym zasłużyć. Pokazują to losy premiera Kanady, Justina Trudeau, który od lat o miano największego lewicowca zabiega. Ostatnie dni znowu pokazały, że zasługuje on na palmę pierwszeństwa. Nie dość, że ciągle podczas przemówień płacze, przeprasza, kaja się za całe zło świata, okropnej cywilizacji białego człowieka wypiera, to jeszcze pięknie potrafi się od siebie samego, od własnej przeszłości odciąć i samokrytyki dokonać. A w chwili, kiedy zaczął on publicznie skruchę wyrażać za to, że kilkanaście lat temu przebrał się podczas zabawy studenckiej za ciemnoskórego, uznałem, iż wielkość tego męża jest nie do zakwestionowania. Nigdy bym nie wpadł na to, że za coś takiego można przepraszać. A tu proszę, pan Trudeau pokazał, że można. Że trzeba. Że należy.

Ja na przykład, przyznaję to z bólem i płaczem, w latach młodzieńczych bardzo lubiłem przebierać się za Indianina. Ba, z kolegami ganiałem po polach i lasach, urządzając zasadzki i organizując pułapki na blade twarze. Straszne, nieprawdaż? Iluż to Polaków w tym strasznym procederze udział brało? Nie waham się stwierdzić, że były to setki tysięcy. Tak, setki tysięcy polskich małych rasistów przebierało się za Indian i udawało czerwonoskórych! Tak samo zdarzało się, choć rzadziej, że ludzie przebierali się za Murzynów, czego doskonałym przykładem był upozorowany na czarnoskórego aktor w „Alternatywach". Teraz wychodzi na to, że wszyscy byli pełni uprzedzeń, co uwidocznił premier Kanady!

A tak na poważnie myślę sobie, że żal mi Kanadyjczyków. Nie mam nic przeciwko Kanadzie, ale jak można było wybrać sobie na przywódcę państwa postać tak żałosną i groteskową jak pan Trudeau? Jak można tyle lat znosić jego pajacowanie, ba, chlubić się nim, wręcz je popierać? Ach, jak marzy mi się sytuacja, w której jakaś wielka gazeta (w tym przypadku był to „Time") pokazuje zdjęcie przebranego premiera Kanady, a ten zamiast przepraszać za rzekomy rasizm i niestosowność swego zachowania, śmieje się i wzrusza ramionami. Zamiast ulegać idiotyzmowi politycznej poprawności, po prostu ma odwagę zachować się normalnie. Nie płaszczy się ani nie jęczy, ale zachowuje godność. Cóż, wiem, że to niemożliwe. W przyszłości takich Trudeau będzie więcej i więcej. Na szczęście wciąż to jeszcze daleko od Polski. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 74272a8403

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ
USIŁUJEMY WYZWOLIĆ WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI
Bezpieczeństwo obywateli, a nie komfort dla przestępców

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ALFABET MIJAJĄCEJ KADENCJI
Zanim pójdziemy wybierać

28 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
WZROST PŁACY MINIMALNEJ TO NIE „SOCJAL"

32 PIOTR SEMKA
LEWICA MA DUŻY APETYT

36 KAMILA BARANOWSKA
LEWICOWA TELENOWELA

38 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIELKA FRUSTRACJA

40 MACIEJ PIECZYŃSKI
WUNDERWAFFE POLSKIEJ POLITYKI HISTORYCZNEJ

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
GWIAZDY W SIODLE

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
TOWARZYSZE BRONI
Polskie kino historyczne

47 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
ŚWIAT BEZ BOGA TRACI SENS

50 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SŁOWO MIARY WŁAŚCIWEJ

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ZDRADA, WSPÓLNOTA I UDOWADNIANIE, ŻE NIE JESTEM WIELBŁĄDEM
Terlikowski odpowiada Tekielemu

62 MARIUSZ STANISZEWSKI
PLATFORMA OBYWATELSKA SIĘ WYCZERPAŁA

64 ŁUKASZ WARZECHA
WZIĄĆ GRETĘ ZA KOŁNIERZ

HISTORIA

68 PIOTR KOŚCIŃSKI
CZOŁGI NA ORZESZKOWEJ!
Jak broniło się Grodno

71 DODATEK CZĘŚĆ II: HEKATOMBA POLAKÓW 1937–1953
ZBRODNIE NIEMIECKIE

ŚWIAT

88 WITOLD REPETOWICZ
„STREFA BEZPIECZEŃSTWA" WEDŁUG ERDOĞANA
Widmo nowego natarcia migrantów na Europę

EKONOMIA

92 JACEK KRZEMIŃSKI
PUŁAPKA GLOBALNEGO ŁAŃCUCHA
Jak naprawdę dogonić zachód Europy

98 JAKUB WOZINSKI
ATAK NA ARABIĘ SAUDYJSKĄ

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (66), ZYCHOWICZ, KOPER (70), WARZECHA (90), GABRYEL, RYBIŃSKI (96), KOMUDA (100), KUCHARCZYK (104), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (105), KATARYNA (106), ŁYSIAK (107)

eprasa.pl 74272a8403

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW DO NAGRODY
PRZEŚLIJ DO 30 WRZEŚNIA 2019 r.
NA ADRES REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY"
LUB E-MAIL: STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNER GŁÓWNY: PGNiG

PARTNERZY: KGHM POLSKA MIEDŹ, GRUPA CEDROB, PZU, TOTALIZATOR SPORTOWY, Poczta Polska, Grupa Inwest HM Inwest S.A., Lagardère TRAVEL RETAIL

eprasa.pl 74272a8403

Drodzy Czytelnicy,

Tak się złożyło, że oba dzisiejsze listy są od naszych czytelników z Warszawy. Przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl i zapraszamy do dyskusji.

„Ofensywa wrześniowa", Piotr Semka, „DRz" 37/2019

Szanowna Redakcjo,
z przyjemnością przeczytałem analizę red. Piotra Semki dotyczącą obchodów rocznicy wybuchu II wojny światowej. Chciałbym do tej analizy politycznej dodać element osobisty.

Jako jedna z wielu osób oglądałem obchody na telebimach, które były ustawione w Warszawie. Poczułem wtedy dumę. Dumę z mojego kraju, z bycia Polakiem, z tego, jak Polska może wyglądać między innymi narodami. Że obraz ten może być tak inny od tego, do jakiego nas przez lata przyzwyczajano – że Polacy to „do Niemca robić" (a potem jeszcze go okraść), że w Europie i w świecie to tylko obciach robią, że lepiej się do swojej narodowości nie przyznawać, bo to wstyd itp., itd. I właśnie podczas tych obchodów, stojąc na ulicy w stolicy mojego kraju, Polski, poczułem się naprawdę dumny. Niespodziewane, ale wspaniałe uczucie. Dziękuję wszystkim organizatorom tego wzniosłego wydarzenia, ale dziękuję też wszystkim patriotom (również w polityce), którzy pracują nad tym, by obraz Polaka w oczach Polaka zmieniał się na lepsze. Ta praca ma sens.

Pozdrawiam
Jan z Warszawy

Nie tylko ścieki

Szanowni Państwo,
sprawa awarii oczyszczalni Czajka i wypływanie ścieków do Wisły były relacjonowane (i słusznie) przez wszystkie media. Warszawa ma wiele innych problemów, których władze miasta zdają się nie widzieć. Jednym z nich są śmieci. Na moim osiedlu z koszy wylewa się już niemal pierwszego dnia od momentu ich opróżnienia, gabaryty (gdzie co rusz lądują np. meble, sanitariaty z remontowanych łazienek itp.) leżą czasem tygodniami. I znikąd pomocy, bo zarządca nieruchomości zrzuca odpowiedzialność na samorząd, a samorząd zdaje się w ogóle tym nie przejmować.

Wiem, że podobne problemy są i w innych miastach, ale akurat w Warszawie porażający jest rozdźwięk między głoszonymi ideami i pozorami a realnymi działaniami. Liberalni politycy tyle mówią o środowisku, a nie potrafią zadbać o to, by śmieci znikały jak najszybciej z ich terenu. Mieszkańcy stolicy muszą trzymać w domach coraz więcej koszy i sortować śmieci, na bulwarach nad Wisłą chodzą młodzi ludzie i rozdają worki na śmieci grupom siedzących tam osób, by nie zostawiali np. butelek, ale na osiedlach ludzie toną w śmieciach i nie mogą doprosić się pomocy.

Władze Warszawy proszę o zabranie się do tego, za co dostają pieniądze – do rozwiązywania problemów warszawiaków. Polityka nie bronię, ale najpierw robota, a później przyjemności!

Mieszkanka Warszawy
(Imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Brukselo)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Domiński/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 74272a8403

Rekordowy Kongres w czasie przełomu

Jakie są najważniejsze wyzwania dla polskiej gospodarki na najbliższe lata i dekady? Czy da się pogodzić troskę o klimat z twardą polityką energetyczną i polską racją stanu? Jak rozwijać nowoczesny biznes w dobrych relacjach z administracją publiczną? To tylko niektóre z pytań, na jakie odpowiedzą uczestnicy i goście Kongresu 590. Najbardziej prestiżowe wydarzenie gospodarcze w Polsce startuje już 7 października

To już czwarta edycja Kongresu 590, tradycyjnie odbywającego się w Jasionce koło Rzeszowa. Jak przekonują organizatorzy, spotkanie jest unikalnym forum wymiany doświadczeń, idei i argumentów pomiędzy przedstawicielami biznesu, świata nauki, polityki i administracji. To miejsce, gdzie o przyszłości rozmawiają innowatorzy, twórcy kultury i liderzy opinii. O wyjątkowości Kongresu stanowi m.in. fakt, że patronują mu i wspierają go najważniejsze instytucje państwa polskiego, z prezydentem RP i prezesem Rady Ministrów na czele.

– W tym roku stawiamy na bardzo pogłębioną dyskusję o tym, co wynika z doświadczeń 30 lat wolnej Polski, 20 lat naszej obecności w NATO i 15-lecia członkostwa w Unii Europejskiej. Będziemy rozmawiać m.in. o tym, jaka powinna być rola Polski w Europie, jak rozwijać gospodarkę, by sprostać rosnącym aspiracjom Polaków, a także w jaki sposób możemy wygrać dla Polski czas dynamicznych zmian geopolitycznych i kolejnej rewolucji przemysłowej – mówi Łukasz Oprawski, prezes Kongresu 590. Kongresowe dyskusje podzielono na bloki. Są wśród nich m.in. segmenty poświęcone klimatowi i energetyce, instytucjom i relacjom w świecie nowoczesnego biznesu, a także nowym narzędziom współpracy naukowców z przedsiębiorcami.

Nowym niekonwencjonalnym formatem spotkań będą od tego roku specjalne fora tematyczne, dotyczące elektromobilności, gamingu czy handlu.

– Chcemy tu zderzyć ze sobą idee, spojrzenia i pomysły na to, jak ma funkcjonować polska gospodarka. Liczymy na szczere, pełne konkretów rozmowy. Wierzymy, że wynikną z nich świetne, możliwe do szybkiego wdrożenia rozwiązania – mówi Łukasz Oprawski.

W Jasionce tradycyjnie nie zabraknie bardzo ciekawych gości ze świata. Jednym z nich będzie prezes SPECTRUM Group George F. Close, który ma za sobą 30-letnią, zakończoną w randze generała służbę w Armii Stanów Zjednoczonych a także Thomas J. Lee, jeden z wizjonerów technologii blockchain, współtwórca Fundstrat Global Advisers. Tradycyjnie też swoim patronatem i osobistą obecnością wesprą Kongres 590 prezydent Andrzej Duda, a także premier Mateusz Morawiecki.

– Formuła Kongresu 590, w której na równych prawach prezentują swe poglądy najważniejsi politycy, urzędnicy, przedstawiciele biznesu i intelektualiści, po prostu się sprawdziła – podkreśla Łukasz Oprawski, przypominając, że w zeszłym roku do Jasionki przybyło ponad 6 tys. osób, a Kongres relacjonowało blisko 600 dziennikarzy. – Jestem pewien, że w tym roku pobijemy te rekordy – dodaje prezes Kongresu 590.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PARTNERZY STRATEGICZNI KONGRESU 590:

BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO · GRUPA CEDROB · Google · KGHM POLSKA MIEDŹ · ORLEN · Bank Polski · GRUPA PKP

eprasa.pl 74272a8403

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Warto było?

Mało kto pamięta dziś kryzys w relacjach PiS – dziennikarze z grudnia 2016 r. Przypominam, że grupa posłów Platformy okupowała wówczas salę obrad Sejmu, w nocy z 16 na 17 grudnia aktywiści KOD próbowali wtargnąć na teren Sejmu, a niektórzy publicyści przywoływali jako wzorzec dla protestujących kijowski Majdan. Marszałek sejmu Marek Kuchciński zawiesił wówczas normalne zasady wchodzenia dziennikarzy do Sejmu. Jak można podejrzewać, marszałek bał się, że grupa zadymiarzy może wejść na legitymacje prasowe, gdyż każdy może ad hoc założyć np. jakąś gazetę i wyrobić sobie legitymacje prasowe.

To, co wówczas najbardziej irytowało w deklaracjach Kancelarii Sejmu, to zapowiedzi stworzenia w Sejmie centrum medialnego, mającego rzekomo pomóc prasie w kontaktach z politykami. Dla dziennikarzy przyzwyczajonych do swobodnego krążenia po parlamencie brzmiało to jak znaczne ograniczenie swobody pracy, a nie jak ułatwienie. Gdy niedługo potem w końcu doszło do spotkania ludzi mediów z marszałkiem Senatu, restrykcje odwołano, ale parokrotnie w dyskusji powracał doprowadzający dziennikarzy do furii motyw „nam chodzi tylko o to, by wam się wygodniej pracowało".

Poirytowani żurnaliści odpowiadali: „Dzięki za troskę, ale lepiej, jak zostanie tak, jak było".

Ten brak wyczucia z tamtego konfliktu przypomniał mi się, gdy wybuchła niedawno wrzawa wokół fragmentu programu wyborczego PiS o dziennikarzach. Głosił on: „Ze względu na odpowiedzialność i szczególne zaufanie, jakim cieszy się profesja dziennikarza, należałoby również stworzyć zupełnie odrębną ustawę regulującą status zawodu (ustawa o statusie zawodowym dziennikarza). Wprowadzałaby ona rozwiązania podobne do tych, jakie mają inne zawody zaufania publicznego, np. prawnicy lub lekarze. Głównym celem zmiany powinno być utworzenie samorządu, który dbałby o standardy etyczne i zawodowe, dokonywał samoregulacji oraz odpowiadał za proces kształtowania adeptów dziennikarstwa".

Bardzo ciekaw jestem, kto wymyślił wprowadzenie tego wątku do programu rządzącej partii. Bo niewiele on rozumie z sytuacji w środowisku mediów

W politycznym sporze, który dzieli dziś Polskę, dziennikarze są bardzo czynni po obu stronach barykady. Pomysł, aby zacząć dyskusję o statusie dziennikarza, jest może cenny, ale środowisko dziennikarskie na razie jest bardzo podzielone. A każdy zapis sugerujący limitowanie dostępu do tego zawodu wywołać musi niepokój jednej lub drugiej strony. Tak, wiem, że w innych krajach te sprawy są uregulowane, choć i tam Internet zdemokratyzował pojęcie dziennikarza. Ale zaczynanie dyskusji na ten temat akurat w kampanii wyborczej zadziwia brakiem wyobraźni. Teraz politycy PiS na wyścigi zarzekają się, że nie chodzi o limitowanie dostępu do zawodu. To po co był ten zapis w programie wyborczym?

Nie wiem, jak rozwiązać problem definiowania, kto jest dziennikarzem. To temat na długie, spokojne rozmowy. Wiem za to, że kampania wyborcza to najgorszy moment do wszczynania takiej debaty. Było to proszeniem się o awanturę. I taką awanturę PiS sobie zafundował. Warto było? ©℗

FOT. MICHAEL CAMPANELLA/GETTY IMAGES

NEGOCJATOR DORADCĄ TRUMPA

Prezydent USA poinformował o wyborze nowego doradcy ds. bezpieczeństwa. Miejsce odwołanego niedawno Johna Boltona zajmie Robert C. O'Brien. To amerykański prawnik. Do tej pory był specjalnym wysłannikiem prezydenta USA ds. zakładników – negocjował ich uwalnianie. O'Brien pracował wcześniej w administracji prezydenta USA za czasów George'a W. Busha oraz Baracka Obamy. Był m.in. wysłannikiem odpowiedzialnym za reformę wymiaru sprawiedliwości w Afganistanie. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 74272a8403

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury stojących na straży prawdy i umiłowania wolności. Jej laureatem może zostać osoba, której działalność wpisuje się w hasło: **„A jednak coś po nas zostanie".**

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ

NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI KONCERTU:

PGNiG ORLEN Enea

PARTNERZY:

LOTTO Poczta Polska fundacja arp

eprasa.pl 74272a8403

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Wyborcza" z Giertychami

Trzynastego września roku wyborczego doszło u Michnika do przełomu kopernikańskiego… Przepraszam, że nie prozą, ale to zdarzenie warte jest pieśni. Otóż wspomnianego dnia na jedynce „Gazety Wyborczej" pojawiła się zapowiedź apelu prof. Macieja Giertycha, a na stronie 10. cały apel, opatrzony komentarzem syna Macieja, Romana, z życzliwym wspomnieniem dziadka Jędrzeja, ucznia samego Romana Dmowskiego.

Dziadek Jędrzej z Londynu zwalczał „żydokomunę" z Michnikiem na czele

Ze wszystkich zastosowanych przez „GW" zabiegów wynikało, że i jeden, i drugi, i trzeci to wielkie autorytety i apel profesora dendrologa, syna wybitnego działacza emigracyjnego i byłego członka Rady Konsultacyjnej przy Wojciechu Jaruzelskim, należy przyjąć z czcią i powagą, zwłaszcza gdy wspiera go syn, mecenas.

Apel dotyczył oczywiście tego, żeby nie głosować na PiS – ponieważ, zdaniem „nestora polskiego ruchu narodowego" (jak go nazwała gazeta Michnika), doprowadzi to do zguby polski Kościół. Jak wiemy, dobro Kościoła, szczególnie polskiego, zawsze bardzo leżało michnikowszczyźnie na sercu.

Jak to się wszystko zmienia. Roman Giertych, dziś całym sercem z michnikowszczyzną, kiedyś przecież straszony był przez nią jako „faszysta" worem i jeziorem, a przez samego Michnika gnębiony sądowo. Dziadek Jędrzej z Londynu zwalczał „żydokomunę" z Michnikiem na czele najbrutalniejszymi słowy. Jego ojciec, przypomnę, w pierwszych wolnych wyborach startował z hasłem „Ani żydokomuna, ani żydosolidarność". Ludwik Stomma, felietonista „Polityki", pisał wtedy z właściwym liberalnym intelektualistom wdziękiem, że Giertychowi „powinno się dać po mordzie" i sam to obiecywał uczynić – i nie pamiętam, by ktokolwiek na salonach wtedy zaprotestował. A dziś? Hipokryzja michnikowszczyzny to żadna nowość, ale kimże stał się „nestor ruchu narodowego"? Wedle jego własnego aparatu pojęciowego: żydoendekiem?

O „bece", jaką miał salon z Giertycha seniora jako kreacjonisty, uważającego legendę o Smoku Wawelskim za dowód na to, że dinozaury żyły równocześnie z ludźmi, nie wspomnę, bo tu już stosunki ocieplila Ewa Kopacz. Ale…

Na szóstej zaś stronie tego samego numeru tej samej gazety – całokolumnowa jazda na sędziego, który miał ponoć anonimowo nazwać Żydów „parszywym i podłym narodem". No, ale to przecież „PiS-owiec". ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Jeszcze będzie zabawnie

Donald Tusk mnie obserwował, ale w pewnym momencie przestał. Nie wiem dlaczego – wyżaliła się na Twitterze publicystka „GW" Dominika Wielowieyska, a gorzkie łzy wylała w dyskusji o hejterach i trollach internetowych w mediach społecznościowych atakujących PiS. Przypadek? Nie wygląda. Wygląda natomiast, że trzeba być w awangardzie walki z PiS, by zyskać zainteresowanie brukselskiego jeźdźca bez głowy. Każdy więc orze, jak może, a przynajmniej na tyle, na ile mu zdolności pozwalają.

Inny z publicystów „GW", Paweł Wroński, odkrył więc i – ku rozbawieniu internautów – natychmiast swoim odkryciem się podzielił, że w programie wyborczym PiS w zasadzie nie ma nic o katastrofie smoleńskiej, ot, kilka zdań na stronie 190 w dziale poświęconym polityce zagranicznej. „PiS zapomniał o Smoleńsku" – skonkludował publicysta „GW". Podziwu godna troska, mniej o pamięć o ofiarach tragedii, bardziej zapewne o kampanię Koalicji Obywatelskiej, która to nieudolnie próbowała tematykę smoleńską przed wyborami przywrócić do debaty publicznej, zapowiadając… rozliczenie PiS za Smoleńsk.

Kolejna z publicystek „GW" przekonuje zaś, że „to jest ten moment, kiedy należy włożyć kij w szprychy". Komu? Ano patriarchalnej władzy oczywiście. Ponieważ inaczej – jak alarmuje gazeta – „kobiety wrócą do czasów »dobrych pań domu«". Nihil novi, im bardziej feministki drą szaty, tym bardziej kobiety chcą być kobietami sukcesu, damami serca swoich mężczyzn i dobrymi paniami domu.

Jak nie idzie, to nie idzie, ale przynajmniej można się nabzdyczyć. „Dajemy słowo, że nas nie uciszą" – zapowiedziała redakcja z Czerskiej w kontekście październikowych wyborów. Czyli jeszcze będzie zabawnie. ©℗

eprasa.pl 74272a8403

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O kurzych móżdżkach

Wszystko wydarzyło się naprawdę. Dramatyczny rozwój zupełnie nieprawdopodobnych wydarzeń poświadcza filmik na Twitterze, który zrobiła i umieściła na swoim koncie hiszpańska grupa weganek Alamas Veganes (Wegańskie Dusze).

Otóż grupka pań weganek wdarła się do kurnika i rozbiła jajka, bo te ich zdaniem należą do kur, a nie do podkradających je ludzi. Następnie panie zaaresztowały koguty. Chciały w ten sposób uchronić kury przed kogucim gwałtem. Zdaniem pań weganek kury nie życzą sobie bowiem stosunków płciowych z kogutami, a kiedy do nich dochodzi lub się na nie zanosi, zawsze uciekają w popłochu (kury, nie weganki). Dlaczego? Ponieważ koguty to brutale i podczas intymnych zbliżeń często ranią kury szponami. Poza tym, twierdzą Wegańskie Dusze, dzisiejsze kury są genetycznie zmodyfikowane, tak by składały więcej jajek. Panie weganki postanowiły więc położyć temu kres.

Następnie przeszły od szczegółu do ogółu i przemówiły do publiki: „Albo jesteś weganinem, albo pomagasz finansować niewolnictwo zwierząt". I dalej: „Jedzenie zwierząt to faszyzm".

Jak wynika z deklaracji kobiet wegańskich, wyznają również antyspecyzm. Cóż to takiego? Generalnie rzecz biorąc, to walka z szowinizmem gatunkowym – specyzmem. Według antyspecystów chodzi o to, że człowiek despotycznie zniewolił i podporządkował sobie inne stworzenia. Co więcej, homo sapiens powodowany specyzmem w niedemokratyczny sposób faworyzuje pewne gatunki, np. psy, kosztem innych, choćby drobiu, a tak być nie może. Na dodatek panie z kurnika wyznały, że łączy je transfeminizm. To z kolei, jak tłumaczy Wikipedia po angielsku: „Ruch stworzony przez i dla kobiet transseksualnych, które uważają, że ich wyzwolenie jest niepodzielnie związane z wyzwoleniem wszystkich kobiet i nie tylko kobiet".

Domyślam się, że stąd wzięła się idea akcji w kurniku, która z pewnością dowartościowała i wyzwoliła kury, haniebnie spostponowane przez człowieka i koguta.

Najwyraźniej rozum poszedł spać. Razem z kurami. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Afera plakatowa

Zacznijmy tajemniczo, od teorii spiskowej. „Bardzo interesująca jest ta internetowa akcja opozycji, przygotowująca jej elektorat na wariant »rząd sfałszował wybory«. Im bardziej będzie zbliżał się 13 października i im słabsze dla nich sondaże, będą to wzmagali" – napisał prof. Stanisław Żerko. O którą akcję chodzi? Spieszę wyjaśnić.

A właściwie zrobi to za mnie Hanna Lis. „Na cztery dni przed »losowaniem« numerów list PiS już wie, który numer »wylosował«. Niech może od razu podadzą wynik wyborów? Po co dalej wciskać kit, że tu Unia Europejska, jeśli gołym okiem widać, że Rosja/Białoruś?" – zaalarmowała opinię publiczną dziennikarka, widząc zdjęcie baneru senatora Leszka Piechoty, który przed losowaniem w PKW miał już wydrukowaną listę nr 2. „To nie jest powód do żartów – błyskawiczne wyjaśnienie tej kwestii jest kluczowe dla poprawności wyborów. Trzeba złożyć zawiadomienie do prokuratury w sprawie nieprawidłowości losowania, które może być przestępstwem, a posłowie powinni słać interpelacje" – uderzył na alarm prof. Marcin Matczak.

Atmosfera z minuty na minutę gęstniała. „O! Przypadków trafień, przed oficjalnym losowaniem list wyborczych, politycy PiS mieli więcej... Wynik wyborów rządzący też już znają?" – raportował Jacek Nizinkiewicz. Ktoś jednak musiał przekłuć balon. „Zwróćcie uwagę na jedno – to wszystko są kandydaci nr 6. Wiecie, co się stało? Partia rozesłała »formatkę« plakatu, żeby każdy miał tak samo. I tam była lista nr 2 kandydat nr 6 jako przykład. »Szóstki« uznały, że to dla nich, i wydrukowali bez zmian" – stwierdziła Dominika Długosz.

„Histeria w sprawie losowania numeru list pokazuje skalę intelektualnej i programowej zapaści opozycji. Jeśli brak pomysłów na kampanię, to zapraszam do kontaktu. Zajmijcie się smogiem, katastrofą w usługach publicznych, zabitymi na drogach i kryzysem w służbie zdrowia" – dodał jednak pesymistycznie Jan Śpiewak. Ale czy ma rację mówiąc, że opozycja wyrazistego programu nie ma? Pisze rzeczniczka Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Anna Maria Żukowska. „Rok temu na wspólnym kampanijnym spacerze z psami na Polu Mokotowskim z kandydatem na prezydenta Warszawy Andrzejem Rozenkiem pies pani Jaruzelskiej chciał zgwałcić moją (wysterylizowaną, więc to dziwne) sunię. Kiedy ją wzięłam na kolana, podszedł i mi nasikał do butów. Jaki pies, taki pani". ©℗

eprasa.pl 74272a8403

Spotkanie Dudy z Trumpem

FOT. EVAN VUCCI/AP/EAST NEWS

Po odwołaniu wcześniejszej wizyty w Polsce prezydent USA zapowiadał, że odwiedzi nasz kraj w nieodległej przyszłości. Okazało się jednak, że jeszcze szybciej spotka się z prezydentem Andrzejem Dudą. Tuż po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy" prezydent Rzeczypospolitej rozpocząć miał oficjalną wizytę w Stanach Zjednoczonych. W jej programie był m.in. udział w debacie wysokiego szczebla podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku. Tuż przed wizytą szef gabinetu prezydenta RP Krzysztof Szczerski ujawnił, że strona amerykańska zaproponowała też osobiste spotkanie głów państw. Zaplanowano je na poniedziałek.

– To spotkanie na zaproszenie prezydenta Trumpa. Będzie pełnowymiarowe: będą rozmowy w cztery oczy, a potem rozmowy plenarne delegacji – opowiadał w radiowej Jedynce Szczerski. – Z Polski weźmie w nich udział także minister spraw zagranicznych i minister obrony. Przewidujemy także podpisanie deklaracji wojskowej, dotyczącej lokalizacji i doprecyzowania obecności zwiększonego kontyngentu amerykańskich wojsk w Polsce, która miała być podpisana w Warszawie podczas przełożonej wizyty prezydenta amerykańskiego w Polsce – dodał.

Wiadomo, że w przyszłym roku w Europie mają się odbyć manewry „Defender-20", w których udział wezmą amerykańscy żołnierze. Ćwiczenia zaplanowano w Belgii, Holandii, Niemczech i Polsce. Udział w nich wziąć ma ok. 20 tys. żołnierzy z USA. Do Polski mają przyjechać z kilkoma tysiącami pojazdów. Nad Wisłą ćwiczyć mają głównie wojska amerykańskiej 1. Dywizji Kawalerii Pancernej. Według informacji „Rzeczpospolitej" możliwe jest, że po zakończeniu tych ćwiczeń – określanych przez ekspertów jako największy sprawdzian zdolności polskich sił zbrojnych do przyjęcia wojsk sojuszników z NATO – część amerykańskich żołnierzy ma pozostać w Polsce.

Zgodnie z wcześniejszymi deklaracjami polityków USA i Polski liczba amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Polsce ma wzrosnąć o blisko tysiąc. Polska zaproponowała już Amerykanom siedem lokalizacji. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

Jest nowy minister finansów

Prezydent Andrzej Duda na wniosek premiera powołał w ubiegłym tygodniu Jerzego Kwiecińskiego na stanowisko ministra finansów. Kwieciński jednocześnie pozostaje też ministrem inwestycji i rozwoju (tę funkcję pełni od stycznia 2018 r.). Wcześniej, w latach 2015–2018, był wiceministrem rozwoju.

Stanowisko ministra finansów pozostawało wolne od sierpnia. Wówczas z posady szefa Najwyższej Izby Kontroli przed czasem zrezygnował Krzysztof Kwiatkowski, który postanowił wystartować jako kandydat niezależny w wyborach do Senatu. Na jego następcę w NIK Sejm wybrał Mariana Banasia, który kierował resortem finansów od czerwca 2019 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

– Zbliżają się wybory. Wiadomo, że w polityce jest to czas pewnego niepokoju i szczególnej sytuacji w państwie. Dobrze, że ten urząd ministra finansów jest objęty – powiedział w trakcie nominacji Kwiecińskiego prezydent Andrzej Duda. ***(luz)*** ©℗

WILLIAMS BEZ KUBICY I ORLENU

Polski kierowca Formuły 1 odchodzi z teamu Williamsa. Robert Kubica miał uznać, że nie widzi już szans na poprawę sprzętu, który miał do dyspozycji. Bolid Williamsa w tym sezonie wciąż zawodził i Kubica zazwyczaj do mety dojeżdżał jako ostatni zawodnik. Polski kierowca F1 prowadzi rozmowy z kilkoma drużynami i mają one być „zaawansowane". Jednocześnie PKN Orlen, który wsparł Williamsa kwotą 10 mln euro, zapowiedział, że nie zrezygnuje ze sponsorowania polskiego zawodnika w F1.
Robert Kubica rozpoczął swoją wielką karierę w 2010 r. Jednak rok później podczas występu w rajdzie Ronde di Andora uległ ciężkiemu wypadkowi. Zakładano nawet, że może już nigdy nie wrócić do ścigania się z najszybszymi na świecie. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 74272a8403

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 74272a8403

FOT. PAWEŁ GROMADA

POCZĄTKUJĄCA MĘSKOŚĆ

Edyta Górniak uznała, że skoro w jej życiu nie dzieje się nic specjalnego, to podzieli się z mediami przemyśleniami na temat życia jej nastoletniego syna Alana. W tabloidzie opowiedziała o tym, jak rozmawia z synem o tych sprawach. – Chciałabym, żeby on miał komfort, że może rozmawiać z matką na różne tematy, ale też nie chciałabym go krępować. Chcę mu dać taką przestrzeń, że jeżeli ma pytania, być może będę mu mogła dać jakieś odpowiedzi. Proszę, żeby był ostrożny, rozważny. Dla mnie, jako dla mamy, najważniejszy jest ten aspekt emocjonalny, żeby ktoś nie złamał mu serca – wykłada swoje podejście Edzia. Zdradza też, że Alan ma za sobą pierwsze zauroczenia. – Natomiast ma jakieś oczarowania, bo pisze utwory i puszcza mi je. Pisze bardzo dobre teksty i muzę do tego, więc myślę, że dzieje się coś w jego życiu w tej chwili – wyznaje Edzia. – Pozwalam mu odkrywać swoją dojrzałość i początkującą męskość. On wie, że może mi mówić o wszystkim, tak jak mi mówił o pierwszych pocałunkach, o pierwszym tańcu – dodaje. Ciekawe, czy mówiąc jej to wszystko, wiedział, że potem przeczyta to w „Fakcie". On i cała Polska.

UDRĘKA W MARRIOTCIE

Aktor Jerzy Stuhr i dziennikarz Mariusz Szczygieł postanowili pójść drogą koleżanki Grażyny Wolszczak i pozwali Skarb Państwa za naruszenie prawa do korzystania z niezanieczyszczonego powietrza. Tak, tak, chodzi o warszawski smog. – Problemy zdrowotne są przyczyną wielu sytuacji stresowych. Stresujące jest dla mnie wyjście na scenę ze świadomością, że trzeba będzie z niej zejść z powodu kaszlu – podkreślił w uzasadnieniu Jerzy Stuhr. – Jestem zmuszony przez cały rok ćwiczyć w klimatyzowanych pomieszczeniach klubu fitness w hotelu Marriott – tłumaczył z kolei Szczygieł. Kto by pomyślał, że prawdziwe ludzkie dramaty rozgrywają się w zaciszu klimatyzowanych wnętrz hotelu Marriott!

NOWA DEFINICJA LENISTWA

Anna Lewandowska w wywiadzie dla „Vivy!" opowiada o tym, czego nauczyło ją macierzyństwo. Mówi, że swoją córeczkę nazywa swoją małą nauczycielką życia. – Klara nauczyła mnie cierpliwości, większej pokory i tego, że nie da się wszystkiego zaplanować, że trzeba zwolnić – mówi Lewandowska. Nie muszę już trenować codziennie. Wystarczy cztery, pięć razy w tygodniu – relacjonuje. Rzeczywiście, cóż za radykalna zmiana. Trening pięć razy w tygodniu to przecież prawie jak nicnierobienie!

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

GESSLER I SKĄPI POLACY

Restauratorka Magdalena Gessler postanowiła wytknąć swoim rodakom, że są skąpi. Tak, są skąpi, bo nie dają w restauracjach napiwków. – Polacy nie umieją dawać napiwków – stwierdziła w „Fakcie". – Jak są pijani, to czasem dają napiwki, ale uważają, że fajnie jest nie dawać napiwków, bo i tak zapłacili za dużo. To są reguły gry żelazne. W Stanach, jak nie dasz 15 czy 20 proc. napiwku, to praktycznie nie wyjdziesz z restauracji, żeby ci nie podstawili nogi, i mówię to zupełnie poważnie – opowiada Gessler. Ciekawe, co też pani Gessler odstawia w tych amerykańskich restauracjach, że jej kelnerzy nogi podstawiają na odchodne?! ©℗

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 74272a8403

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie wiemy jak u was, ale nam znów Facebook aż napuchł od przypominania, iż jakoś ze sto lat temu Stalin napadł na Polskę.

To jest naprawdę nieznośne, że pomimo upływu tylu lat wciąż zajmujemy się historią (zamiast herstorią, po co komu Stalin, skoro mamy Aleksandrę Kołłontaj?), a historia ma to do siebie, iż się już wydarzyła. A jak coś się wydarzyło, to znaczy, że było i już tego nie ma – zgadza się?

A poza tym musimy zwrócić po raz kolejny uwagę na to samo: w historii (ech...) świata co chwilę ktoś na kogoś napadał, a w tym kraju pamiętamy tylko o tych okazjach, kiedy napadani byliśmy my.

Może już czas, iżby przyjąć perspektywę nieco szerszą i zająć się trochę też innymi krajami i ich trudnymi dziejami? Nie możemy tak ciągle zamykać się na innych i kisić się we własnym poczuciu krzywdy.

Dotarliśmy do ciekawych statystyk. Otósh w tym kraju ponad połowa osób mieszka w domach jednorodzinnych wolno stojących. Tymczasem mieszkańcy strefy euro wybierają raczej bliźniaki lub domki szeregowe. Tak mówi Eurostat.

Naszym zdaniem ta statystyka jasno i dobitnie pokazuje, jakie straty w zbiorowej mentalności i jakie spustoszenie w społeczeństwie spowodowały rządy Prawa i Sprawiedliwości.

Na zachodzie Europy normalny człowiek nie próbuje za wszelką cenę odgrodzić się od drugiego, prowadzi dom otwarty, szeregowy – a więc taki, żeby się nie wyróżniał, iżby był podobny do innych, nie dyskryminował.

A w tym kraju: jak najdalej od somsiada, tu sobie postawię kolumnadę na ganku, tu zrobię fontannę, a w płocie dziurę, żeby somsiad mógł podglądać i zazdrościć. Oczywiście wszystko finansowane z „500+", patologia buduje domy, co za chory kraj.

Czy pamiętacie, że przychodzi do nas Jesień? Cieszmy się nim/nią dopóty, dopóki możemy, iż jak Jesień zobaczy, kto w tym kraju znów wygra wybory, pewnie sobie pójdzie i wróci za cztery lata, kiedy ponownie nadarzy się okazja, aby odsunąć PiS od władzy.

Do wyborów jednak jeszcze pozostał prawie miesiąc i chcemy ten czas z Jesieniem/Jesienią (używamy obu form, iż nie wiemy, jak podmiot definiuje płciowo sam siebie) jak najlepiej wykorzystać.

Na pewno wrzucimy trochę zdjęć na Insta, jak w parku trzymamy w ręku bukiet z różnorodnych barwnie jesiennych liści, pewnie też jakieś zdjęcie, jak czytamy książkę pod kocem z kubkiem gorącej herbaty. Wiecie, trzeba być oryginalnym.

Cieszymy się też na codzienną drogę do korpo z kubkiem parującej latte ze Starbunia w ręce, kiedy wełniana czapeczka uszyta przez komunę zaprzyjaźnionych lesbijek będzie opadać nam na czoło, a rejbany lekko zaparują po wejściu do open spejsa <3 ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl 74272a8403

Rekonstrukturyzacja. Przypominamy to piękne określenie. Ukuliśmy je kiedyś dla zmian w rządzie, które dotyczą czegoś więcej niż tylko roszad personalnych. Wiewiórki rządowe mówią, że rekonstrukturyzacja wraca. W dodatku używają w jej kontekście sformułowania „głęboka".

Wyjaśniamy. Zmiany mają być szybkie i daleko idące. Dotyczyć będą likwidacji niektórych ministerstw, łączenia innych ministerstw, ale niekoniecznie powoływania nowych. Taki jest w każdym razie plan na dobry początek drugiej kadencji dobrej zmiany.

Prace są zaawansowane i przeszkadza w nich tylko jeden drobiazg (no dobra, dwa – najpierw trzeba wygrać wybory i znów rządzić samodzielnie). Niektóre resorty kwalifikujące się do likwidacji może być ciężko zlikwidować ze względu na tzw. opór wewnątrzpartyjny. Są bowiem tacy, którzy nie wyobrażają sobie kontynuowania misji w charakterze innym niż ministrowie konstytucyjni. A także tacy, którzy zwracają uwagę, że stanowiska ministerialne są także metodą dystrybucji prestiżu, której celem jest utrzymanie równowagi między rozmaitymi frakcjami.

Niedowiarkom przypominamy, co wydarzyło się w miniony piątek, kiedy Jerzy Kwieciński został ministrem finansów, inwestycji i rozwoju. Niby trick przedwyborczy, ale tak naprawdę zwiastuje daleko idące zmiany. Pomnicie nasze słowa.

Wiewiórki mówią, że wraca koncepcja, by media narodowe trafiły jednak pod skrzydła resortu kultury i dziedzictwa narodowego. To tłumaczy, dlaczego w pierwszym rzucie nowych ustaw do uchwalenia w drugiej kadencji ma pojawić się nie tylko ustawa antymonopolowa dotycząca mediów w ogóle (zwana „repolonizacyjną"), lecz także uregulowanie na nowo finansowania mediów narodowych. Już na stałe bez abonamentu.

Tymczasem w Eine Totalopposition. O tym, że siły gromadzą skrytobójcy, których celem jest Grzegorz Król Skorpion Schetyna, już informowaliśmy. Jednocześnie działa jednak inna grupa, którą nazwaliśmy roboczo „poziomką". To, jak wiadomo, struktura pozioma. Najciekawsze jest to, że obejmuje więcej niż jedno ugrupowanie.

W opozycji nowego Sejmu będą trzy jądra lewicowej krystalizacji. Resztówka PeŁo, poziomka vel młode grzybki oraz reanimatorzy od Czarzastego

Celem poziomki jest ścisła współpraca młodych, ambitnych, znudzonych stęchlizną konserwatywną Schetyny czy Czarzastego osobników płci wszelakiej. Są to marzyciele z PeŁo, truchła Nowoczesnej Kropki, Wiosny oraz niektóre młode grzybki w SLD (nazywamy je tak w odróżnieniu od starych grzybów SLD-owskich). Śnią o wielkiej odnowie sceny politycznej w duchu prawdziwej liberalnej lewicy.

Żeby zrealizować powyższy cel, przydałaby się nowa partia, ale na początek wystarczyłby nowy wielki klub parlamentarny. Plany są wielkie, ale jest pewien kłopot. Kochane pieniążki.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jak tu bowiem opuszczać macierzyste ugrupowania, z których list zostało się wybranym, kiedy dotacje przypisane są do partii? Teraz już rozumiemy, jak ważne było tajne porozumienie, na mocy którego SLD zobowiązał się przekazać część dotacyjnej kasy na pewną fundację. Wskazaną przez Razem. Nie będzie tego może bardzo dużo, ale na początek wystarczy.

Plan młodych grzybków, czy też raczej ponadpartyjnej poziomki, nie podoba się starym grzybom. Najbardziej w SLD, które szykuje wielkie połączenie Sojuszu i Wiosny. Wychodzi więc na to, że w opozycji nowego Sejmu będą trzy jądra lewicowej krystalizacji. Resztówka PeŁo, poziomka vel młode grzybki oraz reanimatorzy od Włodka Czarzastego.

Apropos działalności struktur poziomych, międzypartyjnych. Taka historia nam się przypomniała. Chodzi o bieganie i błaganie podczas tzw. puczu sejmowego parę lat temu. Z poziomkami vel młodymi grzybkami w rolach głównych. Naonczas chodziło o fraternizujące się na okupowanej mównicy sejmowej młode elity PeŁo i Nowoczesnej Kropki.

A było tak: Grzegorz Król Skorpion Schetyna dość szybko dostał badania, z których wynikało, że okupacja Sejmu szkodzi okrutnie wizerunkowi PeŁo, i chciał ją od razu zakończyć. Niestety poziomki (zwane wówczas młodymi wilczkami) z obu partii nakręcały się ciągłymi transmisjami w tefauenach jak koty kocimiętką. Schetyna udał się więc z misją błagalną do PiS. Prosił o jakiś cień ustępstwa, żeby mógł z całej chryi wyjść z twarzą i spacyfikować młodych, mówiąc: „Patrzcie, co wywalczyłem!". Ale znacie PiS-owców – twardzi jak czekiści. Ani kroku w tył.

Ludzie małej wiary wątpili, gdy jakiś czas temu informowaliśmy, że Robik Biedroń ma małe szanse na zostanie kandydatem na prezydenta Polski z ramienia wielkiej opozycyjnej koalicji. Dowiedzieliśmy się bowiem – i informowaliśmy – że Grzegorzowi Skorpionowi marzy się kandydat-kobieta. W najczarniejszych snach nie spodziewaliśmy się, że będzie to Małgorzata Kidawa-Błońska. Ale gdzież szukać lepszego Bronka Komorowskiego w wersji feministycznej?

Na razie trochę boimy się wychodzić na ulicę. Trwa bowiem kampania wyborcza, która charakteryzuje się wielką aktywnością kandydatów, którzy składają często dość daleko idące deklaracje. Kidawa-Błońska na przykład wyznała, że w centrum jej kampanii jest przytulanie. Z całym szacunkiem – nie chcielibyśmy być jednak przytulani. Dlatego siedzimy w domu.

Nasze wiewiórki w Brukseli donoszą tymczasem, że Zły Donald wiesza psy na sposobie prowadzenia kampanii pod wodzą Grzegorza Króla Skorpiona Schetyny. Powiedzieć, że Donald się wściekł, to użyć eufemizmu. „Najgorsze wyrazy po kilka razy" – relacjonują wiewiórki.

Również w Polsce w szeregach podwładnych Grzegorza entuzjazmu dla kampanijnych wyczynów brak. Co gorsza, dochodzi do tego ponury podziw dla przeciwnika. Jak nam powiedział pewien wpływowy polityk PeŁo: „Gdyby kiedyś Tusk tak zap……., jak teraz Morawiecki, to walczylibyśmy dziś o czwartą kadencję".

À propos Donaldów. Jak pamiętacie, w naszej rubryce występowało dwóch: Zły Donald z Brukseli i Dobry Donald z Waszyngtonu. Tego ostatniego zdegradowaliśmy jednak do stopnia zwykłego Donalda po tym, jak wystawił Polskę do wiatru 1 września i nie przyjechał. W świetle ostatnich wydarzeń przywracamy Trumpowi utracony tytuł, ale z zastrzeżeniem. Będzie teraz Umiarkowanie i Potencjalnie Dobrym Donaldem z Waszyngtonu.

Długo się zastanawialiśmy, jak odpowiedzieć na akcję celebrytanów Eine Totalopposition „Nie świruj, idź na wybory". Nie było łatwo, bo ręce, macki, witki i inne części ciała opadają, a wtedy się ciężko myśli. Wreszcie udało się nam coś wymyślić. Wiemy, że są tacy (szok!), którzy nie będą głosowali na PiS. Do nich kierujemy akcję „Idź na wybory, zmień opozycję". I opozycja, i Polska bardzo tego potrzebują.

Na koniec telegram ze Śląska. Opozycja łączy się przez podział. W okręgu chorzowskim walka o mandat senatora będzie po wielokroć bratobójcza. Henryk Mercik (Śląska Partia Regionalna, czyli RAŚ), oficjalny kandydat porozumienia senackiego opozycji jako Koalicja Obywatelska, startuje przeciw Leonowi Swaczynie (lider partii Ślonzoki Razem, do Sejmu idącej w koalicji z PSL). Jakby tego było mało, kandyduje były prezydent Świętochłowic Dawid Kostempski jako Koalicja Obywatelska Dawida Kostempskiego (za co został wykluczony z PO). My nic z tego nie rozumiemy, ale może po prostu jesteśmy świrami. ©℗

REKLAMA

NAGRODY MEDIÓW PUBLICZNYCH 2019
Patronat honorowy: RADA MEDIÓW NARODOWYCH
LAUREAT w kategorii MUZYKA:
JAN PTASZYN
WRÓBLEWSKI
NOMINOWANI:
Marek Moś
Janusz Prusinowski
Józef Skrzek
Agata Zubel
Kapituła w kategorii MUZYKA:
Krzysztof Penderecki
Joanna Wnuk-Nazarowa (przewodnicząca)
Krystyna Prońko
Mateusz Pospieszalski
Mieczysław Kominek
Organizatorzy:
POLSKIE RADIO
TVP TELEWIZJA POLSKA
pap
Nagrody Mediów Publicznych 2019
Wojciech Kontur KOREKSTUDIO

eprasa.pl 74272a8403

Ze Zbigniewem Ziobrą, ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym
rozmawia Cezary Gmyz

Usiłujemy wyzwolić wymiar sprawiedliwości

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

eprasa.pl 74272a8403

CEZARY GMYZ: Do wyborów parlamentarnych został niespełna miesiąc. Czy pańskim zdaniem Zjednoczona Prawica ma szansę obronić samodzielną większość w Sejmie? A może macie nadzieję na większość konstytucyjną?

ZBIGNIEW ZIOBRO: Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu. Mamy ambicję kontynuować dobre zmiany. Po czterech latach naszych rządów Polacy nie tylko uważają, że w Polsce żyje się bezpiecznie. Żyje im się także lepiej dzięki wprowadzanym przez nas wielkim społecznym projektom – takim jak 500 zł na dziecko, wyprawki szkolne dla uczniów, 13. emerytury. Podnieśliśmy też minimalne płace i obniżyliśmy wiek emerytalny Polaków. Stać nas na to m.in. dlatego, że odzyskujemy gigantyczne kwoty rozkradane za poprzednich rządów przez mafie i przestępców. Wbrew nakręcanym przez opozycję strachom, że polskiego państwa nie stać na to, by troszczyło się o byt Polaków czy obniżało podatki, Polska jest dziś drugim pod względem wzrostu gospodarczego krajem w Europie. Mam nadzieję, że wyborcy to wszystko docenią.

Jak pan ocenia drugą kadencję na stanowisku ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego – w porównaniu z pierwszą z lat 2005–2007?

Stabilne, prawie czteroletnie rządy pozwoliły nam na dokonywanie systemowych, a nie wyłącznie doraźnych zmian w wielu dziedzinach związanych z wymiarem sprawiedliwości. Szybko przyniosły one pozytywne efekty i jestem przekonany, że będą przynosić także w przyszłości. Doskonałym przykładem jest prokuratura. Kiedy w 2015 r. obecna większość rządowa obejmowała władzę, prokuratura była zdewastowana dokonaną za rządów PO-PSL pseudoreformą. Poprzednia władza pozbawiła ją możliwości skutecznego działania. Gdyby nie brak nadzoru i porażająca nieudolność prokuratorów, nie doszłoby przecież do takich afer, jak np. Amber Gold, w wyniku której oszczędności straciło kilkanaście tysięcy Polaków.

Dlatego skończyliśmy z fatalnym eksperymentem, który poprzedni rząd zafundował Polsce i Polakom. Przywróciliśmy zlikwidowane za rządów PO-PSL wydziały do zwalczania przestępczości gospodarczej, by aferzyści na wielką skalę nie mogli więcej czuć się bezkarnie.

Zreformowana prokuratura podjęła zaniedbane postępowania, m.in. w sprawach „dzikiej reprywatyzacji", zajęła się perfidnymi przestępstwami finansowymi, w tym oszustwami i lichwą, których ofiarą padają osoby najsłabsze. Podjęła też sprawy wielomilionowych oszustw na szkodę państwa związanych z wyłudzaniem podatku VAT.

Efekty były natychmiast widoczne. Wartość wykrytych przez prokuraturę przestępstw podatkowych zwiększyła się niemal trzykrotnie w stosunku do 2015 r. Prawie trzykrotnie zwiększyła się liczba oskarżonych w najpoważniejszych sprawach związanych z wyłudzeniami podatku VAT. Wartość zabezpieczonego przestępczego mienia tylko w tym roku, do sierpnia, przekroczyła 3,3 mld zł, a w roku, gdy po raz ostatni prokuratorem generalnym był polityk PO, wyniosła zaledwie 160 mln. To porównanie 3,3 mld do 160 mln wystarczyłoby za cały komentarz do różnicy pracy prokuratury wtedy i dziś.

Skończyliśmy z fatalnym eksperymentem, który poprzedni rząd zafundował Polakom. Przywróciliśmy zlikwidowane za rządów PO-PSL wydziały do zwalczania przestępczości gospodarczej, by aferzyści na wielką skalę nie mogli czuć się bezkarnie

Prawie połowę tej kwoty stanowi jedno zabezpieczenie środków pochodzących najprawdopodobniej z handlu narkotykami.

To tylko dowód skuteczności prokuratury, która wreszcie została „odblokowana" i wyposażona w narzędzia do sprawnego działania. Oprócz spektakularnego sukcesu, którym było przejęcie prawie 1,5 mld zł pochodzącego z przestępczości narkotykowej, do Skarbu Państwa wracają jeszcze większe kwoty wyłudzane m.in. wskutek tzw. karuzel VAT-owskich. Jednym z kluczowych instrumentów, które dostała prokuratura, była tzw. konfiskata rozszerzona. Pozwala ona odbierać przestępcom majątki, które dotąd ukrywali, przepisując je na rodzinę czy znajomych.

Pozbawienie nielegalnych zysków to gwarancja skutecznej walki z przestępcami. Najostrzejsze kary nie przyniosą skutku, jeśli sprawcy nie zostaną odcięci od dochodów z przestępstwa, z których opłacają najdroższych adwokatów i z których korzystają po wyjściu z więzienia. Mimo gotowego projektu wprowadzenie konfiskaty rozszerzonej było przez osiem lat blokowane przez poprzednią władzę. Dlaczego? Nawet Unia Europejska naciskała na rząd Donalda Tuska, by przyjąć to rozwiązanie, które zdążyła przyjąć większość europejskich państw. I choć w innych sprawach, np. w kwestii podniesienia wieku emerytalnego czy niekorzystnego dla Polski pakietu klimatycznego, Platforma i PSL były potulne wobec Brukseli, to w sprawie konfiskaty majątków przestępców panował opór. Przypadek? Nie sądzę.

Nawet kiedy w 2017 r. obecna większość sejmowa uchwalała ustawę o konfiskacie rozszerzonej, Platforma była przeciw, konsekwentnie broniąc interesów przestępców. Gdyby zablokowała projekt, pieniądze z handlu kokainą, o których pan wspomniał, rozpłynęłyby się w powietrzu, a my świecilibyśmy oczami przed amerykańską agencją do walki z narkotykami DEA, nie mając narzędzi pozwalających ograniczać globalny handel narkotykami. Te pieniądze finalnie trafią do budżetu państwa. A jest to suma, która odpowiada kwocie przeznaczonej w tym roku na zakup w ramach programu „300+" wyprawki szkolnej dla 4,5 mln polskich dzieci. Prokuratura, której bieżącą pracą kieruje Bogdan Święczkowski, dostała nowy impuls i narzędzia, które przynoszą realne zyski całemu państwu i Polakom.

Konfiskata rozszerzona to niejedyne narzędzie, w które wyposażono organy ścigania.

Osobiście za jedno z najważniejszych dokonań uważam przyjęcie rozwiązań pozwalających skutecznie ścigać przestępczość VAT-owską. Za rządów PO-PSL te skomplikowane sprawy, dotyczące wyłudzeń idących w miliony, trafiały do prokuratur rejonowych. Czyli tych najbardziej obciążonych pracą, w których pracują prokuratorzy dopiero zdobywający doświadczenie. Polska była rajem dla przestępców w białych kołnierzykach. Przestępstwa VAT-owskie ścigano z ustawy karno skarbowej, gdzie górną granicą było pięć lat więzienia, a okresy przedawnienia – śmieszne krótkie. Z na-

eprasa.pl 74272a8403

szych analiz wynika, że zaledwie jedna sprawa na 10 kończyła się karą pozbawienia wolności, często w zawieszeniu. We Wrocławiu mieliśmy sprawcę, który wyłudził 80 mln zł, a sąd wymierzył mu karę w zawieszeniu i grzywnę 300 tys. zł. Z tego, co mu zostało, ma zagwarantowane dostatnie życie dla siebie i nawet swoich wnuków.

Zmiana przepisów to jednak nie tylko pańska zasługa, lecz także innych resortów.

To prawda. Ówczesny minister finansów Paweł Szałamacha wskazał nam, że podległe mu służby nie mają narzędzi, by uderzyć w przestępców VAT-owskich, i pokazał, gdzie są luki. Powołaliśmy specjalny zespół złożony z doświadczonych prokuratorów, a także przedstawicieli służb skarbowych i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dzisiaj nie ma tygodnia, by służby nie zatrzymywały przestępców odpowiedzialnych za tzw. karuzele VAT-owskie. Przestępcy zaczęli się wreszcie bać, ponieważ zaostrzyliśmy kary za wyłudzenia VAT do 25 lat więzienia.

Te rozwiązania weszły w życie w 2017 r., a już po miesiącu wzrost przychodów państwa z VAT skoczył o 100 proc. I ta tendencja utrzymuje się do dziś. Oczywiście nie jest to wyłącznie zasługa resortu, którym kieruję. Ten sukces to także wynik współpracy ze służbami specjalnymi i z resortem finansów oraz z podległymi mu instytucjami. Jednak już samo wprowadzenie wyższych kar miało efekt prewencyjny. Patryk Jaki opowiadał mi, że jedna z zagranicznych firm działających w Polsce sama zgłosiła się do urzędu skarbowego i oddała 80 mln zł z tytułu VAT. Dzisiaj, kiedy przesłuchujemy przestępców, dostajemy sygnały, że grupy przestępcze wycofują się z oszustw na podatku VAT, bo ryzyko zaczęło być zbyt duże.

Za czasów rządów Platformy Obywatelskiej prokuratorzy nie mogli ścigać przestępstw ze względu na tzw. owoce zatrutego drzewa – czyli mieli dowody na przestępstwa pozyskane przy rozwiązywaniu innych spraw i nie mogli tego wykorzystywać...

Warto przypomnieć, skąd się wzięły tzw. owoce zatrutego drzewa. Otóż Centralne Biuro Śledcze dostarczyło materiał dowodowy dotyczący dwóch sędziów z północnej Polski. Zostali oni nagrani przypadkowo, za sprawą podsłuchu założonego przestępcy. Z nagrań wynikało, że sędziowie mogą brać łapówki. Wystąpiliśmy o uchylenie im immunitetu, by postawić ich przed sądem za korupcję. Jednak ku naszemu zdumieniu Sąd Najwyższy nieoczekiwanie wydał uchwałę, że nagranie nie może być dowodem w sprawie, ponieważ podsłuchem był objęty przestępca, a nie sędziowie. Przyjmując tę „logikę", gdyby sędzia przyznał się w podsłuchanej rozmowie, że dopuścił się nie korupcji, lecz np. brutalnego gwałtu, to też nie można byłoby go ścigać.

Ten precedens wpłynął na wiele spraw, w których korzystano z tzw. kontroli operacyjnej, czyli głównie z podsłuchów. Prokuratura, policja i służby były bezradne – zdobywały wiedzę o przestępstwach wskutek legalnie prowadzonych działań, ale nie mogły jej wykorzystywać. My to zmieniliśmy. Niestety, skutki tej uchwały pozwoliły uniknąć odpowiedzialności wielu przestępcom. Wymienię tylko sprawę korupcji przy okazji budowy autostrad. ABW zdobyła dowody ustawiania przetargów, a Sąd Najwyższy stwierdził, że Agencja nie miała uprawień, by je zbierać i wykorzystywać.

Jeśli już mówimy o podsłuchach. Ostatnio spadła na pana krytyka za sfinansowanie zakupu „systemu masowej inwigilacji", jak to nazywa opozycja, czyli systemu Pegasus.

To są brednie. Muszę jednak poczynić pewne zastrzeżenie. Zgodnie z ustawą środki i metody pracy operacyjnej są tajne. Jednak to, że coś jest objęte klauzulą niejawności, nie świadczy o tym, że jest nielegalne. Wręcz przeciwnie – stosowanie takich środków każdorazowo odbywa się tylko za zgodą sądu. Nie ma więc żadnego systemu zbiorowej inwigilacji. Środki, których używają służby, mają na celu skuteczne ściganie przestępstw. Zawsze musi się to odbywać w granicach ustalonych w polskim prawie.

> **Dostajemy sygnały, że grupy przestępcze wycofują się z oszustw na podatku VAT, bo ryzyko zaczęło być zbyt duże**

Powiem też szczerze – jako prokurator generalny jestem zwolennikiem stosowania wszelkich dozwolonych prawem środków, by bandyci znaleźli się za kratami, nawet jeśli są to przestępcy, których twarze pojawiają się na okładkach gazet czy w telewizji. Dla mnie przestępca to przestępca i nie ma znaczenia, z jaką formacją polityczną jest związany albo czy jest tzw. celebrytą. Jeśli ktoś wkracza na drogę przestępstwa, to niech ma świadomość, że prokuratura, służby czy policja będą go ścigały zgodnie z prawem, ale i z całą bezwzględnością. Jako prokurator generalny zostałem bowiem powołany do zapewniania bezpieczeństwa obywatelom, a nie zapewniania poczucia komfortu przestępcom.

Jednak pańscy prokuratorzy i pan spotykacie się z zarzutami działania z pobudek politycznych, np. w sprawach prominentnego polityka PO Stanisława Gawłowskiego czy byłego senatora tej partii Józefa Piniora.

Wiem, że nasza aktywność wywołuje wśród opozycji poczucie frustracji. Platforma wykazuje się przy tym skrajną hipokryzją. Kiedy zgłosiliśmy projekt ujawniania majątków rodzin polityków, klub PO głosował przeciw. Ustawa przeszła tylko dlatego, że mamy większość parlamentarną. To pokazuje, że my nie mamy nic do ukrycia, a PO najwidoczniej tak.

Jeśli chodzi o sprawę sekretarza generalnego Stanisława Gawłowskiego, to przypomnijmy, że sporą część materiału dowodowego w tej sprawie zgromadziło CBA jeszcze za poprzednich rządów. Tyle tylko że nic z tym nie zrobiono. Przypomnijmy też, że niezawisły sąd uznał zgromadzony materiał dowodowy za na tyle mocno przekonujący, że zgodził się na aresztowanie pana Gawłowskiego, a następnie kolejne sądy przedłużały ten areszt.

Dowody w tej sprawie są bardzo mocne. A co się dzieje dalej? Po opuszczeniu aresztu Gawłowski wraca do ław poselskich i z błogosławieństwem władz Platformy ubiega się o mandat senatorski. Podobnie z innymi politykami PO. Ludzie z zarzutami karnymi – Sławomir Neuman, Józef Pinior czy Cezary Grabarczyk – nie tylko nie spotykają się z ostracyzmem ze strony swojej formacji, lecz także niektórzy z nich startują w wyborach.

Czy czuje się pan odpowiedzialny za tzw. aferę hejterską?

Jeśli chodzi o działania wiceministra sędziego Piebiaka i kilku innych

eprasa.pl 74272a8403

Za poprzednich rządów CBA zgromadziło część dowodów w sprawie sekretarza generalnego PO Stanisława Gawłowskiego. Jednak nic z tym nie zrobiono – wskazuje Zbigniew Ziobro FOT. ROBERT STACHNIK/EAST NEWS

sędziów, to nie miałem o nich pojęcia, bo była to aktywność prywatna. Oni sami wytoczyli w tej sprawie liczne powództwa cywilne, dowodząc, że wiele ich wypowiedzi zostało zmanipulowanych. Pozostawiając więc ostateczne rozstrzygnięcie sprawy sądom, muszę zaznaczyć, że bardzo krytycznie oceniam tego typu zachowania. Żeby jednak być sprawiedliwym, muszę dodać, że dotyczy to również sędziów, ulubieńców totalnej opozycji i mediów mainstreamowych. To oni od czterech lat kierowali inwektywy i obelgi pod adresem sędziów współpracujących z ministerstwem. Były to wypowiedzi typu: sprzedali się, judasze, zhańbili się itp. To był nieustanny hejt i mowa nienawiści. Opozycja i część mediów nie tylko nie potępiały tych zachowań, lecz także do nich podgrzewały i to jest świadectwo ich hipokryzji.

O ile w kraju rośnie poczucie bezpieczeństwa, o tyle nie może się pan pochwalić dokończoną reformą sądownictwa.

To prawda, że nigdy od upadku komunizmu Polacy nie czuli się tak bezpiecznie. Według ogłoszonego w kwietniu sondażu CBOS odsetek Polaków, którzy uważają, że w Polsce żyje się bezpiecznie, wzrósł do rekordowego w ponad 30-letniej historii badań poziomu 89 proc. Jeszcze w kwietniu 2015 r., a więc przed reformą prokuratury, wynosił 66 proc. Imponujący wzrost poczucia bezpieczeństwa to zasługa dobrej zmiany w całym wymiarze sprawiedliwości.

Nie działamy jednak w próżni. Skala oporu środowiska sędziowskiego wobec reformy samego sądownictwa przeszła najśmielsze oczekiwania. To opór w dużej mierze inicjowany politycznie przez opozycję. Niektórzy sędziowie, wbrew zasadom niezawisłości, jawnie opowiedzieli się po stronie politycznej opozycji, która wykorzystuje ten spór i z całą bezwzględnością inicjuje też działania na płaszczyźnie europejskiej. Robi to wbrew opinii publicznej, która na własnej skórze odczuwa niedociągnięcia wymiaru sprawiedliwości. Wpływy tych środowisk w Brukseli czy Strasburgu są nadal gigantyczne.

Nie waham się też powiedzieć, że niektóre instytucje europejskie przekraczają swoje kompetencje i wykazują się hipokryzją. Kiedy wiceprzewodniczący klubu CDU wprost z ław Bundestagu przenosi się na fotel sędziego niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego, pies z kulawą nogą się nie interesuje upolitycznieniem niemieckiego sądownictwa konstytucyjnego. W Niemczech nominacje sędziowskie i prokuratorskie wprost zależą od polityków, a ludzie, którzy sądzą oraz ścigają przestępców, mogą być i są członkami partii politycznych. To jakoś nie budzi niczyich zastrzeżeń.

My zaś robimy wszystko, by odpolitycznić wymiar sprawiedliwości, a spotykamy się z zarzutami jego upolityczniania. Gdybyśmy wprost chcieli przepisać rozwiązania z niemieckiego systemu prawnego, zarzucono by nam chęć wprowadzenia dyktatury. Takie stosowanie podwójnych standardów jest dla nas nie do przyjęcia. Usiłujemy wyzwolić wymiar sprawiedliwości z postkomunistycznych naleciałości i sprawić, by służył obywatelom. Bez względu na to, jaka opcja polityczna będzie akurat u władzy. I to właśnie budzi opór – bo narusza interesy tych, którzy przez większość okresu po upadku komunizmu czuli się właścicielami naszego państwa, a nie jego sługami.

Do sukcesów nie można też zaliczyć ustawy antylichwiarskiej. Nie udało się jej uchwalić. Firmy lichwiarskie nadal mają się w Polsce dobrze.

Rząd przyjął projekt tej ustawy...

... której Sejm już nie zdąży uchwalić i trzeba będzie ją wyrzucić do śmieci ze względu na zasadę dyskontynuacji.

Mam jednak nadzieję, że będzie nam dane kontynuować naszą pracę i wniesiemy ten projekt pod obrady nowego Sejmu. Na przeszkodzie w jej uchwaleniu stanęły nie tylko sprawy wewnątrzkrajowe, lecz także oczekiwanie na zaopiniowanie tego projektu przez Komisję Europejską. Jesteśmy jednak zdeterminowani, by tę sprawę doprowadzić do końca. Nie możemy pozwolić na dalsze bezkarne „golenie" Polaków. Niemcy płacą 6,5 razy mniejsze odsetki, Słowacy – 3,5 razy niższe. To pokazuje skalę problemu.

Warto przypomnieć, że ta ustawa to nie jest domena resortu sprawiedliwości. A jednak zdecydowaliśmy się podjąć ten temat. Nie ukrywam, że w tej sprawie istniały silne naciski lobbystyczne i sterowane przez firmy pożyczkowe działania PR. Mimo tego nie ustaniemy w wysiłkach, by zamknąć to lichwiarskie eldorado.

To niejedyna ustawa, którą przygotowało Ministerstwo Sprawiedliwości, choć powinny się tym zająć inne resorty.

Tak, na przykład rząd PO-PSL w 2015 r. zlikwidował ściganie jako przestępczych zachowań charakterystycznych dla mafii lekowej. To my przygotowaliśmy ustawę , która trzy miesiące temu weszła w życie i dała organom ścigania skuteczne narzędzia do walki z mafią lekową. Podobnie jest z rozwiązaniami, które mają na celu zatrzymywanie procederu oszukiwania podwykonawców budujących drogi i autostrady. Kiedy przepisy wejdą w życie, grabienie i doprowadzanie do upadłości małych firm przez gigantów już nie będzie możliwe. I choć nie było to w naszych kompetencjach, to podjęliśmy ten trud, bo mamy dobrych fachowców, którzy są w stanie przygotowywać skuteczne rozwiązania legislacyjne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Zbrodnia bez kary

Wysyłali ludzi na śmierć. Oddani, sumienni, pracowici.
Urzędnicy Hitlera, tryby niemieckiej machiny.
Dlaczego po wojnie uniknęli odpowiedzialności?

Czytaj na www.interia.pl

interia

eprasa.pl 74272a8403

FOTO: ADOBE STOCK; MONTAŻ: JAN

Alfabet mijającej kadencji

Wojciech Wybranowski

Całkowicie subiektywny przegląd najważniejszych wydarzeń, wystąpień, akcji i kontrakcji na polskiej scenie politycznej w latach 2015–2019

A – ***Awantura o Trybunał Konstytucyjny.*** Trwająca kilka miesięcy polityczna zadyma między PiS a opozycją. Zaczęło się w październiku 2015 r., kiedy to rządząca wówczas koalicja PO-PSL wybrała pięciu nowych sędziów TK; wyboru dokonano niezgodnie z przepisami, bo kadencja dwóch urzędujących sędziów wygasała dopiero po wyborach. PiS wygrał elekcję, a zdominowany przez partię Kaczyńskiego Sejm uchylił uchwałę o wyborze sędziów i powołał nowych, kojarzonych z PiS. Batalia o TK, mimo wysiłków opozycji, nie wpłynęła na poparcie dla rządu.

B – ***„Będzie bomba".*** Tak dziennikarze „GW" zapowiadali publikacje o domniemanych aferach rządów PiS. Między innymi „afery Birgfellnera" (austriackiego dewelopera Geralda Birgfellnera, którego rzekomo PiS miał oszukać na wiele milionów złotych przy realizacji inwestycji budowlanej. Biznesmen nie potrafił jednak okazać na to stosownych dokumentów) czy „afery bankowej" (patrz 40 mln). „Bomby" mające obalić rząd PiS okazywały się kapiszonami, a zwrot stał się w mediach społecznościowych synonimem dziennikarstwa niskich lotów.

C – ***Ciamajdan.*** Okupacja Sejmu przeprowadzona przez ugrupowania opozycyjne od 16 grudnia 2016 do 12 stycznia 2017 r. Miała doprowadzić do zmiany władzy w Polsce. Opinia publiczna w sondażach sympatii wyborczych krytycznie oceniła rewolucjonistów, a akcja skończyła się kpinami z „puczystów" w mediach społecznościowych.

D – ***„Dość dyktatury kobiet".*** Najbardziej znane publicznie wystąpienie poseł Joanny Scheuring-Wielgus. Parlamentarzystka skandowała hasło podczas czarnego protestu, chcąc wesprzeć feministki domagające się liberalizacji ustawy aborcyjnej. Do dziś nie sprecyzowała, co tak naprawdę miała na myśli.

E – ***Escobar.*** A w zasadzie San Escobar. Nieistniejące państwo na Karaibach, z którym Polska – jak twierdził ówczesny szef MSZ Witold Waszczykowski – nawiązała stosunki dyplomatyczne podczas obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ

eprasa.pl 74272a8403

w Nowym Jorku w 2017 r. W rzeczywistości chodziło o San Cristóbal y Nieves. Internauci wykpili wpadkę polityka PiS, a nieistniejące państwo doczekało się w Internecie swojej strony WWW, flagi i hymnu.

F – ***Funkcjonariusze CBA.*** Budzili popłoch wśród polityków opozycji w mijającej kadencji. Ich „ofiarą" padł m.in. poseł PO Stanisław Gawłowski, któremu prokuratura postawiła wiele zarzutów korupcyjnych. W styczniu 2018 r. władze klubu PO przeprowadziły dla swoich posłów szkolenia: „Co zrobić, gdy CBA zapuka do drzwi".

G – ***Gorszy sort.*** Określenie, którego użył Jarosław Kaczyński na opisanie Polaków, którzy – jak mówił na antenie telewizji Republika – kolaborowali z przedstawicielami nieżyczliwych Polsce krajów ościennych. Wystąpienie lidera PiS wywołało burzę, a hasztagiem #gorszysort zaczęli podpisywać się w mediach społecznościowych sympatycy opozycji.

H – ***Handel.*** Realizacja jednej ze sztandarowych obietnic wyborczych PiS – wprowadzenia niedziel wolnych od handlu – budząca olbrzymie emocje. Przeciwnicy mówią o stratach, które ponieśli przedsiębiorcy, zwolennicy o korzyściach dla rodzin, które mogą wspólnie spędzać czas.

I – ***Izrael.*** Przeciwnik, z którym rząd PiS sromotnie przegrał wojnę dyplomatyczną o prawdę historyczną. W styczniu 2018 r. Sejm przyjął ustawę o IPN pozwalającą prokuraturze na ściganie osób pomawiających Polskę o współpracę z Niemcami w dziele Zagłady, jednak pod naciskiem izraelskiej dyplomacji i mediów Polska wycofała się z kontrowersyjnych dla Żydów zapisów.

J – ***Jeździec.*** Miał być nim Donald Tusk na białym koniu wracający do Polski, by poprowadzić opozycję do zwycięstwa nad PiS. Sondaże wyborcze wskazują jednak, że rumak, który miał ponieść Tuska ponownie do władzy, najwyraźniej okulał.

K – ***Konstytucja.*** Najbardziej popularna lektura wśród opozycjonistów. Niewielu ją przeczytało, wielu chętnie cytuje i się na nią powołuje. Ma być też notorycznie łamana przez Jarosława Kaczyńskiego i rządy PiS. Uniwersalny straszak przed wyborami, w ich trakcie i po nich.

L – ***LGBT.*** Niebezpieczna i szkodliwa ideologia środowisk homoseksualnych coraz intensywniej wkraczająca do Polski. Bywało, że osoby sprzeciwiające się promocji LGBT były ścigane sądownie, wyrzucane z pracy lub zastraszane.

M – ***„Mieszkanie Plus".*** Jeden ze społecznych programów rządu PiS. Na razie z planów budowy 100 tys. tanich mieszkań dla młodych niewiele wyszło. Powstało dotąd dopiero 867 lokali, 864 kolejne są w trakcie budowy, a w fazie projektowej jest 18 tys. następnych.

N – ***Nadzwyczajna kasta.*** Pochlebne określenie sędziów użyte przez sędzię

REKLAMA

MNK

zbiory.mnk.pl

od
23 września
2019

cyfrowa
kolekcja
Muzeum
Narodowego
w Krakowie

Fundusze Europejskie Polska Cyfrowa
Rzeczpospolita Polska
Centrum Projektów Polska Cyfrowa
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

MNK Muzeum Narodowe w Krakowie
Bliżej kultury. Cyfryzacja reprezentatywnych kolekcji jednego z najstarszych i największych muzeów w Polsce – Muzeum Narodowego w Krakowie dla e-kultury i e-edukacji
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PATRONATY HONOROWE:
MAŁOPOLSKA

eprasa.pl 74272a8403

Irenę Kamińską na Kongresie Sędziów Polskich. Stało się synonimem korupcji, zepsucia, braku etyki zawodowej środowiska sędziowskiego III RP.

O – ***Oczyszczalnia Ścieków „Czajka" w Warszawie.*** Jej awaria spowodowała, że do Wisły wypuszczono blisko 2 mln m sześc. ścieków. Warszawski magistrat kierowany przez Rafała Trzaskowskiego, nie radząc sobie z awarią, ponad dobę ukrywał informacje o niej. Zdaniem części ekspertów ochrony środowiska skutki dla ekosystemu Wisły będą katastrofalne.

P – ***Podkarpacka afera.*** Dotyczy funkcjonowania jednej z agencji towarzyskich na Podkarpaciu; z usług prostytutek mieli korzystać funkcjonariusze służb, ludzie Kościoła i politycy. Właściciele agencji mieli korzystać z policyjnej ochrony, a część potajemnie zrealizowanych nagrań ponoć trafiła na Wschód.

R – ***Repolonizacja mediów.*** Jak wynikało z zapowiedzi, miała zostać przeprowadzona ustawa ograniczająca obecność zagranicznego kapitału w mediach wydawanych w Polsce oraz możliwość koncentracji tytułów przez jednego wydawcę. Często powtarzana obietnica PiS, z której wyszło wielkie nic.

S – ***Sześciu Króli.*** Święto katolickie obchodzone – zdaniem Ryszarda Petru – na początku stycznia. Wpadka polityka stała się hitem kadencji, a sam Petru zapisał się w pamięci jako twórca kolejnych memotwórczych powiedzeń, np. „Głowa psuje się od góry". Nie tylko liczba, lecz także imiona władców pielgrzymujących do Betlejem wzbudziły kontrowersje. Zdaniem posła Arkadiusza Myrcha z PO wołano na nich: Kacper, Melchior i… Belzebub.

T – ***Trybunał Stanu.*** Mają przed nim stanąć – jak zapowiadają liderzy opozycji – członkowie rządu PiS, posłowie rządzącego obozu oraz Jarosław Kaczyński. Żeby groźbę zrealizować, opozycja musiałaby najpierw wygrać wybory, na co się na razie nie zanosi.

U – ***Ubecja.*** Dostała po kieszeni w wyniku ustawy dezubekizacyjnej zmniejszającej wysokość emerytur wypłacanych funkcjonariuszom służb specjalnych PRL. Część polityków PO, m.in. Tomasz Siemoniak, zapowiada jej uchylenie w przypadku wygranych wyborów.

W – ***„Wolne sądy".*** Akcja opozycji zorganizowana w proteście przeciw przyjętym przez Sejm głosami posłów PiS ustawom mającym reformować polskie sądownictwo, w tym Sąd Najwyższy i Krajową Radę Sądownictwa. Szybko okazało się, że na czele protestu stoją sami sędziowie zagrożeni utratą stanowisk bądź dotychczasowych wpływów, a sformułowanie „wolne sądy" przerodziło się w próbę zastraszania i zaszczuwania sędziów popierających zmiany w sądach powszechnych. Akcja opozycji, tak jak kontrakcja – współpraca „prorządowych" sędziów z Ministerstwa Sprawiedliwości z internetową hejterką „Małą EmiE", publikującą w Internecie informacje kompromitujące sędziów „antyrządowych" – pokazała, że sądy w III RP nie są i długo jeszcze nie będą ani wolne, ani niezależne.

W – ***„Wolne media".*** Operacja opozycji zbliżona do „Wolnych sądów". Tym razem podczas opozycyjnych wieców w obronie „wolnych mediów" prawicowi i konserwatywni dziennikarze byli obrażani i fizycznie atakowani, a politycy PO otwarcie grozili im zwolnieniami z pracy. Niemały wkład w obronę „wolnych mediów" mają członkowie „wolnych sądów" w groteskowych procesach „o zniesławienie" orzekający wysokie grzywny wobec publicystów uważanych za prorządowych.

Z – ***Zabójstwo Adamowicza.*** Tragedia, do której doszło w styczniu 2019 r. w Gdańsku. Zwolniony z więzienia, borykający się z poważnymi problemami psychicznymi mężczyzna – Stefan W. – ugodził nożem ze skutkiem śmiertelnym prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Część polityków opozycji i bliskich im mediów sugerowała, że była to zbrodnia inspirowana politycznie, a morderca miał żywić nienawiść do Adamowicza po krytycznych dla prezydenta Gdańska publikacjach prawicowych mediów. Narracja załamała się, gdy ujawniono, iż Stefan W., odsiadując wcześniej karę za napady na placówki bankowe, czytał, „Gazetę Wyborczą" i „Dziennik Bałtycki".

LICZBY KADENCJI

5 – ***„Piątka Kaczyńskiego".*** Pięć obietnic wyborczych przedstawionych przez Jarosława Kaczyńskiego w lutym bieżącego roku. Wśród nich jest m.in. deklaracja wypłaty 500 zł dodatku już na pierwsze dziecko i tzw. 13. emerytura – dodatkowe świadczenie wypłacane emerytom i rencistom.

6 – ***„Sześciopak Schetyny".*** Sześć propozycji wyborczych złożonych w lipcu tego roku. Wśród nich jest m.in. wypłata specjalnej premii „za aktywność" każdemu, kto zarabia poniżej 4,5 tys. zł. Brzmi ciekawie, ale jest jeden problem – kilka tygodni później pytany przez dziennikarzy Schetyna nie potrafił swoich obietnic powtórzyć.

60 i 65 – ***Obecny wiek emerytalny kobiet i mężczyzn.*** W maju 2012 r. rząd Donalda Tuska podniósł go do 67 lat (i miał stopniowo wyrównywać różnicę wieku), co wywołało spore niezadowolenie społeczne. W październiku 2017 r., po inicjatywie prezydenta Andrzeja Dudy, wiek emerytalny został obniżony do poziomu 60 i 65. W lipcu tego roku lider PO Grzegorz Schetyna przyznał, że jego wcześniejsze podniesienie było błędem.

300 – ***„Dobry start",*** a więc „300+". Wprowadzony w lipcu 2018 r. przez rząd Mateusza Morawieckiego program społeczny. Co roku na każde dziecko rodziny otrzymują 300 zł zasiłku na zakup wyprawki szkolnej.

500 – ***„Rodzina 500+".*** Rządowy program społeczny uruchomiony przez gabinet Beaty Szydło, mający wspierać rodziny comiesięczną dotacją w wysokości 500 zł na każde niepełnoletnie dziecko (wcześniej – do lipca tego roku na drugie i każde kolejne).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY HISTORIA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

ANDRZEJ FLONT
„GRA CIENI. 21 NAJBARDZIEJ TAJEMNICZYCH POSTACI W HISTORII CYWILIZACJI"

~~731 ZŁ~~ > **280,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 451 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 74272a8403

MARCIN MAKOWSKI: „To już koniec transferów społecznych, na więcej Polskę nie stać" – maj. „Nie widzę rezerw finansowych na kolejne, szerokie programy społeczne" – czerwiec. „Przyszła kadencja to powinno być stymulowanie rozwoju gospodarczego i naprawa instytucji państwowych" – sierpień. Kto to powiedział?

JAROSŁAW GOWIN: Rozumiem, do czego pan pije. Jeśli jednak przeczytać cały program Prawa i Sprawiedliwości, to w rozdziale o nowoczesności wzbogacony został o propozycje Porozumienia. Tam nacisk położono na sprawy rozwojowe. Natomiast szybkie tempo wzrostu płacy minimalnej rzeczywiście będzie sporym wyzwaniem dla polskich przedsiębiorców. Przy czym jeżeli chodzi o tych mniejszych, to z inicjatywy mojej oraz minister Jadwigi Emilewicz obejmiemy ich kordonem ochronnym, polegającym na zmniejszeniu ZUS.

Powiedział pan w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej", że czuje się „rzecznikiem klasy średniej", ale jak klasa średnia ma wierzyć w „kordon ochronny", gdy parę miesięcy temu zapewniał pan, że to już koniec transferów społecznych i obciążeń przerzucanych na przedsiębiorców.

Bądźmy precyzyjni. Po pierwsze, szybki wzrost płacy minimalnej to nie „socjal", tylko zmiana modelu rozwoju gospodarczego. Nie może on już dłużej opierać się na taniej sile roboczej, czyli – nazywając rzecz po imieniu – na niskich płacach Polaków. W intencjach PiS wzrost tempa podnoszenia wynagrodzeń to bodziec dla firm, by podnosiły swoją innowacyjność, a więc i produktywność. A co do klasy średniej, to mamy na ten temat częste rozmowy z premierem Morawieckim. On zwraca mi uwagę, że grupa, którą w Polsce określa się tym mianem, jest wyjątkowo nieliczna, a celem Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju jest m.in. jej poszerzenie. Trudno nie akceptować tego celu, pytanie o drogę dojścia. Na pewno w stosunku do PKB zarobki Polaków są zbyt niskie, nie dochodzą nawet do połowy średniej w krajach Unii Europejskiej.

I dlatego minimalne wynagrodzenie trzeba w ciągu trzech–czterech lat podnieść o 75 proc.?

Kierunek jest dobry, skutki trzeba będzie monitorować. Mój przyjaciel, wybitny ekonomista, sympatyzujący od zawsze z PiS, powiedział kiedyś trafnie, że z pensją minimalną jest jak z brzytwą: można się nią ogolić, a można i pociąć. Jeśli w najbliższym czteroleciu utrzymamy tempo rozwoju z obecnej kadencji, firmy poradzą sobie ze wzrostem płac.

Chciałbym dopytać o zaprezentowany już program PiS-u. Adam Bielan stwierdził w rozmowie z Radiem ZET, że pisała go rada pod kierownictwem wicepremiera Piotra Glińskiego, a „liderzy Zjednoczonej Prawicy ten tekst autoryzowali". Czyli pod tym wszystkim musiał się również i pan podpisać. Zgłaszał pan podczas dyskusji na jego temat zastrzeżenia, o których teraz mówi?

Jak słusznie pan zauważył, to program Prawa i Sprawiedliwości. Porozumienie wniosło do niego swój wkład w rozdziale poświęconym nowoczesnej gospodarce, innowacyjności i nauce. Byliśmy też konsultowani w kluczowych punktach, takich jak wzrost minimalnego wynagrodzenia. To na nasz – a konkretnie mówiąc minister Emilewicz i mój – wniosek uzupełniono to rozwiązanie o obniżenie ZUS dla małych firm, którym będzie on liczony nie od przychodu, a od dochodu, a więc w sposób znacznie korzystniejszy.

Tylko dlaczego na konwencji programowej w Lublinie, gdy przedstawiano ten projekt, ani premier, ani prezes nie dopowiedzieli kluczowego elementu, tj. zastrzeżenia, że to nie dotyczy największych przedsiębiorców. Trzeba to było później prostować, a przez kilka dni w mediach trwały spekulacje o szacowanych podwyżkach świadczeń.

Byłem na tej konwencji, słuchałem uważnie słów premiera Morawieckiego i były one całkiem jednoznaczne. Wątpliwości medialne, podsycane przez opozycję, były moim zdaniem całkiem nieuzasadnione.

Przejdźmy do zniesienia limitu 30-krotności składek. To jedna ze spraw od lat polaryzujących środowisko biznesowe z rządem.

Z Jarosławem Gowinem, wicepremierem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego
rozmawia Marcin Makowski

Wzrost płacy minimalnej to nie „socjal"

eprasa.pl 74272a8403

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 74272a8403

Moja partia jest temu rozwiązaniu zdecydowanie przeciwna. Ponieważ nie było mnie na posiedzeniu rządu, gdy tę sprawę rozstrzygano, upoważniłem minister Jadwigę Emilewicz do tego, aby w imieniu Porozumienia zgłosiła zdanie odrębne.

A jeżeli ono nie wystarczy, co pan zrobi?

Na ten temat będziemy dyskutować po wyborach, bo to dopiero przyszły Sejm zajmie się projektem nowego budżetu. Dla mnie jest rzeczą oczywistą, że Polska powinna startować w wyścigu o talenty. W czasach czwartej rewolucji przemysłowej na rozwój cywilizacyjny danego kraju największy wpływ ma klasa kreatywna: wysoko wykwalifikowani specjaliści, naukowcy, informatycy, mechatronicy, średnia kadra inżynierska w przemyśle itp. To nie żadni „bogacze", o których obronę oskarżył mnie jeden z tabloidów. To typowa klasa średnia, od której zależy poziom zamożności całego społeczeństwa. Jeśli poprzez zniesienie 30-krotności obniżymy im zarobki, dając w zamian obietnicę wysokiej emerytury, będą przechodzić z umów etatowych na jednoosobową działalność gospodarczą. W skrajnych przypadkach mogą zdecydować się na emigrację, jak stracone dla Polski pokolenie, które wyjechało na Zachód po wejściu naszego kraju do Unii.

I panu jako „rzecznikowi klasy średniej" nóż w kieszeni się nie otwiera, gdy to widzi?

Jako minister nauki, współodpowiadający za innowacyjność, mam obowiązek reprezentować racje tej grupy, tym bardziej że są one zbieżne z interesem ogółu. W ostatnich latach zrobiliśmy bardzo dużo, by pomóc tym grupom społecznym, na czele z młodymi rodzinami wychowującymi dzieci, których położenie ekonomiczne było najtrudniejsze. I słusznie. Jestem z tego bardzo dumny! Ale nie możemy zapominać o tych ludziach, których sukces napędza sukces całej Polski.

Poseł Joanna Lichocka swego czasu napisała: „To właśnie jest przywracanie normalności. Chodzi o równość, nie o kastowość" oraz „PiS podnosi składkę na emerytury – alarmuje postkomuna. O co chodzi? Ano o to, że w systemie III RP zwykli Polacy muszą płacić składkę ZUS przez cały rok. Są jednak Polacy równiejsi – którzy jej płacić nie muszą". Takie argumenty do pana przemawiają?

Nie. Bo wraz ze zniesieniem 30-krotności przyjmujemy też zobowiązanie do wypłacania w przyszłości bardzo wysokich emerytur. Mówiąc krótko, to jest tworzenie ukrytego długu publicznego. Ale o tym będziemy debatować, o ile Zjednoczona Prawica wygra wybory i pozostanie przy władzy. Na razie sprawa jest otwarta.

Jeździ pan dużo po Polsce, rozmawia z ludźmi. W małych i średnich miastach część elektoratu PiS to drobni przedsiębiorcy. Czy oni się panu żalą, że przy tak skokowym podniesieniu płacy minimalnej będą musieli w swoich zakładach zwalniać pracowników i zwijać działalność?

Mam w sobie ogromny podziw dla polskich przedsiębiorców. To oni wydźwignęli Polskę z ruiny po czasach komunizmu. Jestem pewien, że zdołają się przestawić na działalność bardziej innowacyjną; w szerszym obszarze wejść w robotyzację i automatyzację.

Jak ma to zrobić np. zakład fryzjerski?

Oczywiście są takie dziedziny, w których to niemożliwe. Krawcowa nie kupi robota do szycia, a szewc nie zautomatyzuje swojej pracy. Z myślą właśnie o takich firmach wprowadziliśmy tzw. mały ZUS, który już wkrótce będzie jeszcze mniejszy, bo liczony od zysku, a nie obrotów.

Ale czy on zrównoważy koszty przedsiębiorcy zatrudniającego dwóch lub trzech pracowników, któremu w dodatku te koszty tak dramatycznie podniesiono?

Będziemy z uwagą obserwować skutki podwyższenia wynagrodzeń. Dzisiaj jest tak, że polscy przedsiębiorcy trzymają na kontach setki miliardów złotych. Jeśli chociaż część z tego przeznaczą na unowocześnienie produkcji i inwestycje w innowacyjność, zneutralizują skutki podnoszenia płacy.

To brzmi tak, jakby państwo mówiło do przedsiębiorcy: „Jesteśmy mądrzejsi od ciebie, dlatego stworzyliśmy impuls rozwojowy polegający na tym, że dostosujesz się albo znikniesz z rynku". Pachnie paternalizmem albo gospodarką centralnie planowaną.

Prawo i Sprawiedliwość akurat zawsze opowiadało się za solidaryzmem i silną, aktywną rolą państwa w gospodarce. Pańskie pytanie jest raczej wyrzutem wobec takiego polityka jak ja – przywiązanego do ideałów wolnorynkowych. Zwracam jednak uwagę, że mechanizm minimalnego wynagrodzenia istnieje w Polsce od dziesiątków lat i nie było ani politycznego, ani społecznego zezwolenia, aby od niego odchodzić. Proszę również zwrócić uwagę, że Platforma wpisała do programu Koalicji Obywatelskiej większość zapisów solidarystycznych naszego rządu, w niektórych obszarach idąc nawet znacznie dalej.

Czy w przyszłej kadencji Sejmu, jeśli wygra Zjednoczona Prawica, będą również rosły pensje w sektorze budżetowym?

To konieczne. Nożyce między poziomem zarobków w sferze rynkowej i w sferze budżetowej rozwarły się nadmiernie. Jeżeli mamy mieć silne, sprawcze i sprawne państwo, nauczyciele, wykładowcy akademiccy, urzędnicy, policjanci i inne grupy opłacane z budżetu muszą zarabiać więcej.

„To indywidualny pogląd. Być może mamy inne poczucie wartości pieniądza. Dla mnie ta kwota to dobre pieniądze. Tym bardziej że politycy powinni się raczej zajmować tymi, którzy zarabiają 1,5 tys. zł, jak w powiecie przysuskim" – powiedział rzecznik PiS Radosław Fogiel o pana słynnym już zdaniu, że 8 tys. na rękę dla specjalistów w dużym mieście to nie jest wielkie wynagrodzenie. Żałuje pan swoich słów?

Nie żałuję. Media wyrwały moje słowa z kontekstu. Chodziło mi o coś, co według mnie stanowi polską rację stanu: o tworzenie uczciwych warunków do rozwoju dla klasy średniej. Bez ciężkiej pracy, innowacyjności, przedsiębiorczości tych ludzi w budżecie nie byłoby pieniędzy na szerokie programy społeczne, które realizuje nasz rząd.

A może to tylko – jak po pana wypowiedzi ironizowała część dziennikarzy i polityków –

Wraz ze zniesieniem 30-krotności przyjmujemy też zobowiązanie do wypłacania w przyszłości bardzo wysokich emerytur. Mówiąc krótko, to jest tworzenie ukrytego długu publicznego

eprasa.pl 74272a8403

„hamletyzowanie Gowina", który chce się usilnie wyróżnić, obawiając losu przystawki dla PiS, łatwej do usunięcia, gdy partia zdobędzie samodzielną większość.

Przypomnę panu pewne posiedzenie Sejmu z 25 stycznia 2013 r., kiedy rozważaliśmy trzy projekty ustaw na temat związków partnerskich. Jako minister sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska wyszedłem na mównicę i powiedziałem, że każdy jest sprzeczny z konstytucją i to moje oficjalne stanowisko. Tusk wyszedł po mnie na mównicę, polemizował, a następnie przegrał głosowanie, również przy udziale sporej części posłów PO. Wtedy wezwał mnie do gabinetu rządowego, który znajduje się na zapleczu sali sejmowej, i powiedział, że dla nas dwóch miejsca w tej samej partii nie ma. Wygłaszając swoją opinię, wiedziałem, że konsekwencją będzie szybka dymisja. Odchodziłem z Platformy, która miała premiera, prezydenta, 16 marszałków województw, w czasie gdy wszystkie sondaże pokazywały, że ta partia nadal będzie rządzić. W związku z tym nie widzę potrzeby udowadniania, że jestem politykiem przywiązanym do swoich poglądów.

Marszałek Ryszard Terlecki powiedział w Trójce, odwołując się do omawianego przez nas programu PiS, że celem rządu w warstwie medialnej jest: „Próba ucywilizowania tej narastającej komplikacji, jaką są media społecznościowe, portale, które pozwalają sobie na rzeczy nieprzyjemne". Zaproponowano również utworzenie „samorządu dziennikarskiego". Po co to wam na końcu kampanii?

O tym akurat postulacie nie rozmawialiśmy w trakcie dyskusji o programie.

Nie zgadza się pan z nim?

Na pewno nie ma w nim nic groźnego. Chodzi o unormowanie obniżających się radykalnie standardów dziennikarskich. Jestem w polityce od 14 lat. W tym czasie obserwuję spadek jej poziomu, ale jeszcze szybciej obniża się on w mediach.

Chce pan powiedzieć, że politycy będą teraz regulować, jak dziennikarze mają pisać?

Proszę się nie obawiać. Nie znam w obozie Zjednoczonej Prawicy nikogo, kto nie doceniałby wolności mediów jako gwaranta demokracji. Rozumiem, że autorom tej propozycji chodzi o zainicjowanie w środowisku dziennikarskim wewnętrznej debaty nad standardami medialnymi w dobie Internetu i mediów społecznościowych. Mogę też zapewnić za licznymi politykami PiS o rzeczy bezdyskusyjnej: uprawianie zawodu dziennikarza nie może zależeć od przynależności do żadnego samorządu ani organizacji. Ten zawód musi pozostać wolny.

Pozdrawiamy zatem Grzegorza Schetynę, ale na koniec pytanie odwołujące się bezpośrednio do pańskiego wykształcenia. „W pełni uprawnione jest twierdzenie, że w Polsce nauce moralnej Kościoła można przeciwstawić tylko nihilizm" – mówi Jarosław Kaczyński. Pan jako filozof musi chyba zadrżeć, czytając podobne uproszczenie.

Jako filozof, katolik, polityk i obywatel mam odmienne stanowisko. Polskość jest stopem wielu tradycji. Święty Jan Paweł II, odwołując się do tradycji jagiellońskiej, przypominał przecież, że Polska była przez stulecia tyglem wielu kultur, religii i narodów. Oczywiście nie da się wyobrazić polskości bez zwornika, którym jest Kościół katolicki, ale również bez prawosławnych mieszkających na Podlasiu, polskich Tatarów czy ewangelików z Cieszyna, już nie mówiąc o roli, którą w polskiej historii odegrali wyznawcy judaizmu. Mamy też piękne tradycje etyki świeckiej. A niejeden niewierzący mógłby być dla nas, katolików, wzorem do naśladowania.

Czy to spór światopoglądowy będzie ostatnim akordem kampanii? A może skupi się ona jednak na kwestiach programowych i socjalnych?

Swoją wyrazistością ideową Lewica może doprowadzić do tego, że ostatnie tygodnie kampanii zdominuje spór światopoglądowy. Ale jeżeli by mnie pan zapytał, czy mnie to cieszy, odpowiedź brzmiałaby zdecydowanie negatywnie. Problemy światopoglądowe są oczywiście ważne, ale powinniśmy je raczej rozstrzygać we własnym sumieniu, a nie czynić z nich oręż polityczny.

Odważna krytyka również własnego środowiska politycznego.

Zjednoczona Prawica reaguje na atak ze strony środowisk lewicowo-liberalnych, a nie jest w tym sporze stroną agresywną. I niech tak zostanie.

Schetyna, a znam go dobrze, zakłada, że Koalicja Obywatelska poniesie porażkę i zostanie w opozycji. Dlatego szuka kogoś, z kim może się podzielić odpowiedzialnością

Zmieniając temat: dlaczego rząd zawiesił po raz pierwszy w historii obrady Sejmu? Opozycja twierdzi, że to element szerszej gry na wypadek przegranych wyborów.

W tej decyzji nie ma niczego tajemniczego. Po prostu nie byliśmy w obecnych warunkach w stanie przeprocedować wielu ważnych projektów, którym groziła dyskontynuacja. Mówiąc krótko, na październikowym posiedzeniu chcemy głosować nad wieloma ustawami z tej kadencji, które nie budzą żadnych kontrowersji, choćby nad tymi, które mają zwiększyć wynagrodzenia pracownikom Polskiej Akademii Nauk i instytutów badawczych.

Czy zaskoczyła pana decyzja Grzegorza Schetyny, aby usunąć się w cień, a jako kandydatkę na premiera zaproponować marszałek Małgorzatę Kidawę-Błońską? Wierzy pan w to, że może być samodzielnym politykiem?

To była zręczna decyzja, ale patrzę na nią w kategoriach uniku Grzegorza Schetyny. Po pierwsze, jego polityczne otoczenie dobitnie uświadomiło mu, że jest wizerunkowym obciążeniem całego obozu, więc nie miał wyboru. Po drugie Schetyna, a znam go dobrze, zakłada, że Koalicja Obywatelska poniesie porażkę i zostanie w opozycji. Dlatego szuka kogoś, z kim może się podzielić odpowiedzialnością. Ruch z marszałek Kidawą-Błońską jest również o tyle zręczny, że jestem pewien, iż zaraz po wyborach zostanie ona ogłoszona kandydatką na prezydenta.

To uderzenie w Donalda Tuska?

Oczywiście. Nie jest tajemnicą, że Małgorzata Kidawa-Błońska od zawsze trzymała z byłym premierem. Jestem przekonany, że Grzegorz Schetyna, czytając te słowa, uśmiecha się teraz w charakterystyczny, nieco zbliżony do rekina sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Piotr Semka

Słabość Koalicji Obywatelskiej służy nie tylko PiS, lecz także przede wszystkim Lewicy. Jak wygląda kampania w barwach czerwieni, fioletu i bordo?

Lewico, oszczędzaj siły do walki z PiS. Platforma za moment zapadnie się sama" – to wezwanie publicysty „Krytyki Politycznej" dobrze oddaje optymizm Lewicy na ostatniej prostej wyborów. Sławomir Sierakowski w „Polityce" z satysfakcją głosi: „Lewica się wykuwa. [...] do kampanii wyborczej przystępuje zmotywowana, zjednoczona ponad partyjnymi podziałami i z chłodną głową".

Istotnie, zadyszka Koalicji Obywatelskiej pomaga nie tylko PiS, lecz przede wszystkim Lewicy. Coraz bardziej widać, jak Małgorzata Kidawa-Błońska nie spełnia nadziei na ożywienie kampanii Koalicji Obywatelskiej. Grzegorz Schetyna, który sam nie potrafi wymienić wszystkich punktów swojej szóstki, jawi się równie bezradnie jak sztab KO, który sięga po hashtag używany przez hejterów: „Silni razem".

Na tym tle Lewicy udało się wypadać znacznie lepiej niż dotychczasowy lider opozycji. Polityków z partii Włodzimierza Czarzastego, Roberta Biedronia i Adriana Zandberga łaskawie traktuje też TVP. Z punktu widzenia taktyki wyborczej nie dziwi to, gdyż spłaszczenie wyników KO i Lewicy jest dla PiS niezwykle wygodne.

UŚMIECHY Z ZACIŚNIĘTYMI ZĘBAMI

Przyznać trzeba, że ci, którzy wieszczyli ciągłe kłótnie między SLD, Wiosną i Razem, mylili się. Czarzasty, Biedroń i Zandberg zrozumieli, że to jest ich ostatnia szansa na zaistnienie w polityce, i starannie ukrywają ewentualne animozje. Listy podzielono z zimnym wyrachowaniem. Czarzasty nie upierał się, by startować w Warszawie, i oddał tutaj jedynkę Zandbergowi. Z kolei lider Razem uznał fakt, że na listę muszą wejść stare PRL-owskie dinozaury w stylu Marka Dyducha, Roberta Kwiatkowskiego czy Małgorzaty Sekuły-Szmajdzińskiej.

eprasa.pl 74272a8403

A Biedroniowi bez problemów wybaczono jego wcześniejsze kpiny z rywali po lewej stronie.

Bardzo powściągliwi wobec siebie liderzy trzech lewicowych ugrupowań nie mieli za to skrupułów, by twardo pertraktować z lewicowymi singlami. I tak we Wrocławiu dość obcesowo potraktowano „ikonę" feministek Martę Lempart, której nie zaproponowano miejsca na miarę jej ambicji. Podobnie było w Warszawie, gdzie Jan Śpiewak otrzymał dosyć twardą propozycję: albo czwarte miejsce na liście, albo nic. Śpiewak wybrał „nic", ale zemścił się oskarżeniem, że Zandberg jako warszawska jedynka bał się z jego strony konkurencji.

Wypchnął wszystkie kobiety ze znaczącymi nazwiskami". O ile media zachowały się dość rycersko i nie pociągnęły aluzji na temat relacji Czarzasty–Żukowska, o tyle sensacje Żukowskiej, że „pies pani Jaruzelskiej chciał zgwałcić moją sunię", stały się hitem Internetu.

KUKSAŃCE

Jednak te wszystkie awantury godne magla nie przylgnęły w jakimś znaczącym stopniu do wizerunku Lewicy. Sojusz Czarzastego, Zandberga i Biedronia oscyluje między 12 a 14 proc. Czy ma jeszcze szanse na jakiś skok sondażowy w górę? Sztabowcy Lewicy wierzą, że tak. Zakładają, że autokompromitacja Koalicji Obywatelskiej będzie postępować i trzeba atakować słaby punkt KO, czyli obóz Inicjatywy Polskiej.

To ugrupowanie Barbary Nowackiej znajduje się w niewygodnej sytuacji. Nowacka wiele lat lansowała aborcję na życzenie, ale po wejściu do obozu Schetyny musi ograniczać się wyłącznie do gromkich deklaracji walki o prawa kobiet bez naruszania „kompromisu aborcyjnego". Specjalnie, aby dopiec Nowackiej, liderzy ugrupowań lewicowych podpisali 14 września 10-punktowy „Pakt dla kobiet", postulujący m.in. przerywanie ciąży na żądanie do 12. tygodnia rozwoju dziecka. Podpisanie „Paktu dla kobiet" zaproponowano też Koalicji Obywatelskiej, a gdy ta zignorowała tę zaczepkę, to posypały się na nią gromy. Marcelina Zawisza, kandydatka Lewicy, wypunktowała na Twitterze: „Wielka szkoda, że KO nie zagłosuje za europejskim standardem w sprawie przerywania ciąży. To smutne".

Nie jest też przypadkiem, że kandydaci Lewicy z lubością proponują debaty kandydatom KO. Przykładowo Cezary Olejniczak startujący z dwójki na liście Lewicy w okręgu sieradzkim zaprosił inne dwójki do debaty przedwyborczej. Zaproszenie odrzucił Dariusz Joński, były polityk SLD i dwójka z listy KO.

Największym problemem Lewicy jest oczywiście brak szans na dogonienie PiS w dziedzinie obietnic socjalnych.

Lewica ma duży apetyt

Osobnym przypadkiem była Monika Jaruzelska, która ku zaskoczeniu wszystkich nie trafiła na listy, bo działacze Razem i Wiosny zarzucili córce generała, że jest zbyt konserwatywna. I tu Czarzasty, choć mógł podejrzewać, że celebrytka liberalnych salonów zbierze wiele głosów wyborców SLD, to zaakceptował weto kolegów z koalicji. Cała sprawa zaowocowała potem kuriozalnym wywiadem Jaruzelskiej w „Dzienniku Gazecie Prawnej", w którym Jaruzelska zaczęła dywagować na temat życia osobistego Czarzastego i jego relacji z rzeczniczką SLD Anną Marią Żukowską. Jak stwierdziła Jaruzelska, Czarzasty „nie chciał, by z Warszawy kandydowała Jaruzelska, Piekarska i Waniek.

Adrian Zandberg próbuje nadrobić tę słabość stawianiem hasła „nowoczesnego państwa dobrobytu". Jak wskazuje lider Razem, Polacy rzekomo chcą nie tylko „500+", lecz także świeckiego państwa, aborcji dla kobiet i usunięcia religii ze szkół. Lewica sięga też chętnie po kwestie, które są dla PiS piętą achillesową – sprawy ochrony zdrowia, sprawy klimatu i wreszcie drożyzny. W kwestiach pensji minimalnej Lewica niczym nie różni się od PiS – chce jej szybkiego i znaczącego wzrostu.

Nie sposób nie odnieść jednak wrażenia, że każdy z liderów najlepiej czuje się w kwestiach ideologicznych. Na spotkaniu w Białymstoku politycy Lewicy

REKLAMA

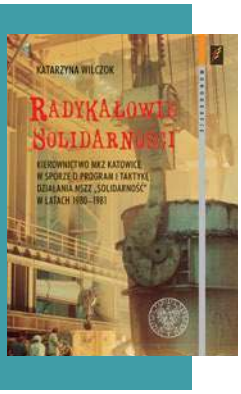

Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na promocję książki Katarzyny Wilczok

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

„Radykałowie „Solidarności". Kierownictwo MKZ Katowice w sporze o program i taktykę działania NSZZ „Solidarność" w latach 1980–1981"

Udział wezmą:

dr Katarzyna Wilczok, autorka, Uniwersytet Śląski

dr hab. Sławomir Cenckiewicz, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego

Andrzej Rozpłochowski, działacz opozycji w okresie PRL i jeden ze współtwórców śląskiej „Solidarności"

Prowadzenie: **dr Jędrzej Lipski**

25 września (środa) 2019 r. godz. 17:30

Przystanek Historia
Centrum Edukacyjne IPN
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

Patroni medialni:

Organizatorzy:

eprasa.pl 74272a8403

grzmieli: „Nie pozwolimy na kult postaci, których przeszłość nie jest jednoznaczna. Które mają krew na rękach. Przywrócimy rzetelność edukacji historycznej". Wyraźnie chodziło o ukłon dla tradycyjnie wspierającej Lewicę na Podlasiu ludności białoruskiej, która odrzuca czczenie powojennego „wyklętego" Romualda Rajsa „Burego". W tym samym kierunku kierowane były słowa Lewicy o potrzebie „poprawy relacji ze wschodem". Wszystko bez najmniejszego wyjaśnienia, jak dać sobie radę z agresywnym stylem Putina i częściowo Łukaszenki. Niekiedy politycy Lewicy wpadają już w jawny populizm, gdy np. głoszą, że zrezygnują z zakupu samolotów F-35, co ujawnił Włodzimierz Czarzasty. „Te samoloty są maszynami szturmowymi i Lewica – ani Zandberg, ani Biedroń, ani Czarzasty – nie zamierza atakować któregokolwiek z sąsiadów".

Lider SLD z chęcią wkracza też w tradycyjną dla Lewicy śpiewkę antyklerykalną. Na konferencji w Toruniu Włodzimierz Czarzasty głosił: „Jesteśmy za tym, żeby wszyscy płacili podatki. Pielęgniarki płacą podatki, nauczyciele płacą podatki. Dlaczego usługi takie jak chrzest nie są opodatkowane?".

Wypowiadając te słowa, polityk Lewicy musiał mieć świadomość, że jest to już czysta demagogia. Każdy kapłan płaci podatek ryczałtowy od liczby wiernych, a w wypadku działalności gospodarczej płaci podatki takie same jak inni przedsiębiorcy. Natomiast takie posługi jak chrzest czy pogrzeb niosą ze sobą ofiary od wiernych, które nie są opodatkowane. Jest to podobna sytuacja jak w przypadku stowarzyszeń, które nie muszą płacić podatków od datków na działalność statutową.

Skłonności do domorosłej teologii nie wyzbył się też Robert Biedroń, który w imieniu liderów Lewicy ogłosił: „Jesteśmy trzema królami, którzy przyniosą zbawienie naszemu krajowi". Liczni internauci przypomnieli Biedroniowi, że trzej królowie przybyli przed oblicze maleńkiego Jezusa z hołdem, za to dzieło zbawienia było udziałem Boskiego Syna.

Co charakterystyczne w dziedzinie zaczepek wobec Kościoła, Lewica nie trzyma się żadnych standardów. Najbardziej prostackie chwyty są w cenie i nie słychać z tamtego obozu żadnych wezwań do mitygowania się.

W przypadku Biedronia widać też jego absolutną dezynwolturę w dziedzinie walki z prawicą na terenie Parlamentu Europejskiego. Lider Wiosny całkiem otwarcie przyznaje, że jego partia robiła i robi wszystko, aby PiS nie objął w instytucjach unijnych żadnych ważnych stanowisk. W rozmowie z Moniką Olejnik Robert Biedroń wręcz się chwalił: „Kordon sanitarny wokół PiS w Brukseli działa".

KONKRECIARZE I MARZYCIELE

W całej tej kampanii Włodzimierz Czarzasty wyraźnie wysuwa się na lidera nowego bloku. W końcu kandydaci Wiosny i Razem startują z listy o nazwie SLD. Czarzasty myśli perspektywicznie. Owszem, nie protestuje przeciwko podszczypywaniu Platformy, np. w kwestii stosunku do aborcji, ale dba, aby obóz Lewicy nie naruszył logiki okrągłostołowej, która nakazuje strategiczny sojusz Lewicy z Grzegorzem Schetyną.

Dlatego niezwykle ostro i szybko zareagował, gdy rzeczniczka Lewicy złamała zasady solidarności „okrągłostołowej". 6 września w TVP Info Anna Maria Żukowska wyraziła pogląd, że jeśli rzeczywiście Tusk i Kopacz wiedzieli o lukach w VAT i nie przeprowadzili działań, aby takie luki zlikwidować, to jest to powód do postawienia ich przed Trybunałem Stanu. Co więcej, uznała, że komisja sejmowa w sprawie VAT „dokonała tego w sposób rzetelny".

Już następnego dnia Żukowska, jak można się domyślać – pod wpływem ostrej reprymendy Czarzastego, ogłosiła samokrytykę za tamte słowa. „Występując wczoraj w programie »Gość «Wiadomości»«, popełniłam błąd, wypowiadając się na temat wniosków i trybu pracy komisji śledczej ds. wyłudzeń VAT. Nie powinnam była stawiać żadnych hipotez. Nie mam i moja partia nie ma do efektów pracy tej komisji zaufania i nie popieram stawiania Donalda Tuska oraz innych osób przed Trybunałem Stanu. Przepraszam za błąd".

Tak daleko idąca ekspiacja pokazuje, jak bardzo lider SLD dba, by nie zrobić niczego, co przeszkodziłoby ewentualnej koalicji PO z Lewicą. Pokazuje też to, jak bardzo słaba jest pozycja Zandberga, który w takiej sytuacji musiałby firmować układ dwóch politycznych macherów: Schetyny i Czarzastego. Zandberg zapłaci cenę za wejście w tę koalicję, gdyż nie ma ani ludzi, ani potencjału, który zrównoważyłby doświadczenie polityczne Czarzastego. A Biedroń i Wiosna wyżywać się będą razem raczej w walkach z PiS na forum Brukseli. Sylwia Spurek, eurodeputowana Wiosny, już weszła do specjalnej grupy, która ma zajmować się kwestią praworządności w państwach UE.

Typowa wrażliwość socjalna ma już w obozie Lewicy niewielu rzeczników. Po odepchnięciu od tego obozu Michała Syski z wrocławskiego Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a wśród kandydatów Lewicy pozostał w tej roli jedynie Maciej Gdula. Zauważają to tacy komentatorzy Lewicy socjalnej jak bloger T.K. Neuropkin, który tak komentował niedawno sytuację: „Zandberg i Razem mają minimalny lub zerowy wpływ na program Lewicy. Może warto pomyśleć o tym, by kto inny został twarzą Razem".

Jednak takie wezwania napotykają już pryncypialne przypomnienia, że najważniejszą misją Lewicy jest walka z „kaczyzmem". Na portalu „Krytyki Politycznej" redaktorka naczelna „KryPola" ostro zaprotestowała przeciwko nazywaniu PO „masą upadłościową" i snuje wizje strategicznego sojuszu z Platformą. „Lewica powinna oszczędzać siły do walki z PiS, bo zapowiada się, że walka ta jeszcze kilka lat potrwa. Czy jednak nie warto, żeby Lewica konserwatywno-liberalną formację czasem krytykowała, szczególnie w kwestiach praw kobiet, równości, poszanowania różnorodności? Czy to nie poszturchiwanie z lewej strony sprawiło, że liberałowie z PO stali się bardziej liberalni, tym razem nie w sensie gospodarczym [...], jeśli liberałowie to zrozumieją, to może im się nawet przydać w walce z PiS".

Szefowa „Krytyki Politycznej" stawia więc sprawę dość jasno. Z Platformą nie należy wojować, tylko leciutko namawiać ją, by zrezygnowała z dogmatycznego liberalizmu. Jeśli coś jest kwestią naprawdę ważną, to walka o odsunięcie PiS od władzy. Rzecz w tym, że jeśliby zdarzył się cud i partie opozycji mogłyby stworzyć koalicję, to jej kształt ustalałby Czarzasty ze Schetyną. A w tym duecie miejsca na lewicową wrażliwość socjalną za dużo by nie było. W tym sensie Lewica pozostaje nadal więźniem dwóch namiętności: rewolucji obyczajowej i antyklerykalizmu przy pozostawieniu marginesu na rzekomą wrażliwość wobec losu zwykłych ludzi.

Wiadomo już, że guest star ostatniej konwencji Lewicy 5 października będzie Aleksander Kwaśniewski. Ta symboliczna obecność na finale kampanii Lewicy mówi sam za siebie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Warszawa: **101 FM, DAB+**
Ostrołęka: **100,8 FM**

Płock: **101,9 FM**
Ostrów Maz.: **87,6 FM**

Radom: **89,1 FM**
Siedlce: **103,4 FM**

POLSKIE RADIO
RDC
Radio dla Ciebie
25 lat

www.rdc.pl

facebook.com/radiordc

instagram.com/radiodlaciebie

twitter.com/rdcpolskieradio

Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

eprasa.pl 74272a8403

Lewicowa telenowela

Kamila Baranowska

Monika Jaruzelska ma pretensje, że zabrakło dla niej miejsca na listach SLD do parlamentu. Startuje do Senatu samodzielnie i nie szczędzi liderowi Sojuszu ciosów. Także tych poniżej pasa

Monika Jaruzelska miała być jednym z atutów list Lewicy. Zamiast tego w ciągu paru tygodni stała się jej poważnym problemem. Wszystko za sprawą oskarżeń, które wprost i publicznie kieruje pod adresem SLD i lidera partii Włodzimierza Czarzastego. Zarzuca mu, że mimo składanych wcześniej obietnic nie umieścił jej na listach Lewicy do parlamentu.

Jaruzelska nie kryła, że po tym, jak rok temu została jedyną radną SLD w Warszawie, ma apetyt na więcej. Konkretnie na parlament. Wydawało się jej oczywiste, że po sukcesie w wyborach samorządowych (dostała 8,5 tys. głosów) o miejsce na listach Sojuszu nie będzie musiała specjalnie zabiegać. Zwłaszcza gdy okazało się, że lewica nie pójdzie do wyborów w szerokiej koalicji z Platformą, lecz montuje własną – lewicową.

– Dwa miesiące temu, kiedy miał być jeszcze wspólny start z Platformą, przewodniczący Czarzasty czekał na decyzję Grzegorza Schetyny. I powiedział, że mój start może być problemem, bo „Schetyna jest antykomunistą" – relacjonowała „Super Expressowi" córka odpowiedzialnego za wprowadzenie stanu wojennego gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

ROMANS, RZECZNICZKA, PIES

Okazało się, że jej start jest problemem nie tylko dla Schetyny, lecz także dla liderów nowo powstałej Lewicy, w skład której oprócz SLD weszły jeszcze Wiosna Roberta Biedronia i partia Razem Adriana Zandberga. Nieoficjalnie z Lewicy płynęły głosy, że Jaruzelska, owszem, mobilizuje część elektoratu tęskniącego za PRL i odebranymi przez PiS w wyniku przyjęcia ustawy dezubekizacyjnej przywilejami, ale jednocześnie może zrazić wyborców, którzy chcą nowej jakości na lewicy i nie chcą skojarzeń z PRL. Włodzimierz Czarzasty w wywiadach tłumaczy, że była to „decyzja koalicyjna". – Mamy prawo do układania list tak, jak uważamy. Moją decyzją było to, żeby Monika Jaruzelska startowała w Warszawie do rady miasta, i pod taką decyzją wtedy się podpisałem – stwierdził kilka dni temu w Polsat News.

Jaruzelska ma jednak własną teorię na ten temat. Podzieliła się z nią w niedawnym wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej", wywołując przy okazji sporo kontrowersji. – Wszyscy twierdzą, że to osobista decyzja Włodzimierza Czarzastego, bo bliższa jego sercu jest Anna Maria Żukowska [rzeczniczka SLD – przyp. red.] – powiedziała. – Mężczyźni w kryzysie wieku średniego robią różne rzeczy. Jak widać, każdy Kazimierz ma swoją Isabel – dodała.

Jaruzelska twierdzi też, że Czarzasty wypchnął z listy w Warszawie nie tylko ją, lecz także „wszystkie inne kobiety ze znaczącymi nazwiskami". – Chodziło o to, by nikt nie robił konkurencji faworyzowanej przez niego i promowanej za wszelką cenę dwójce na liście, Annie

eprasa.pl 74272a8403

FOT. MICHAŁ DYLUK/FORUM

Marii Żukowskiej. A każda z nas mogłaby ją przeskoczyć – uważa Jaruzelska.

Kiedy wydawało się, że nic gorszego Lewicy w kampanii nie może już spotkać, swój wpis na Twitterze zamieściła Anna Maria Żukowska. „Rok temu na wspólnym kampanijnym spacerze z psami na Polu Mokotowskim z kandydatem na prezydenta Warszawy Andrzejem Rozenkiem pies pani Jaruzelskiej chciał zgwałcić moją (wysterylizowaną, więc to dziwne) sunię. Kiedy ją wzięłam na kolana, podszedł i mi nasikał do butów. Jaki pies, taki pan" – stwierdziła rzeczniczka SLD.

Dzisiaj Żukowska nie chce komentować ani słów Jaruzelskiej, ani jej nieobecności na listach Lewicy. Przekazała nam jedynie, że „z chęcią ustosunkuje się do propozycji programowych pani Jaruzelskiej, o ile się takie pojawią". Z Moniką Jaruzelską nie udało nam się porozmawiać.

W Radiu TOK FM ubolewała jednak, że z całej sprawy zrobiła się „historia humorystyczna, żeby nie powiedzieć groteskowa". – Dla mnie to przede wszystkim polityka – podkreślała.

Czarzasty przekonuje z kolei, że nawet w polityce są granice dobrego smaku. – Bez względu na to, jakie są emocje wynikające z rozczarowania, czy jest się na liście, czy nie, trzeba naprawdę uważać, żeby nikogo nie urazić i żeby nie użyć takich słów, po których osoby urażone mają naprawdę wielkie przykrości emocjonalne – stwierdził w Polsat News. – Trzeba brać odpowiedzialność za swoje słowa. Jest granica zarówno dobrego smaku, jak i prawdy i mądrości – dodał.

Jaka w przypadku startu Jaruzelskiej była prawda, trudno będzie dociec, bo po tym, jak udało się jej zebrać potrzebne do startu do Senatu podpisy, żaden z trzech tenorów Lewicy nie chce się przyznać do zablokowania jej wpisania na listy. Wręcz przeciwnie: Biedroń zaczął dementować, by kiedykolwiek sprzeciwiał się jej obecności na listach, i powtarzał, że trzyma za nią kciuki i życzy jej powodzenia. Upierał się także, że jej kandydatura nigdy nie była przedmiotem dyskusji trzech liderów, dając wyraźnie do zrozumienia, że była to wewnętrzna sprawa SLD. – Nikt nie chce zamykać sobie drogi do ewentualnej przyszłej współpracy. Nie wiadomo, jak potoczą się losy tej koalicji już po wyborach i kto z kim będzie grał na lewicy, a Jaruzelska ma spore szanse na mandat w Senacie – uważa jeden z polityków lewicy, z którym rozmawiamy. – A ostatnie wydarzenia pokazały, że lepiej mieć ją po swojej stronie niż przeciwko sobie – śmieje się, odnosząc się do awantury z Czarzastym i Żukowską.

LEWICOWA, ALE KONSERWATYWNA

Kłopot lewicy z Jaruzelską polega także na tym, że o ile nazwisko i przeszłość jej ojca wiążą ją z SLD i lewą stroną sceny politycznej, o tyle głoszone przez nią poglądy dla części lewicowych wyborców (i polityków) są nie do zaakceptowania jako… zbyt konserwatywne. Zwłaszcza poglądy w kluczowych sprawach światopoglądowych.

Głośnym echem odbił się jej wywiad dla „Gazety Wyborczej" jeszcze przed wyborami samorządowymi. Jaruzelska m.in. skrytykowała w nim Palikota za zdejmowanie krzyża w Sejmie, opowiedziała się przeciwko aborcji na życzenie, zdystansowała się od idei związków partnerskich, adopcji dzieci przez pary homoseksualne czy antykoncepcji dzień „po" i stwierdziła, że nie przeszkadza jej ani religia w szkole, ani to, że katecheci mogą być wychowawcami klas. Na lewicy wówczas mocno zawrzało.

„Pani Jaruzelska, nowa twarz SLD, przedstawiła w gazecie swoje poglądy: tak dla katechetów-wychowawców, nie dla równości małżeńskiej, antykoncepcja awaryjna to zło, a w bonusie opowieść o podatkach zabójczych dla przedsiębiorców. Do koalicji ze Schetyną pasuje jak ulał" – drwił wówczas na Twitterze Adrian Zandberg.

„OMG, smuteczek. Czemu w sumie ogarnięta partia, jaką jest SLD, ma takiego pecha do »kobiecych nadziei lewicy«"? – wtórował mu Krzysztof Śmiszek, wtedy działacz społeczny, dziś kandydat na posła, a prywatnie partner Biedronia. A lewicowa „Krytyka Polityczna" skomentowała wywiad tekstem zatytułowanym „Towarzyszka konserwa".

Nie jest jednak tak, że Jaruzelska ma na lewicy samych przeciwników. Wręcz przeciwnie. Podpisy, by mogła kandydować do Senatu, pomagali jej zbierać działacze warszawskich struktur SLD. – Wynik w wyborach samorządowych Moniki Jaruzelskiej pokazał, że ma ona ogromny potencjał. Mogłaby poprawić wynik Lewicy w wyborach parlamentarnych – powiedział Sebastian Wierzbicki, warszawski polityk SLD, były radny.

W walce z Czarzastym i Żukowską córkę gen. Jaruzelskiego wsparł także były premier Leszek Miller. – Bardzo żałuję, że to Anna Maria Żukowska jest na liście Lewicy, a Moniki Jaruzelskiej nie ma, mimo że stołeczne struktury SLD rekomendowały Jaruzelską – ocenił. – Jej wynurzenia programowe spokojnie mieszczą się w centrum lewicy – dodał, odnosząc się do poglądów kandydatki na senatora.

Zdaniem dr. Bartłomieja Biskupa, politologa z Uniwersytetu Warszawskiego, obecność Jaruzelskiej na listach Lewicy przyniosłaby partii korzyści. – Nie jest to żadna petarda, w Warszawie miała dobry wynik, ponad 8 tys. głosów, ale byli i tacy, którzy dostawali po 20 tys. głosów. Niemniej jednak nazwisko ma bardzo rozpoznawalne i to jest politycznie spory atut. Jej obecność na liście zapewniałaby poparcie tej części elektoratu, który z sentymentem odnosi się do czasów PRL i dla którego jej nazwisko jest pewnym symbolem tamtej epoki, którą oni akurat dobrze wspominają – mówi „Do Rzeczy" ekspert. – Poza tym proszę zobaczyć, jak konstruuje listy np. PiS. Daje dużo mocnych nazwisk, które walczą między sobą o głosy i tym samym grają na wynik całej listy. Dziwne, że Lewica nie poszła tą drogą. Obstawiam, że zdecydowały jednak rozgrywki osobiste, a nie polityczna kalkulacja – podsumowuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Rafał A. Ziemkiewicz

Wielka frustracja

Nienawidzący PiS celebryci i aktywiści, rozczarowani słabością opozycji, rzucili się jej na pomoc. Wygląda na to, że ją dobiją

Hashtag #SilniRazem zaczął funkcjonować w mediach społecznościowych jakiś miesiąc temu. Sieć komputerowa dawno już zatraciła pierwotną bezinteresowność i spontaniczność, „profilowanie" internautów oraz manipulowanie nimi jest dziś intratnym biznesem i uważnie zgłębianą przez fachowców dziedziną wiedzy, odruchowo więc uznano, że hashtag stworzyć musiała jakaś „farma trolli". Nic jednak na to nie wskazuje. Oznaczanie swych kont i wpisów w sposób „agregujący" ich przekaz zyskało popularność raczej metodą „Jożina z Bażin" niż „Cambridge Analytica". Po prostu wspólny znak okazał się tym, czego potrzebowała liczna grupa użytkowników sieci, żyjących od czterech lat w histerii i frustracji, wypełniających propagandową „bańkę" mediów „totalnej opozycji". Ludzi, którzy dotąd odreagowywali swe negatywne emocje na własną rękę, zamieszczając wulgarne, pełne nienawiści wpisy poniżające polityków prawicy i księży czy znieważające żołnierzy wyklętych na forach internetowych. I którzy przecież kilka lat temu – kto pamięta? – byli intensywnie zachęcani przez liderów KOD, „Obywateli" i polityków opozycyjnych do takiej właśnie formy zaangażowania, do zakładania licznych kont i wzmożonej aktywności w sieci, by „odzyskać Internet" dla „totalnej opozycji".

INTERNETOWY MOTŁOCH

Pierwsze wpisy, które zaczęły pojawiać się z tym oznakowaniem, wskazują, że pomysł narodził się gdzieś w okolicach partii Razem oraz ruchu LGBT i miał służyć promowaniu ich haseł. W miarę jak kont przedstawiających się jako #SilniRazem przybywało, wszystko utonęło jednak w czystej agresji i nienawiści. „Silni Razem" przestali głosić jakiekolwiek pozytywne treści, stali się swoistym internetowym motłochem, dzięki mechanizmowi działania hashtagu zwołującym się błyskawicznie do ataków na konta osób publicznych kojarzonych przez media opozycji z PiS, Kościołem czy narodowcami.

Mimo rekordów wulgarności i sprymityzowania przekazu „społeczność" zapewne nie odegrałaby większej roli – większość atakowanych zmasowanym hejtem, napływającym jednocześnie z kilkudziesięciu czy nawet kilkuset kont, użyła po prostu funkcji „zablokuj". Aż nagle po spopularyzowany już w sieci znak #SilniRazem sięgnęła Platforma Obywatelska. Szef jej sztabu wyborczego Krzysztof Brejza ogłosił to podczas specjalnie zwołanej konferencji prasowej na tle ozdobionego hashtagiem wyborczego furgonu. Jednak już kilka dni wcześniej jako #SilniRazem zaczęły być oznaczane wpisy na kontach społecznościowych Małgorzaty Kidawy-Błońskiej; z późniejszych wypowiedzi kandydatki opozycji na premiera widać zresztą, że ona sama o tym nie wiedziała.

Sięgnięcie przez KO po hashtag wywołało z jednej strony krytykę konkurującej z nią lewicy – Anna Maria Żukowska, rzeczniczka SLD, oskarżyła PO o kradzież spontanicznej, społecznej inicjatywy – z drugiej zaś podchwycone zostało przez media sprzyjające PiS. Tym ostatnim wystarczyło tylko zaprezentować szerszej publiczności, co od tygodni spływa z kryptonimowanych „Silnymi Razem" kont,

eprasa.pl 74272a8403

i potraktować ruch PO jako przyznanie się, że cała ta nienawiść była od początku inspirowana oraz przez nią koordynowana. Jeszcze tego samego dnia PO zaczęła się od „Silnych Razem" odcinać, brnąc publicznie w dywagacje tego rodzaju, że hashtag „przejęty" został przez podszywających się pod opozycję „PiS-owskich trolli" i to oni celowo rozpowszechniają

Kandydaci na posłów Koalicji Obywatelskiej Krzysztof Brejza (z lewej) i Adam Szłapka zaprezentowali hashtag #SilniRazem jako oficjalne hasło w kampanii FOT. TOMASZ GZELL/PAP

obrzydliwości, by w ten wymyślny sposób skompromitować przeciwników.

ŚWIRUJĄCY

Brzmi to bardzo prawdopodobnie, pod warunkiem że za przebranych agentów Kaczyńskiego uznamy także składających w ostatnich latach wiele dowodów oddania opozycji celebrytów – takich jak Wojciech Pszoniak, Anna Nehrebecka, Olgierd Łukaszewicz i Zbigniew Hołdys. To ich internetowa akcja „Nie świruj, idź na wybory" przykryła bowiem konfuzję PO z „Silnymi Razem", ale w sposób jeszcze bardziej dla opozycji kompromitujący.

O ile bluzgi spod wspólnego hashtagu uznać można za „normalny" internetowy hejt, o tyle tu już mamy do czynienia z ludźmi, którzy z jakiegoś powodu postanowili rzucić na szalę swe znane nazwiska – czy raczej, w wielu wypadkach, to, co z nich jeszcze zostało. „Akcja" polega na odgrywaniu w internetowym filmiku krótkich scenek, w większości parodiujących problemy psychiczne – Pszoniak trzęsie głową i przewraca oczami, Łukaszewicz miota się z koszulą na głowie etc. – po czym celebryta nagle „normalnieje" i oznajmia do kamery: „Nie świruj, idź na wybory".

Jakkolwiek wzięte ze slangu więziennego słowo „świrować" oznacza w nim udawanie, symulowanie, to przeciętny Polak kojarzy je z chorobą psychiczną. Popularność w antypisie niedawnego rysunku Andrzeja Mleczki, przedstawiającego szpital psychiatryczny, z którego zakratowanych okien dobiega skandowanie: „Ja-ro-sław! Ja-ro-sław!", nie pozostawia wątpliwości, że chodziło tu o świadome odwołanie się do popularnego w antypisie stereotypu, że wyborcy PiS to „psychole". Pogardliwy stereotyp zaczął się od fake newsa o rzekomym wyborczym zwycięstwie PiS w szpitalach psychiatrycznych, którym zwykli zwolennicy PO zaczęli „przykrywać" fakt nadnormalnej popularności ich partii w obwodach zamkniętych w aresztach i więzieniach, ale jego głębokie korzenie tkwią w „psychuszkach" towarzysza Chruszczowa. Jak pamiętają jeszcze najstarsi Polacy, wsadzanie dysydentów do szpitali psychiatrycznych uzasadniano tak, że ustrój idealny, jakim jest socjalizm, może się nie podobać tylko wariatom. Logika pomagdalenkowej elity jest podobna. Skoro ludzie lepsi, oświeceni i „na pewnym poziomie" tłumaczą ciemnocie, żeby na PiS nie głosowała, skoro najwyższe autorytety udowodniły po tysiąckroć, że PiS to zło, faszyzm, nienawiść, gomułkizm, stalinizm, hitleryzm etc. – a ci ciągle na PiS głosują, no to jak to racjonalnie wyjaśnić? Tylko że mają nie tak w głowach.

W roku 2007 do przegranej PiS mocno przyczyniła się kampania niby profrekwencyjna, ale z wyraźną sugestią – „zmień Polskę". Instynkt podpowiedział celebrytom próbę jej powtórzenia, z podobnym mrugnięciem: idź i zagłosuj, nie mówimy tu na kogo, ale przecież wiesz, bo nie jesteś „świrem". Oskarżając kampanię o celowe „stygmatyzowanie" i poniżanie chorych psychicznie, PiS nieco przegrzewa kolejną wtopę opozycji, by zagrać na emocjach, bo zwyczaj ubliżania sobie od „debili" i „wariatów" jest w Polsce powszechny i nie narusza potocznej wrażliwości. Jednak fakt faktem, że środowiska, które np. bardzo oburzone były hasłem „Stop wariatom drogowym", wobec celebryckich popisów „autorytetów" opozycji nabrały wody w usta.

Pomijając ten aspekt – akcja wydaje się tak głupia i przeciwskuteczna, że nie sposób zrozumieć, na co liczyli jej inicjatorzy i kibice. Podobnie jak w przypadku decyzji PO o podłączeniu się pod hejterski hashtag można tłumaczyć to tylko emocjami. Politycy PO w ostatnich miesiącach głosili, że „jadą w Polskę rozmawiać z ludźmi". Z wielu wrzucanych do sieci filmików widać, że niestety ludzie rozmawiać z nimi nie chcieli – wrócili więc z tych peregrynacji sfrustrowani i podłączenie się pod prężną społeczność w necie w tym stanie ducha wydało im się tak atrakcyjne, że nikt nie pomyślał, jaki ma to mieć sens i jakie da skutki. Podobnie z zaangażowaniem celebrytów pragnących „coś zrobić" przeciwko nadciągającej drugiej kadencji PiS, choćby było to coś równie głupiego jak wylewanie sobie na głowę wody, fotografowanie własnych pośladków czy inne celebryckie „czelendże".

Poziom frustracji i zniechęcenia w antypisie jest tak wielki, że popycha do zachowań nieracjonalnych, służących tylko odreagowaniu swoich emocjonalnych problemów. Po czterech latach nieustannej mobilizacji, wycia w najwyższym diapazonie oburzenia i zgrozy opozycja popadła w typowy sekciarski kollaps – „twardy rdzeń" radykalizuje się do absurdu, odpychając co normalniejszych, co powiększa frustrację „twardego rdzenia" i skłania do jeszcze większej radykalizacji, która odpycha kolejnych „normalsów" – i tak da capo al fine.

Przemożna „frustra" tych, którzy pozostają w radykalizującym się „jądrze" antypisu na ostatniej prostej kampanii wyborczej, w histerii, że „to już ostatnie wybory", najzwyczajniej w świecie odebrała opozycji zdolność działania racjonalnego. Co z siły politycznej przekształca „totalną opozycję" w swoistą grupę wsparcia, która nie uprawia już polityki, tylko autoterapię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Magdalena Gawin podczas inauguracji działalności pierwszego zagranicznego oddziału Instytutu Pileckiego, 16 września w Berlinie FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

Wunderwaffe polskiej polityki historycznej

Maciej Pieczyński

Zapisy antypolskiego terroru coraz lepiej znane są na Zachodzie. A to za sprawą Instytutu Pileckiego, który od tygodnia oficjalnie działa także w Berlinie. W przyszłości filie powstaną na równie trudnych, z perspektywy polskiego wizerunku, terenach – w USA oraz Izraelu

5 sierpnia Niemcy weszli na nasze podwórze w liczbie kilkunastu, a kilku weszło do naszego domu i kazali wychodzić. Wielu sąsiadów z naszego domu posłuchało tego rozkazu, ale ktokolwiek z nich pokazał się na podwórzu, zaraz otrzymywał strzał w głowę i walił się na ziemię. Znajdując się w swym mieszkaniu, zauważyłem to i zdecydowałem się nie spieszyć" – to fragment zeznań warszawskiego robotnika, Stanisława Raczyńskiego, złożonych tuż po wojnie przed Komisją Badania Zbrodni Niemieckich. Te i inne wstrząsające świadectwa polskich cierpień w czasie II wojny światowej można przeczytać na stronie zapisyterroru.pl. Tysiące relacji świadków i bliskich ofiar dwóch totalitaryzmów – niemieckiego i sowieckiego – zostały zebrane i opublikowane po polsku i po angielsku. To jeden z największych zbiorów świadectw ludności cywilnej okupowanej Europy. Poprzez projekty takie jak „Zapisy terroru" działający pod egidą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Instytut Pileckiego próbuje popularyzować, często pomijany na świecie, polski punkt widzenia na historię II wojny światowej. A nawet nie tyle polski punt widzenia, ile po prostu prawdę historyczną na temat losów Polaków.

„Musimy zatem wiedzieć/ policzyć dokładnie/ zawołać po imieniu/ opatrzyć na drogę" – pisał Zbigniew Herbert. Cytat z „Pana Cogito" stał się inspiracją dla kolejnego projektu, poprzez który Instytut Pileckiego stara się przypominać o polskich cierpieniach za pośrednictwem – najskuteczniej dziś przemawiających do masowej świadomości – opowieści o indywidualnych losach ludzkich. Celem akcji pod hasłem „Zawołani po imieniu" jest upamiętnienie obywateli polskich zamordowanych za niesienie pomocy Żydom w czasie okupacji niemieckiej. W miejscach kaźni Sprawiedliwych stawiane są tablice z inskrypcją w językach polskim i angielskim. Szczegóły historii można poznać poprzez umieszczony na niej kod QR, odsyłający do artykułu opisującego konkretne wydarzenia. Pierwszymi „zawołanymi po imieniu" z inicjatywy Instytutu Pileckiego byli Leon, Marianna i Stefan Lubkiewiczowie – rodzina piekarzy zastrzelonych przez Niemców za pomoc Żydom w styczniu 1943 r.

PRZECIERANIE SZLAKÓW

Coraz szerzej znana jest na świecie postać patrona instytutu. Na przełomie czerwca i lipca na światowym rynku wydawniczym ukazała się anglojęzyczna biografia Witolda Pileckiego pióra amerykańsko-brytyjskiego korespondenta wojennego Jacka Fairweathera pod wymownym tytułem „The Volunteer" („Ochotnik"). „Cieszę się, że tak znakomity pisarz i niestrudzony badacz […] podjął się tej pracy. To historia, która od dawna zasługiwała na solidne i wierne opowiedzenie, a on tego dokonał" – tak książkę recenzował „The Wall Street Journal". „Czytając »The Volunteer« szybko orientujemy się, że Pilecki był człowiekiem wielkiej odwagi popartej nieugiętym poczuciem

eprasa.pl 74272a8403

służby i duchem patriotyzmu" – to z kolei „The Times".

Caroline Moorehead z „The Spectator" chwali autora za rzetelność badawczą i odnotowuje, że Fairweather spędził pięć lat w archiwach polskich, brytyjskich, amerykańskich, izraelskich i niemieckich, wydobywając rodzinne dokumenty i rozmawiając z pozostałymi przy życiu ludźmi, którzy walczyli ramię w ramię z Witoldem Pileckim. Pochlebne recenzje na łamach amerykańskiej prasy pokazują, że polski punkt widzenia na historię II wojny światowej wcale nie musi być niepopularny. Jack Fairweather napisał swoją książkę we współpracy z Instytutem Pileckiego. Polski Instytut Sztuki Filmowej zaplanował dotację dla ekranizacji historii Pileckiego. „Ochotnik" ma stać się najdroższym filmem w dziejach polskiej kinematografii.

– Niemcy propagują swój punkt widzenia na historię poprzez wiele różnych, działających poza granicami kraju, instytucji, takich jak chociażby Instytut Goethego czy Niemiecki Instytut Historyczny. Są to instytucje z ogromnym budżetem i infrastrukturą w Polsce. Polska powinna pójść tą drogą. To jest normalne uprawnione działanie europejskich państw. Powinniśmy założyć taką instytucję w Berlinie 20 lat temu – mówi „Do Rzeczy" prof. Magdalena Gawin, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego, inicjatorka powstania Instytutu Pileckiego. – Głównym celem filii Instytutu w Berlinie jest włącznie polskich źródeł, a z nimi polskiego doświadczenia wojennego do obiegu międzynarodowego – dodaje.

Jak zapewnia, otwarcie berlińskiej filii poprzedziły półroczne starania, rozmowy, negocjacje, setki spotkań z ludźmi. – Udało się nawiązać bliską współpracę z kilkoma ośrodkami naukowymi oraz niemieckimi historykami, którzy będą wspierać działalność Instytutu. Dostarczamy im czegoś, co jest podstawą naukowych badań – źródeł. – Kto ma archiwa, ten ma władzę nad narracją historyczną – przekonuje wiceminister Gawin. – Zebraliśmy tak wielką dokumentację, że teraz każdy historyk, który zechce napisać książkę na temat okupacji niemieckiej czy sowieckiej na ziemiach polskich, będzie – z uwagi na elementarną rzetelność – zmuszony zgłosić się po materiały do Instytutu Pileckiego. Tym samym, chcąc tego czy nie, zapozna się z zapisami terroru skierowanego przeciw Polakom i będzie musiał o nich, w mniejszym lub większym stopniu, swoim czytelnikom opowiedzieć – dodaje.

Wicepremier oraz minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński zapowiedział otwarcie filii Instytutu Pileckiego w USA oraz Izraelu. Potrzebne są dodatkowe regulacje ustawowe. – Poza instytutami kultury, które są pod MSZ – dodaje Gawin – Polska nie powoływała instytucji historycznych poza granicami kraju – wszystkie ścieżki prawne są wytyczane po raz pierwszy. To jest w sensie prawnym praca od podstaw. Nie przywiązywaliśmy wagi do udrożnienia polskich zeznań. Wiceminister Gawin zauważa, że praca nad porządkowaniem i tłumaczeniem polskich źródeł znalazła uznanie wielu innych zagranicznych ekspertów.

PILECKI W BERLINIE

Dobre recenzje zbiera wystawa pokazywana w Berlinie, oparta na archiwalnych dokumentach i artefaktach z muzeów państwowych i prywatnych. Znajdziemy na niej autentyczny stół, na którym Pilecki pisał swoje raporty po ucieczce z Auschwitz, metalowy klucz, którym posłużył się do otwarcia piekarni obozowej, przywieziony z Muzeum w Bochni, dokumenty potwierdzające, że raporty Pileckiego najpierw przekazywane były drogą ustną do emisariuszy Polskiego Państwa Podziemnego. Wystawa pokazuje też wkład grupy ambasadora Ładosia, polskiej placówki dyplomatycznej w Bernie, za której pośrednictwem raporty w formie ustnej, potem pisemnej, trafiały do Londynu.

Profesor Jochen Böhler na swoim Facebooku z wielkim entuzjazmem i sympatią skomentował otwarcie berlińskiej filii IP. Post Böhlera skomentował prof. Jan Grabowski, współautor kontrowersyjnej książki „Dalej jest noc". Historyk z Centrum Badań nad Zagładą Żydów nazwał Instytut Pileckiego „IPN-em light", który „stał się teraz użytecznym narzędziem i orężem w rękach polskich nacjonalistów". „Mamy do czynienia z organizacją działającą przy aprobacie skrajnie prawicowego, radykalnego rządu, której zadaniem jest zaciemnianie i fałszowanie historii. Jeśli uważasz, że jest inaczej, to spróbuj znaleźć zaangażowanie Instytutu Pileckiego w jakiekolwiek krytyczne badania i działania, które byłyby nie do przełknięcia dla polskich nacjonalistów. Za kilka dni wygłoszę przemówienie podczas dużej konferencji w Stanach Zjednoczonych i tam zajmę się tematem" – grozi Grabowski. Na Facebooku ripostował dr Wojciech Kozłowski. Dyrektor IP sprostował pomówienia: „Oczywiście jesteśmy instytucją badawczą i jest to absolutnie normalne, że nasze badania są prezentowane na konferencjach krajowych i międzynarodowych".

– Jan Grabowski nie po raz pierwszy próbuje zastraszać badaczy polskich i zagranicznych. Czynienie zarzutu, że Instytut Pileckiego finansowany jest z budżetu państwa, jest absurdalne. Tak samo finansowane są Polska Akademia Nauk, uniwersytety i instytuty badawcze. Poza jego ignorancją w kwestiach prawnych upodobał sobie metodę walki z innymi historykami lub instytucjami polegającą na ciskaniu ciężkich oszczerstw i stygmatyzowaniu. Jego celem jest zmonopolizowanie badań nad okupacją niemiecką i relacjami polsko-żydowskimi. Nie może tego osiągnąć i to rodzi jego furię – komentuje prof. Gawin. Na koniec zapewniła, że Instytut Pileckiego będzie konsekwentnie rozwijał działalność badawczą w kraju i za granicą.

– Od początku naszym celem było wprowadzenie do obiegu naukowego i edukacyjnego na świecie świadectw polskiego doświadczenia totalitaryzmów niemieckiego i sowieckiego. To się udaje – mówi dr Wojciech Kozłowski, dyrektor Instytutu Pileckiego. Zapewnia, że berliński oddział Instytutu już teraz prężnie działa, aby polską narrację na temat II wojny światowej z powodzeniem popularyzować wśród Niemców. – Współpracujący z nami prof. Jochen Böhler z uniwersytetu w Jenie będzie przyprowadzać swoich studentów na wystawę o Witoldzie Pileckim w ramach nauki. Nawiązaliśmy też kontakty z berlińskimi szkołami. Ogłosiliśmy nabór na wolontariuszy, którzy mieliby oprowadzać zwiedzających po wystawie. Zgłosiła się już do nas spora grupa młodych Niemców – mówi Kozłowski.

UZNANY W EUROPIE

O rosnącym znaczeniu samej postaci patrona instytutu świadczyć może przegłosowana w zeszłym tygodniu rezolucja, w której Parlament Europejski wezwał do ustanowienia Międzynarodowego Dnia Bohaterów Walki z Totalitaryzmem. Święto miałoby być obchodzone w dniu urodzin Witolda Pileckiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Gwiazdy

Agnieszka Niewińska

Koszykarz Marcin Gortat zainwestował w konie, a biznesowy ruch powoli zamienia się w pasję. Dzieli ją z wieloma postaciami z show-biznesu. Tyle że dziś jeździectwo to już nie domena znanych i bogatych. Jest coraz bardziej popularne, a także dostępne dla zwykłego Kowalskiego

Kiedy do stadniny w Janowie Podlaskim zjeżdżali się hodowcy i miłośnicy koni na organizowane tam dorocznie Dni Konia Arabskiego i 50. aukcję Pride of Poland, dziennikarze wśród gości dostrzegli Marcina Gortata – koszykarza, reprezentanta Polski, gracza NBA. – Przyjechałem tu nabrać doświadczenia, dowiedzieć się więcej na temat koni, poznać ludzi w tym konnym biznesie i spotkać się z jednym z najlepszych trenerów od przygotowania dla koni wyścigowych – opowiadał reporterce TVN Meteo Gortat.

Koszykarz trzy lata temu stał się właścicielem dwóch koni półkrwistych – ogiera Cedrika i klaczy Prima. Myśli o zakupie trzeciego – wyścigowego – konia, bo – jak stwierdził – przygoda z NBA się dla niego kończy, a musi skądś czerpać adrenalinę.

Konie Gortata są pod opieką stadniny w Janowie Podlaskim. Kiedy jest za oceanem, opiekunowie zwierząt przesyłają mu zdjęcia i filmiki, którymi dzieli się w mediach społecznościowych. – Duma mnie rozpiera. Kupiłem małe źrebaczki, które sięgały mi do pasa, a teraz są to potężne, rosłe, silne, zdrowe konie – opowiadał.

GWIAZDY SKACZĄ, POWOŻĄ, UJEŻDŻAJĄ

Gortat nie jest jedyną znaną osobą, która zainteresowała się końmi. Mamy wiele gwiazd, które od lat pasjonują się końmi i jeździectwem. Znana z sympatii do zwierząt dziennikarka Katarzyna Dowbor wielokrotnie podkreślała, że jeździectwo ma w genach, bo jej dziadek Bronisław Kowalczewski był kawalerzystą. Dziennikarka ma dwa własne konie – Rodezję i Surmę. Trzyma je tuż przy domu, więc ze zwierzętami ma stały kontakt i wiele okazji do jazdy konnej. Dowbor poświęca także czas popularyzowaniu jeździectwa. Była jedną z pomysłodawczyń Jeździeckich Mistrzostw Gwiazd Art Cup, które od 1998 r. odbywają się w stadninie Lewada w Zakrzowie koło Kędzierzyna-Koźla. Artyści rywalizują tam w czterech dyscyplinach jeździeckich: ujeżdżeniu, skokach przez przeszkody, western ridingu i powożeniu zaprzęgami. Lista gwiazd, które gościły na Art Cup, jest długa. Rywalizują tu Bogusław Linda, Daniel Olbrychski, Andrzej Grabowski, Urszula Dudziak czy Karol Strasburger.

Inną stadniną, do której latem zjeżdża wiele gwiazd polskiego show-biznesu, jest Stadnina Koni Ferenstein w mazurskim Gałkowie, którą prowadzi Karolina Ferenstein-Kraśko, małżonka dziennikarza TVN Piotra Kraśki. Stadninę stworzyli rodzice Ferenstein-Kraśko – sprzedali cały majątek, kupując gospodarstwo na Mazurach, zostawili życie w Warszawie. Początkowo w stadninie mieli 10 koni, dzisiaj są ich dziesiątki. Karolina Ferenstein-Kraśko jest nie tylko właścicielem ośrodka, instruktorem jazdy konnej, lecz także zawodniczką. Na koncie ma nagrody w zawodach krajowych i międzynarodowych.

Od kilkunastu lat Stadnina Koni Ferenstein organizuje imprezę Gałkowo Masters – to zawody jeździeckie, pokazy i towarzyszące im koncerty. Państwo Kraśko przyjmują wówczas w Gałkowie wielu celebrytów. Stałym gościem jest m.in. dziennikarka Kinga Rusin, pasjonatka jeździectwa. W tym roku w Gałkowie zjawiły się m.in. Natalia Klimas, Karolina Szostak, Lara Gessler, Joanna Horodyńska, Katarzyna Sokołowska czy Anna Dec. Panie

Koszykarz Marcin Gortat trzy lata temu stał się właścicielem dwóch koni półkrwistych – ogiera Cedrika (na zdjęciu) i klaczy Prima. Myśli o zakupie trzeciego FOT. WOJTEK JARGIŁO/PAP

Biblioteprasa.pl 74272a4403

w siodle

prezentują się na imprezie w wyszukanych kapeluszach, co budzi skojarzenia ze słynnymi brytyjskimi wyścigami Royal Ascot z udziałem członków rodziny królewskiej. Panie w Ascot rywalizują w konkursie na najpiękniejsze nakrycie głowy. Stąd też tabloidy imprezę w stadninie w Gałkowie zaczęły nazywać „polskim Ascot".

Mało brakowało, a własną stadninę prowadziłaby Anna Powierza, aktorka znana m.in. z roli Czesi w serialu „Klan". Ze wspólniczką wynajęła już nawet stajnię pod Warszawą, ale współpraca się nie układała i panie rozeszły się, jeszcze zanim zaciągnęły kredyt na rozwój działalności. Powierza ma dwa własne konie, które trzyma w jednej z podwarszawskich stajni. Na konia po raz pierwszy wsiadła, gdy miała 11 lat, uczestniczyła w zawodach jeździeckich. Jeździectwo, jak opowiada, ma we krwi. – Mój pradziadek był właścicielem najlepszych koni na Kresach Wschodnich, skąd pochodzi moja rodzina. Sława o doskonałych koniach dobiegła podobno do uszu samego cara, który odwiedzał stadninę i osobiście wybierał konie – opowiadała w Polskim Radiu.

Z zamiłowania do koni znany jest także aktor Bogusław Linda. Jego koń Brego odnosił nawet sukcesy w gonitwach na Wrocławskim Torze Wyścigów Konnych Partynice. Linda pasją zaraża młodych adeptów aktorstwa. Organizuje dla nich obozy w Stadninie Koni Huculskich „Gładyszów" w Regietowie, gdzie m.in. pod okiem Lindy uczą się nie tylko jazdy konnej, lecz także szermierki.

Chociaż jazda konna uważana jest za luksusowe hobby dostępne dla niewielu – głównie tych z grubszymi portfelami – to coraz częściej konia dosiadają zwykli Kowalscy.

– Jeździectwo jest coraz bardziej popularne. Od kilku lat obserwuję, że do stadnin zgłasza się coraz więcej dzieci i młodzieży, a także osoby w starszym wieku, które w dzieciństwie marzyły o tym, by jeździć konno, ale wcześniej nie miały możliwości, by zrealizować to marzenie. Często mamy, które przyprowadzają dzieci na jazdę konną, po kilku miesiącach pytają mnie, czy też mogłyby spróbować – opowiada Katarzyna Moczydłowska, instruktor nauki jazdy konnej ze Stajni Mińce na Podlasiu. – Dzisiaj jeździectwo jest dostępne niemal dla wszystkich, nie tylko dla elity najbogatszych. Lekcje nauki jazdy konnej są nawet tańsze niż inne zajęcia pozalekcyjne, na które rodzice zapisują dzieci. Oczywiście jeśli ktoś nie chce poprzestać na jeździe rekreacyjnej, tylko decyduje się na bycie zawodnikiem i startowanie w zawodach, to wówczas koszty rosną. Osoby, które myślą o posiadaniu własnego konia, muszą się liczyć z wydatkami na jego utrzymanie, które wahają się od 600 do 2,5 tys. zł miesięcznie, ale te kwoty mogą też być wyższe, bo w takich przypadkach dochodzi też praca z instruktorem, trenerem. Nie każdego stać na konie, sporty konne są kosztowne, ale jeździectwo rekreacyjne jest coraz szerzej dostępne – podkreśla instruktorka.

BAJECZNE ZYSKI, DUŻE RYZYKO

Marcin Gortat podkreśla, że konie to dla niego całkiem nowa pasja, ale zainwestował w te zwierzęta niekoniecznie z powodów hobbystycznych. – Nie ukrywam, że zakup tych koni to był dla mnie czysto biznesowy ruch – stwierdził. – Dzisiaj się z tymi końmi utożsamiam. Doszło do tego, że gdyby ten koń zdobył jakiś czempionat, pierwsze miejsce w jakiejś kategorii, to żal byłoby mi go sprzedawać – przyznał.

To, ile stadniny zarabiają na sprzedaży koni, pobudza wyobraźnię niejednego inwestora, np. klacz Elandra ze stadniny w Michałowie została kupiona za 290 tys. euro. Kolejni nabywcy odkupowali ją za 750 tys. i 1 mln euro. Jednak jak wskazuje ekonomista Marek Zuber, inwestycje w konie nie są dla każdego.

– Przede wszystkim trzeba się na tym znać albo przynajmniej móc zdać się na kogoś, kto się zna i jest w stanie nam doradzić. Konie obok jachtów, ekskluzywnych samochodów, win, dzieł sztuki należą do tzw. inwestycji alternatywnych. Zyski, jakie można osiągnąć z takich inwestycji, są z pewnością wyższe niż oprocentowanie obligacji – podkreśla Zuber. I podaje przykład forda GT, którego wyprodukowano ok. 1,2 tys. egzemplarzy. Chociaż auto kosztowało 2,5 mln zł, to nie było problemu z jego sprzedażą. Na jedno auto przypadało aż sześciu chętnych.
– Taki samochód można odsprzedać z bardzo dużym zyskiem. W Polsce popularne zaczynają być inwestycje w wina. Można inwestować za pośrednictwem funduszy win. Wówczas przeznacza się większą sumę – np. 20 tys. zł na zakup konkretnych win. Można też inwestować mniejsze sumy – po kilkaset złotych kupując jednostki uczestnictwa w takich funduszach. W przypadku koni wygląda to jednak inaczej. Trzeba mieć większą sumę na inwestycję, bo dobry koń kosztuje więcej niż kilkaset czy kilka tysięcy złotych. Pamiętajmy też, że tego typu inwestycje nie są tak bezpieczne jak obligacje. Ryzyko jest duże. Koń wyścigowy może np. złamać nogę albo paść. Były już takie przypadki – ostrzega ekonomista.

Katarzyna Moczydłowska zwraca jednak uwagę na inny aspekt. Jazda konna to inwestycja w siebie. – Pracując z dziećmi, widzę, jak się zmieniają już po kilku zajęciach ze zwierzętami. Kontakty z końmi to sposób na przełamanie nieśmiałości, wzmocnienie poczucia własnej wartości. Jazda konna odgrywa dużą rolę w terapii niepełnosprawnych. Udzielam lekcji także dorosłym, którym jazdę konną proponują psychologowie. To im dodaje pewności siebie. Jeździectwo polecam wszystkim. Do naszej stajni można przychodzić już od najmłodszych lat, a najstarszy mój kursant przekroczył siedemdziesiątkę i dziś dobrze sobie na koniu radzi – zachęca Katarzyna Moczydłowska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Towarzysze broni

Piotr Gociek

„Legiony" pokazują, jak może wyglądać dobre polskie kino historyczne. Film „Piłsudski" pokazuje, jak nie powinno

O młodości, miłości i walce o niepodległość – głosi jedno z haseł promujących film „Legiony". Tej ostatniej paradoksalnie na ekranie jest najmniej i najwięcej zarazem. Najmniej, bo film nie jest kroniką czynu legionowego, nie jest to podróż od bitwy do bitwy, od jednego wielkiego zakrętu historii do drugiego. Dwie drobne potyczki, szarża pod Rokitną i bitwa pod Kostiuchnówką, to cały militarny urobek fabuły. Jednocześnie ani chwilę nie mamy wątpliwości, o co idzie gra i co kieruje bohaterami. Są więc „Legiony" filmem o walce o niepodległość, ale są też czymś ważniejszym. Pieśnią ku czci polskiej nieustępliwości, hartu ducha i wiary. Filmem arcypolskim.

Poznawanie bohaterów zaczynamy od Józka (Sebastian Fabijański), dezertera z rosyjskiej armii, który na własne oczy widział jej potęgę, więc ani mu się śni stawać przeciw carskim wojakom. Ucieka, bo ma własny pomysł na życie. Jaki? Warto poczekać godzinę na wyjaśnienie, bo to jeden z lepszych grepsów w filmie. Józka ocalają przez pościgiem chłopcy podróżujący do Krakowa, gdzie na zbiórkę polskich ochotników czeka nie tylko Józef Piłsudski (epizodzik Jana Frycza), lecz także doświadczony oficer Stanisław Kaszubski (Mirosław Baka), który z jednej strony będzie im ojcował, z drugiej twardą ręką trzymał dyscyplinę.

Józek Wieża (na nazwisko, właściwie przydomek, sam sobie zasłuży – zobaczycie, w jaki sposób) do zgranej ferajny nie

eprasa.pl 74272a8403

Scena bitwy pod Kostiuchnówką wygląda w „Legionach" jak w porządnym kinie historycznym z importu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pasuje. Będzie musiał przekonać samego siebie, że są rzeczy ważniejsze, przekonać także innych, że jest w nim coś, że warto mu zaufać. Kto od samego początku spodziewa się jedynie bohaterów bez skazy, ten będzie zaskoczony. Obsadzany ostatnio w polskim kinie na potęgę, chyba zbyt często, Sebastian Fabijański tym razem wreszcie jest na miejscu, bo w rolę wchodzi świetnie. Daje potrzebną tej postaci osobność, rezerwę, dzikość, nieufność.

„LEGIONY" NIE BEZ SŁABOŚCI

Są więc „Legiony" filmem o dojrzewaniu i o rodzeniu się wspólnoty, którą zaczynają tworzyć ochotnicy przybyli z rozmaitych stron rozdartej zaborami Polski. Czekają ich ciężkie próby, a aluzja jest jasna: Polska będzie wspólna albo nie będzie jej wcale, to lekcja, która pozostaje aktualna nie tylko w roku 1914. Kino nie może być opowieścią o wydarzeniu historycznym albo o ważnym zakręcie historii, potrzebuje bohaterów i ich własnych historii, na ekranie widzimy więc i trójkąt miłosny, którego pozostałymi wierzchołkami (oprócz Józefa Wieży) są Aleksandra (Wiktoria Wolańska) oraz Tadeusz (Bartosz Gelner).

Na kluczową postać „Legionów" wyrasta jednak Stanisław „Król" Kaszubski, postać zresztą wywiedziona z historii. Nie tylko dlatego, że jest przełożonym (i drogowskazem) młodych legionistów. Przede wszystkim dlatego, że kulminacyjnym punktem opowieści nie okaże się żadna z bitew, lecz scena kuszenia, w której odbija się Sienkiewiczowski dialog z „Potopu", spod murów Jasnej Góry, między Kmicicem a zaprzedanym Szwedom Kuklinowskim.

Naprzeciw Kaszubskiego stanie bowiem niejaki Złotnicki (Grzegorz Małecki), Polak w służbie carskiej, który dla Kaszubskiego ma ofertę nie do odrzucenia. Dawne winy zostaną zapomniane, ręka podniesiona na rosyjskie wojsko nie zostanie obcięta, wystarczy wyrzec się nie tyle legionów, ile Polski i oddać swe talenty rosyjskiemu imperium. Najpotężniejszemu w świecie.

Pierwsze pół godziny filmu Dariusza Gajewskiego jest imponujące. Od pierwszych kadrów widzimy, że to prawdziwe kino historyczne, z epickim oddechem, kostiumami jak należy, filmowane na bogato, z dobrą, romantyczną muzyką (choć Łukasz Pieprzyk jeden z motywów zapożyczył chyba z „Bravehearta"). Widz kupuje od razu realność świata przedstawionego, przestaje się martwić tym, czym zwykle martwi się przy polskich superprodukcjach historycznych (czy aby nie będzie obciachu?) i może zaintrygowany śledzić opowieść. Kapitalne są sceny na Oleandrach. Nie tylko ta najsłynniejsza, gdy Piłsudski znosi wszystkie dotychczasowe odznaki i każe się nimi, do ustanowienia nowego znaku, zamienić, lecz także te pokazujące obcość i dystans Józka oraz scena wprowadzająca Stanisława Kaszubskiego. Kiedy zaś legioniści ruszą w pole, trudno bez wzruszenia obserwować, jak obalają graniczne słupy.

Gdyby do końca udało się utrzymać ten poziom, mówilibyśmy o dziele wybitnym. Mają jednak „Legiony" i swoje słabości. Na niektóre sceny zabrakło realizacyjnego pomysłu, potyczka z Rosjanami po ataku na most jest statyczna i nieciekawa, a przecież to jeden z punktów zwrotnych. Scena szarży pod Rokitną jest imponująca, nie dostaliśmy jednak na ekranie jej odpowiedniego wprowadzenia. Był to wszak nie tylko dowód na męstwo polskich ułanów, lecz także pokaz fatalnej sytuacji, w której znajdowały się polskie oddziały walczące u boku Austriaków – miały być bez żalu wrzucane do wojennej maszynki do mięsa, często bez wielkiego uzasadnienia strategicznego.

Zbigniew Dunin-Wąsowicz (Borys Szyc) był postacią dzielną i tragiczną, gdy zamiast wytracić cały swój oddział, rzucił do szarży tylko jeden szwadron. Zadanie wykonał, pozostawionych w odwodzie kawalerzystów ocalił, a że austriacka armia nie potrafiła polskiego wyczynu wykorzystać, to już grzech obciążający sumienie jej dowódców. W „Legionach" tymczasem bój pod Rokitną wydarza się ot tak, nie wiadomo dlaczego, a Dunin-Wąsowicz wypada na pyszałka, któremu marzy się piękne samobójstwo. Mocno brakuje tu sceny tłumaczącej, co właściwie i z jakich powodów się wydarzy. Zwłaszcza że „Legiony" to ma być jeden z eksportowych produktów polskiej polityki historycznej, a od zagranicznego widza trudno wymagać znajomości niuansów polskiego losu na wschodnim froncie I wojny światowej.

W środkowych partiach filmu zbyt wiele miejsca poświęcono perypetiom uczuciowym młodych bohaterów, choć fakt, że i „cywilne" sceny pięknie są filmowane. Czasem zdarzają się drobne kiksy realizacyjne, których być nie powinno: gdy Tadeusz przychodzi pożegnać się z Aleksandrą do jej namiotu, dziewczyna właśnie zakłada bluzkę, by w kolejnych ujęciach już jej na sobie nie mieć, ot zgrzyt, który nie przystoi w filmie za 27 mln zł, przy którym pracowała armia ludzi.

Pod koniec film wraca na właściwe tory (nie twierdzę, że w środku jest zły, mógłby jednak niewielkim nakładem sił i pomyślunku być dużo lepszy), to, co dzieje się w okopach i w ogóle podczas bitwy pod Kostiuchnówką, wygląda jak należy (czyli jak w porządnym kinie historycznym z importu). I co ważniejsze, wiarygodnie i pięknie pokazany jest finał wchodzenia w dorosłość młodych bohaterów. Gdy Józek Wieża śmieje się do nas z ekranu, śmiejemy się i my, bo wiemy, że zrozumiał, co jest naprawdę ważne. A przecież nie

eprasa.pl 74272a8403

wszyscy to wówczas pojmowali, sporo do myślenia daje ukazana w filmie chwila, gdy legioniści wkraczają do zaboru rosyjskiego, gdzie zamiast entuzjazmu witają ich nieufność i obojętność.

Przepiękna jest scena, w której niechętny przecież z początku legionista rozpoczyna kolejną misję, wykraczającą już poza ramy filmu: troskę o pamięć o poległych.

Reżyserem „Legionów" jest Dariusz Gajewski (twórca „Warszawy" i „Obcego nieba"), wielki wkład w ostateczny kształt filmu miał jego producent Maciej Pawlicki. Głównym scenarzystą był Tomasz Łysiak, choć ostatecznie scenariusz firmują oprócz niego wspomniani wyżej autorzy oraz dodatkowo Michał Godzic. Wyliczam z przyjemnością, bo należą im się gratulacje. Udało się.

„PIŁSUDSKI" W KAWAŁKACH

Tak się złożyło, że w tym samym czasie na polskie ekrany trafił inny film historyczny, po którym wiele sobie obiecywaliśmy. „Piłsudski" Michała Rosy, zwłaszcza na tle „Legionów", okazuje się dziełem ułomnym i dość dziwacznym. Tutaj fabuła rozpoczyna się wcześniej, w maju roku 1901, od ucieczki Piłsudskiego z petersburskiego szpitala. Później dostajemy epizodyczną opowieść o Piłsudskim doprowadzoną do odzyskania przez Polskę niepodległości.

Podstawowym grzechem filmu Rosy jest brak wyraźnej konstrukcji. Oglądamy rozmaite wydarzenia, których wspólnym mianownikiem jest jedno: przydarzyły się Piłsudskiemu. To, co wystarcza do napisania obszernej notki biograficznej, nie wystarcza jednak do nakręcenia dobrego filmu. Kawałki nie składają się w całość, a wstawione w kilku miejscach plansze informacyjne o tym, co akurat wydarzyło się tymczasem w Polsce i na świecie, mogą być pożyteczne dla wycieczek szkolnych, ale zabijają ekscytację i przypominają widzowi: na to czy tamto nie mieliśmy ani pieniędzy, ani konceptu.

Niektóre epizody są obiecujące. Ciekawie wypada zjazd Polskiej Partii Socjalistycznej w Wiedniu, gdzie Piłsudski nie znajduje zrozumienia u pozostałych liderów politycznych formacji. Bardzo dobre są pierwsze szpitalne sceny filmu, tyle że najbardziej emocjonująca część, sama ucieczka, jest o wiele mniej ciekawa od tego, co na ekranie pokazują Krzysztof Stroiński jako rosyjski lekarz Omelczenko oraz Krzysztof Chodorowski jako Mazurkiewicz, który Piłsudskiemu w ucieczce pomaga.

★★★★☆☆
REŻ. DARIUSZ GAJEWSKI
„LEGIONY"
POLSKA 2019

wyst. Sebastian Fabijański, Mirosław Baka, Bartosz Gelner, Wiktoria Wolańska

★★☆☆☆☆
REŻ. MICHAŁ ROSA
„PIŁSUDSKI"
POLSKA 2019

wyst. Borys Szyc, Magdalena Boczarska, Jan Marczewski

Charyzma i talent Stroińskiego sprawiają, że w ogóle kradnie on początek filmu.

Potem rusza kalejdoskop. Borys Szyc jako Piłsudski robi, co może, ale nie ma za bardzo czego grać, bo nie jest jasne, jaką właściwie opowieść chciał nakręcić Michał Rosa. Nie jest to klasyczna biografia, nie jest to rzecz o czynie bojowym, nie są to rozważania o polskim losie pod zaborami. Kawałki tych wszystkich problemów są sygnalizowane, ale film od początku do końca nie odnajduje właściwego tonu. Tak jakby Michał Rosa zawisł gdzieś między publicznym oczekiwaniem stworzenia dramatu historycznego ku pokrzepieniu serc a własną chęcią dokonania dekonstrukcji bohatera narodowego Polaków. Te ostatnie tropy wybrzmiewają tu najmocniej, bo upór Piłsudskiego przy wyborze walki zbrojnej ukazany jest niemal jak narodziny jakiegoś rodzimego Hamasu, mordującego gdzie popadnie i kogo popadnie: kobiety, dzieci, gapiów.

Oczywiście podziemna walka zbrojna niesie ze sobą ofiary, czasem giną i niewinni. Czy warto, gdzie leży granica, jaką cenę płacą własną duszą, własnym sumieniem ci, którzy podejmują tak brzemienne decyzje – to materiał na wspaniały dramat polityczny i historyczny. Tyle że u Rosy tego dramatu nie ma, jest za to miotający się po ekranie Piłsudski, raz rubaszny i chutliwy, innym razem uparty jak osioł, a jeszcze innym robiący wrażenie człowieka niespełna rozumu. Materiał na wielką rzecz, powtórzę, lecz by dekonstruować i prowokować, wypadałoby jednocześnie jasno ukazać, o co idzie gra, co jest celem, który zdaniem wielu uświęca środki. Tego w filmie Rosy także zabrakło. A przypomnijmy sobie, jak ciekawie podobne dylematy przedstawił Neil Jordan w filmie „Michael Collins" o irlandzkiej walce o niepodległość.

W „Piłsudskim" Rosy widzę mnóstwo zmarnowanych okazji. Ciekawie wypadł wątek relacji między Walerym Sławkiem (Jan Marczewski), Piłsudskim i jego pasierbicą. Dobrym tropem są partyjne spory o metody dalszej walki. Interesująco na ekranie wypadły panie, zarówno Magdalena Boczarska jako Maria, pierwsza żona Piłsudskiego, jak i Maria Dębska w roli Aleksandry, jego drugiej żony. Tutaj też pozostaje jednak poczucie niedosytu – czy miała to być (również) opowieść o cenie, płaconej przez kobiety za walkę swych mężów i kochanków? Świetny temat, ale nie o tym jest to film. Zadziwiająco bezbarwnie (to znaczy bez emocji) wypadła scena akcji w Bezdanach. Bezbarwna jest scena na Oleandrach, którą tak świetnie przedstawiły konkurencyjne „Legiony". Ciekawe rzeczy dzieją się natomiast, gdy w filmie pod koniec pojawia się wątek współpracy Piłsudskiego z austriackimi władzami, reprezentowanymi przez Josefa Rybaka (świetny epizod Przemysława Bluszcza).

ZA MAŁO KINA W KINIE

Za dużo tego wszystkiego – za wiele wątków, za wiele postaci drugoplanowych wrzucanych w akcję i charakteryzujących się jedynie nazwiskami znanymi z podręczników historii. Za mało kina w kinie, za mało dobrej fabuły. Nie „Myśli, mowy, rozkazy", lecz „Skrawki, bezradność, pomyłki". Ech, gdyby tak dać budżet Rosy ekipie realizującej „Legiony" – lepszy byłby z tych pieniędzy pożytek.

„Legiony" pokazały, jak może wyglądać porządne polskie kino historyczne. „Piłsudski" – jak trudna i delikatna jest to materia. Dzięki filmowi Gajewskiego, Pawlickiego i Łysiaka wiemy, że można kręcić dobre fabuły o naszej skomplikowanej historii bez nadmiernego patosu, bez budowania pomników ku czci. Rosa przypomniał (choć chyba nie taka była jego intencja), że zanim zabierzemy się za obalanie pomników, wypadałoby jakieś najpierw postawić. Jedynie wówczas spór o upamiętnionych na nich bohaterów będzie zrozumiały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Świat bez Boga traci sens

ks. Przemysław Artemiuk

Paweł Lisicki podobnie jak Aldous Huxley pyta, czy to, co nadchodzi, możemy określić mianem nowej wspaniałej przyszłości

Bronisław Wildstein bez ogródek, wprost mówi o skarłowaceniu, zepsuciu i grze pozorów współczesnego świata, a szczególnie demokracji. Jego zdaniem „żyjemy w świecie przebierańców i odwróconych pojęć. To, co deklarowane jest oficjalnie jako oczywistość, oczywiste wcale nie jest. Dominująca ideologia występuje w szatkach wolności, pluralizmu i dialogu, a stanowi zaprzeczenie tych idei; narzuca nam dyktat politycznej poprawności, cenzuruje język i odbiera możliwość wyboru. Zgodnie z nią odwróceniu ulec mają zasadnicze postawy cywilizacyjne. Seks ma stać się rzeczą publiczną, a religia – prywatną. Idea demokracji doprowadzona została do absurdu i funkcjonuje jako fetysz, czego przejawem jest próba przeniesienia jej zasad do rodziny, szkoły czy kultury. Jednocześnie we właściwej dla niej sferze politycznej coraz bardziej przekształca się w formalny rytuał, który skrywa zupełnie niedemokratyczne praktyki".

Czytając tom opowiadań Lisickiego „Nowa wspaniała przyszłość" (sam tytuł nawiązuje do głośnej powieści Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat" z roku 1932), czytelnik w wielu miejscach zanurza się właśnie w taki świat. Tym, co uderza najbardziej, jest radykalne odrzucenie Boga, odwrócenie się od jego praw, deprecjonowanie chrześcijańskiej tradycji, a nade wszystko próba wykreowania nowego modelu społeczeństwa. Redaktor naczelny „Do Rzeczy" celnie diagnozuje współczesne bolączki. Opowiadania, chociaż zróżnicowane co do formy i tematyki, tworzą spójną całość. Wspólnym mianownikiem pozostaje relacja człowieka z Bogiem. Lisicki prezentuje ją w różnych odcieniach. Najpierw kreśli obraz ponowoczesnego społeczeństwa, jawnie negującego Boga i szydzącego z wartości chrześcijańskich. Następnie, sięgając do czasów zamierzchłych, ukazuje cesarskie miasto dotknięte specyficznym rodzajem amnezji. Dalej przenosi czytelnika w świat współczesnych debat dotyczących historyczności Jezusa i jego zmartwychwstania. W kolejnym opowiadaniu przedstawia dzieje niewiary. W dwóch ostatnich historiach z kolei, konstruując bardzo ciekawą fabułę, daje jasny wykład wiary i pokazuje, w jaki sposób może stać się ona siłą w walce z demonami.

Czytając ten tom opowiadań, odnoszę nieodparte wrażenie, że Lisicki w swojej twórczości zbliża się do Chestertona, który niezależnie od tego, czym się zajmował i na jaki temat pisał, zawsze mówił o Bogu. Tak też czyni w najnowszym tomie opowiadań redaktor „Do Rzeczy". Przyjrzyjmy się im bliżej.

UTOPIJNE PROJEKTY SPOŁECZNE

Dwa pierwsze opowiadania, „Nowa wspaniała przyszłość" i „Miasto", traktują o społeczeństwie. Choć pierwsze opowiadanie rozgrywa się w kwietniu 2021 r. i należy do kategorii political fiction, drugie zaś to historia fikcyjnego starożytnego lub średniowiecznego miasta, możemy w nich odnaleźć przynajmniej kilka podobieństw. Po pierwsze, bohaterowie obu opowiadań tracą kontakt z rzeczywistością, gubią to, co realne i prawdziwe. Pierwsi w wyniku fatalnych decyzji politycznych, drudzy na drodze choroby. Czytelnikom bliższa może wydać się polityczna historia, którą tworzy Lisicki. W postaciach bohaterów z pierwszego opowiadania nietrudno rozpoznać twarze dobrze nam znane. Po drugie, oba państwa posługują się radykalnymi narzędziami, aby zaprowadzić porządek i zrealizować własne plany. Cesarskie miasto wydaje się rajem na ziemi, Polska, dzięki nowej władzy, zmierza do wspaniałej przyszłości. Tym, co gubi bohaterów obu opowiadań, jest pycha. Pozostają uparcie przekonani, że raz zdobytej władzy nikt nie jest w stanie im odebrać. Dzieje się jednak inaczej. Jerzy, bohater pierwszego opowiadania, zostaje pożarty przez machinę politycznej poprawności, którą sam stworzył. Mieszkańcy cesarskiego miasta, zarażeni wirusem logomnezji, nie potrafią poprawnie posługiwać się językiem. Rzeczom nadają przypadkowe nazwy i nie rozpoznają już rzeczywistości. Nie potrafią się ze sobą porozumieć. Stabilne cesarstwo upada. Nowa, wspaniała przyszłość to idée fixe, projekt całkowicie irracjonalny, sprzeczny nie tylko z tradycją chrześcijańską, lecz także z samym rozumem. Ostatecznie okazuje się jednak, że zarówno cesarskie miasto, jak i współczesne społeczeństwo może trwać dopóty, dopóki władza znajduje się w rękach pozbawionych rozsądnego myślenia funkcjonariuszy.

SPISEK PRZECIW ZMARTWYCHWSTANIU

Sprokurowanie argumentu przeciwko zmartwychwstaniu Jezusa to temat trzeciego opowiadania „List do Damasceńczyków". W historii tej chodzi o uwiarygodnienie nieznanego dotąd tekstu św. Pawła, który potwierdzi hipotezę o kradzieży ciała Jezusa z grobu przez jego uczniów. W interesującej narracji, która przybiera postać nieco kryminalną, Lisicki wykorzystuje motywy pojawiające się w historycznych badaniach nad życiem Jezusa (hipoteza kradzieży ciała Jezusa została po raz pierwszy sformułowana przez Żydów – Mt 28,13; potem powtórzyli ją badacze oświeceniowi oraz współcześni: Hermann Samuel Reimarus, Arnold Meyer, Alfred Loisy, Wilhelm Baldensperger). Cel opowiadania jest wyraźnie apologetyczny.

eprasa.pl 74272a8403

Współcześni przeciwnicy Jezusa, nie posiadając żadnych racji przeciwko zmartwychwstaniu, próbują stworzyć mocny argument. Dlatego też, inspirując się antycznymi tekstami, przygotowują manuskrypt, a następnie podejmują próbę jego uwiarygodnienia. Ich zabiegi okazują się niestety skuteczne.

Opowiadanie ma przynajmniej dwa wymiary. Ten pierwszy to historia polskiego publicysty, odnoszącego spore sukcesy, któremu szef wydawnictwa zleca przygotowanie najnowszej biografii Jezusa. Naiwny i żądny sławy pisarz zostaje wciągnięty i wykorzystany przez znanego profesora starożytności do uwiarygodnienia biblijnego odkrycia. Wymiar drugi to rozgrywka ideologiczna, którą podejmuje profesor. Nie chodzi mu o prawdę ani badania historyczne. Swój program definiuje następująco: „Muszę obalić ten przeklęty mit zmartwychwstania". Lisicki, mając za sobą znakomite prace na temat historyczności Jezusa, doskonale zna stare i nowe argumenty przeciwników Galilejczyka. W opowiadaniu wykorzystuje tę wiedzę. Dzięki wartkiej fabule ukazuje perfidię profesora i jego zdeterminowanie. Nienawiść pcha akademika nie tylko do naukowego nadużycia i kłamstwa, lecz także do morderstwa. Nie dopuszcza bowiem sprzeciwu i nie pozwala, aby ktoś, w tym przypadku inny rzetelny naukowiec, popsuł mu szyki. Ostatecznie książka o Jezusie się ukazuje. Zawiera nieznany fragment Listu św. Pawła do Damasceńczyków, pozostający koronnym argumentem negującym zmartwychwstanie. Przeciwnicy chrześcijaństwa zdają się triumfować.

MEANDRY WIARY

„Powiastka o niewierze", kolejne opowiadanie, to historia dojrzałego mężczyzny, zapis jego zmagań ze sobą i z najbliższymi, partnerką i przyjacielem. Lisicki buduje ją na paradoksie. Główny bohater walczy z wątpliwościami, chce dla innych być świadkiem wiary, zaczytuje się św. Augustynem, a równocześnie nie potrafi uporządkować własnego życia. Natrafia na coraz większe trudności, izoluje się od bliskich, gubi w nadmiarze praktyk religijnych i w gruncie rzeczy pozostaje całkowicie niezrozumiały. „Powiastka o niewierze" to permanentny dialog, który dokonuje się najpierw w sercu głównego bohatera, między nim a Bogiem. Ale to także rozmowa, miejscami spór z Martą – życiową partnerką – i Tomaszem – sceptycznym i niewierzącym przyjacielem. Odnoszę wrażenie, że Lisicki w opowiadaniu ukazuje najpierw wiarę niedojrzałą, w jakiś sposób karykaturalną, skrojoną tylko na ludzką miarę. Nie jest ona darem Boga. Polega jedynie na ludzkim wysiłku. Główny bohater szarpie się, walczy, toczy spór, przekonuje siebie i innych. Nie ma w nim jednak pokoju, akceptacji, które mają swoje źródło w głębokiej duchowości. Dlatego w pewnym momencie poddaje się, ustępuje, zostawia praktyki religijne, mszę św. Pod wpływem samotności i pustki doświadcza własnej niemocy. Dopiero wtedy stać go na szczere wyznanie: „Zbłaźniłem się przed Bogiem, rzuciłem Go w kąt jak niepotrzebny sprzęt, jakby nic dla mnie nie znaczył". Ten moment zdaje się stanowić punkt zwrotny w życiu bohatera. Odkrycie i akceptacja własnej słabości, niewystarczalności, grzeszności to oznaki duchowych narodzin. One otwierają go na wiarę prawdziwą, która wyraża się w całkowitym poddaniu się Bogu.

ORĘŻ PRZECIW WĄTPLIWOŚCIOM

Dwa ostatnie opowiadania, „Prawda i pozór" oraz „Orędownik potępionych", mają nieco zbliżoną fabułę. Kluczowe okazują się odnalezione zapiski. W przypadku pierwszego jest to korespondencja z końca XVII w., list niejakiego Jana oraz odpowiedź anonimowego autora. W drugim opowiadaniu chodzi o grecki rękopis zatytułowany „Peri ton Satanon", odnaleziony w bibliotece kairskiego patriarchatu.

Jeśli chodzi o korespondencję, to uderza nie list Jana, będący zapisem wydarzeń, które rozegrały się w Wandei w końcu XVIII stulecia, ale przede wszystkim odpowiedź udzielona najprawdopodobniej przez nauczyciela i wychowawcę, który pozostaje anonimowy. Jan, młody i dzielny polski szlachcic, udawszy się do Francji,

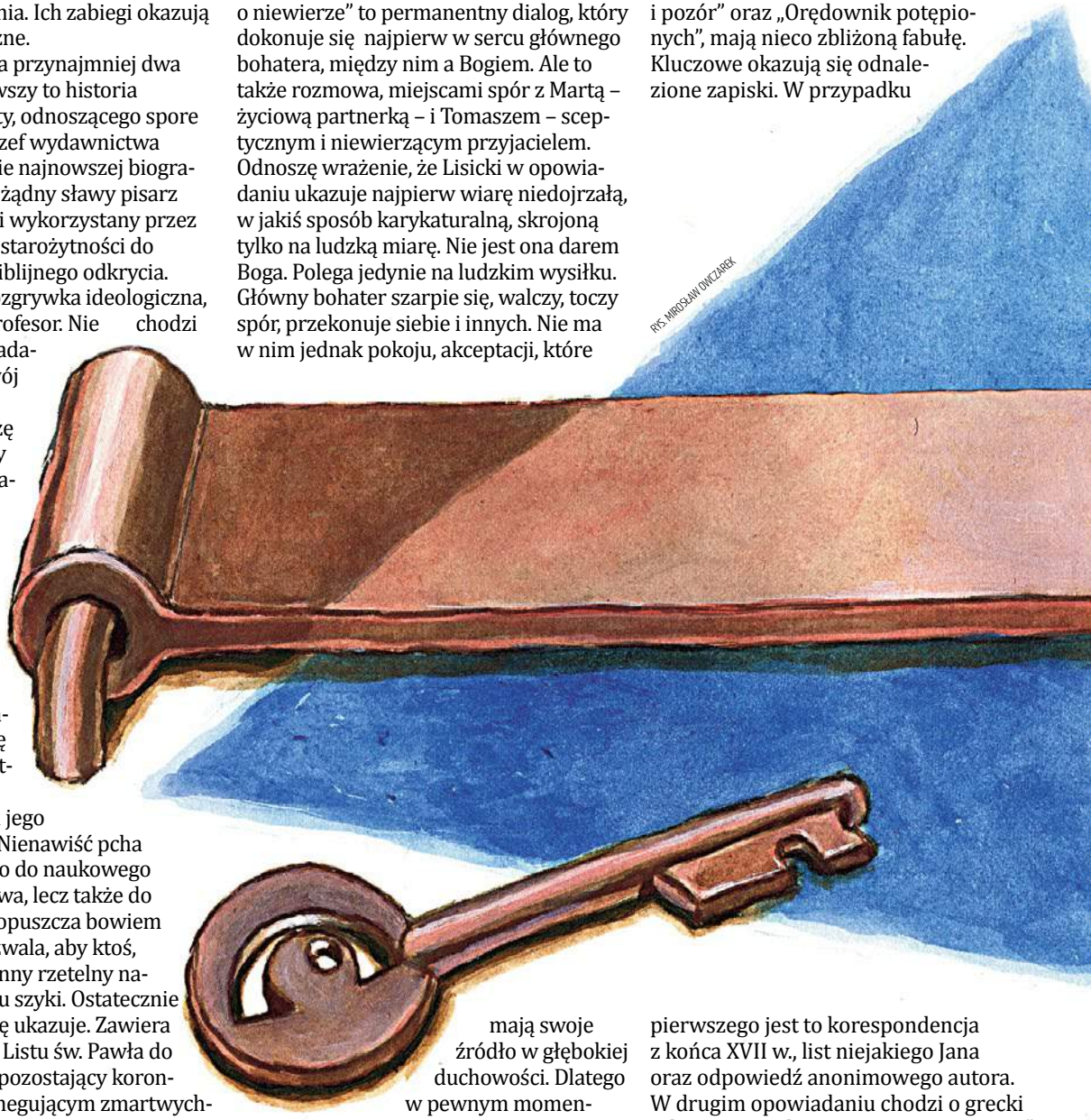

RYS. MIROSŁAW OWCZAREK

eprasa.pl 74272a8403

PAWEŁ LISICKI „NOWA WSPANIAŁA PRZYSZŁOŚĆ" WYDAWNICTWO M 2019

podejmuje walkę ze zwolennikami rewolucji w Wandei. Dostając się do niewoli, unika wprawdzie śmierci, jednak rewolucyjny kaznodzieja, były katolicki kapłan, zaraża go wątpieniem. Młodzieniec, odzyskawszy wolność, nie może uwolnić się od prześladujących go wątpliwości. Udaje się nawet do Rzymu do grobów apostołów, jednak i to nie pomaga. W liście do ojca szczerze wyznaje swoje położenie: „Serce takie jak moje, przyznaję, wciąż rozdarte i niepokoju pełne, nie zna odpoczynku". Dopuszcza nawet możliwość publicznej apostazji, niczym Sebastião Rodrigues, młody jezuita z „Milczenia" Martina Scorsese. Szlachcic chce zaprzeć się wiary, aby ją w głębi serca ocalić. Nieustannie dźwięczą mu w uszach słowa rewolucyjnego

kaznodziei: „Rzeczą najważniejszą jest miłość biednych i tę my właśnie czynem spełniamy, prawa biedakom przyznając i otwierając na oścież bramy do szczęścia". List do ojca pozostaje ostatnią deską ratunku. Ufa, że w jego odpowiedzi znajdzie słowa pełne nadziei.

List zwrotny przychodzi. Jednak nie od ojca, ale od anonimowego autora, człowieka niezwykle wyrobionego duchowo, być może wychowawcy, dobrze znającego młodego szlachcica. Uderza w nim szczerość, a zarazem siła autorytetu. Autor tekstu nie tylko zdaje się rozumieć dylematy młodzieńca, lecz także udziela mu przede wszystkim duchowej pociechy. Jego odpowiedź to bardzo jasny, a zarazem głęboki wykład wiary. W słowach nauczyciela najistotniejsza zdaje się rada dotycząca wątpliwości. Współcześni duszpasterze i rekolekcjoniści śmiało mogą z niej korzystać. Przytoczę więc ją w całości: „Raz wyznaj swą wątpliwość na spowiedzi, a więcej do niej nie wracaj. Uczyń z niej nie więcej niż pożądliwe spojrzenie albo złe słowo. Sprowadź swój grzech do miary słusznej, nie daj mu trwać w sobie. Był, zdarzył się, okropny wprawdzie, lecz nie zwycięski, o tym myśl. Ilekroć zaczniesz wiele mniemać o sobie, pamiętaj o zdradzie. Kiedy w sercu Twym zagości otucha i miłość, nie usuwaj jej wraz z nieczystym wspomnieniem. Grzech wspominać rzecz jest konieczna, ale i w tym umiaru trzeba. Grzech tylko okazją jest do pokuty, sam w sobie nie trwa. Nie ulegaj zbytnio imaginacji i myślom nie folguj, bo tak rychło, miast spokój odzyskać, w odmętach zła zatoniesz. Zmawiaj codziennie różaniec, Najświętszy Sakrament chodź adorować. Dotykaj paciorków różańca, patrz na kielich z hostiami, wąchaj kadzidło, słuchaj szmeru modlitw. Uwierz zmysłami i wstrzymaj na chwilę pęd myśli. Zobacz, iż Pan mówi do Ciebie, tak, jak Ci się jawi. Jest przed Tobą cały na krzyżu, cały w świątyni, a nie inny w sercu, inny w ciele. Bądź jak Tomasz niewierny. Niech uleczy Cię dotyk, węch, wzrok i słuch. Wątpliwościom i pytaniom pola nie dawaj. Jak tylko postrzeżesz, że nadchodzą, mów głośno modlitwę. Chwyć wodę święconą i pokrop nią diabła. Owo wątpienie niczym innym nie jest jak tylko dziełem czarta, godny mu zatem opór zgotuj. Ujawnij wątpliwości, na światło wywiedź, by kształt przyjęły, a znikną zaraz. Najgorsze, co uczynić możesz, to upodobać w nich sobie, to ze swego rozdarcia słodycz dobywać i nią się sycić. Znam ja ten napój wonny, łzami podlany i uczuciem, które jednak nie na szczyty nas wiedzie boskie, ale w otchłanie".

W ostatnim opowiadaniu Lisicki wraca do kwestii mocno dyskutowanej w latach 90. ubiegłego wieku w polskiej teologii. Sam zresztą zabierał w tej sprawie głos. Jego wypowiedź odnaleźć można w tomie „Puste piekło? Spór wokół ks. Wacława Hryniewicza nadziei zbawienia dla wszystkich". Pojawia się w tym opowiadaniu problem powszechnego zbawienia lub apokatastazy, przez którą należy rozumieć końcową i ostateczną odnowę całego stworzenia poprzez przywrócenie mu pierwotnej doskonałości i bezgrzeszności. Odnaleziony przez naukowca manuskrypt „Peri ton Satanon" stanowi motyw przewodni narracji. Można powiedzieć, że Lisicki zawarł tutaj krótki traktat o demonologii. Zarówno historia opowiedziana przez greckiego mnicha Nikifora na kartach manuskryptu, jak i komentarz badacza układają się w całość. Czytelnik nie tylko poznaje biblijne i patrystyczne teksty dotyczące szatana, lecz także widzi jego działanie, podstęp, którego używa, aby zawładnąć mnichem. Mocną stroną opowiadania pozostaje jego dramaturgia. Lisicki bardzo plastycznie ukazuje poszczególne etapy kuszenia. Wypowiedzi naukowca stanowią zaś cenne dopowiedzenia i wyjaśnienia.

W najnowszym tomie opowiadań Paweł Lisicki pokazuje, że świat bez Boga tak naprawdę pozostaje światem bez znaczenia, bez sensu. Ta parafraza ostatniej wypowiedzi Benedykta XVI chyba najlepiej oddaje istotę tych tekstów. Warto do nich sięgnąć, aby przekonać się, że tylko w Bożej perspektywie jesteśmy w stanie zrozumieć siebie i świat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest teologiem fundamentalnym, adiunktem w Katedrze Teologii Fundamentalnej i Prakseologii Apologijnej UKSW.

eprasa.pl 74272a8403

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Słowo miary właściwej

Krzysztof Masłoń

Przyznane zostały Nagrody Mediów Publicznych. W kategorii Słowo kapituła nagrody uhonorowała Jarosława Marka Rymkiewicza

Oto pełny tekst laudacji w obszernych fragmentach wygłoszonej przez Krzysztofa Masłonia 16 września w Teatrze Polskim w Warszawie:

Każdy z pięciu ludzi pióra nominowanych do Nagrody Mediów Publicznych w kategorii Słowo [Włodzimierz Bolecki, Andrzej Horubała, Antoni Libera, Andrzej Nowak, Jarosław Marek Rymkiewicz – przyp. red.] zasługuje na te laury. Osiągnięcia nominowanych są bowiem niepodważalne: dla twórczości literackiej jako takiej i dla przekazu prawdziwej historii Polski, dla przyswajania naszej kulturze zarówno wybitnych twórców światowych, jak i polskich, ale swego czasu skazanych na nieistnienie, dla poszerzania sfery wolności słowa. Ale osobiście miałbym kłopot ze wskazaniem drugiego autora, który na przełomie XX i XXI w. tak wyraźnie zaznaczył swą obecność nie tylko w życiu kulturalnym, lecz w ogóle w życiu naszego narodu jak Jarosław Marek Rymkiewicz. I to jego Kapituła Nagrody Mediów Publicznych w dziedzinie Słowo postanowiła uhonorować.

W jego osobie nagradzamy nie tylko naszego najwybitniejszego – nie tylko moim zdaniem – żyjącego poetę, znakomitego prozaika i dramaturga, wytrawnego tłumacza i świetnego znawcę dziejów literatury, lecz także niezrównanego eseistę – i polemistę. Od ponad 60 lat obecny jest on w dyskursie narodowym, w 1957 r. wydał bowiem pierwszy zbiór wierszy „Konwencje", a najnowsza jego książka – „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze" – ukazała się niewiele ponad pół roku temu. Ten ostatni tytuł zamknął sześciotomowy cykl „Jak bajeczne żurawie", w którym, od 1987 r. począwszy, kiedy to powstał „Żmut", opowiada nam Rymkiewicz – profesor nauk humanistycznych – o największym poecie polskim i jego twórczości, o Mickiewiczu postrzeganym w sposób nieoczywisty, wysoce oryginalny, daleki od wszelkich konwencji.

Nazwa kategorii, w której ośmieliliśmy się – jako Kapituła – zmierzyć i zważyć zasługi Jarosława Marka Rymkiewicza, odnosi się do „słowa", a to jest pojęcie szersze niż poezja, dramat, proza. Szersze, ale i bardziej współczesne, gdyż obejmuje również obecność pisarza w mediach, a co za tym idzie – sposób komunikowania się autora z czytelnikami czy pisarza ze społeczeństwem. Dlatego taką furorę robiły wywiady przeprowadzane z panem Jarosławem.

Znajdował w nich poeta właściwą miarę dla spraw, o których mówił. Tak jak jego wielki poprzednik, Cyprian Norwid, który definiował „słowo" w takim właśnie Rymkiewiczowskim rozumieniu, pisząc:

Ponad wszystkie twoje uroki –
Ty! Poezjo, i ty, wymowo –
Jeden wiecznie będzie wysoki:
Odpowiednie były słowa tego dać rzeczy słowo!

Dlatego równie ważne były słowa Jarosława Marka Rymkiewicza z końca stanu wojennego, kiedy to powstała równie urocza, jak doniosła książka „Rozmowy polskie latem 1983 roku", za którą autor zapłacił wyrzuceniem z pracy w Polskiej Akademii Nauk, i słowa o redaktorach

eprasa.pl 74272a8403

„Gazety Wyborczej", duchowych spadkobiercach KPP, za które wydawca „Gazety…" wytoczył mu proces. W 2011 r., w wolnej – zdawałoby się – Polsce.

Ta niezależność myślowa kosztowała go wiele już w latach 70., gdy podpisał list protestacyjny przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji PRL; i w dekadzie lat 80., w której poza cenzurą wydał swoje wiersze patriotyczne złożone w tom „Mogiła Ordona"; i w III Rzeczypospolitej, w której 1 marca 2003 r. napisał swój bodaj najważniejszy wiersz powstały w postkomunistycznej Polsce „Warszawa Śródmieście – Milanówek godz. 23.42". Pamiętają Państwo?

Przez Warszawę Zachodnią jechały pociągi
Wiały przez nie ostatnie zimowe przeciągi

I jak żywa osoba śnieg szedł przez wagony
Miał swój orszak – to były kawki i gawrony

To były suche olchy wierzby te wzdłuż torów
Przez Zachodnią Warszawę Ursus i Jaktorów

Na podłodze leżała zgwałcona dziewczyna
W gazecie było foto – we krwi trup Rywina

To były suche olchy zamarznięte stawy
To był ostatni pociąg jak sztandar Warszawy

Kosmos żywa osoba wchodził do wagonów
I była wokół wieczność wysokich peronów

I ci co tam jechali to w wieczności spali
To nad każdym gwiazdeczka kiedyś się zapali

O Mazowsze ty moja rodzinna kraino
Ja nie wiem za co teraz twoi chłopcy giną

I czas tu jest jak czaszka – strzaskana i pusta
I zamieć szła wśród torów i płakała w chrustach

Niż ten płacz ja innego nie chcę mieć pomnika
W gazecie było foto – we krwi trup Michnika

Już zbliżają się światła smutnego Brwinowa
Jutro będzie w gazecie jakaś inna głowa

Lecz kto jak ja – w krainie tej jest urodzony
Tego w wieczność zawiozą te same wagony.

Dopełnieniem tego utworu będzie powstały po tragedii smoleńskiej, siedem lat później, wiersz „Do Jarosława Kaczyńskiego".

Pasją Rymkiewicza jest współczesność, żaden bowiem polski pisarz nie brał tak aktywnego i twórczego udziału w debacie publicznej jak on. Tyle że nazwanie go pisarzem politycznym byłoby grubym błędem. Autor „Samuela Zborowskiego" może najlepiej czuje się w I Rzeczypospolitej, w latach, gdy tworzy jego ukochany Jan Kochanowski, a rycerstwo, wszystkie te jego umiłowane podgolone łby, realizuje swój ideał życia w wolności. To ta wolność jest dla pisarza absolutem. W jego rozumieniu oznacza ona niezgodę na to, co nas spotyka w sporze z losem, także pojmowanym metafizycznie. A książki Rymkiewicza zdecydowanie lepiej tłumaczą się poprzez literaturę, nie historię. Do powstałych już w XXI w. „Wieszania", „Kinderszenen" i „Samuela Zborowskiego" wiedzie prosta droga poprowadzona od „Marii" Malczewskiego, „Zamku kaniowskiego" Goszczyńskiego, a najbardziej może od „Króla-Ducha" Juliusza Słowackiego.

Jarosław Marek Rymkiewicz we wszystkich swoich poczynaniach – bo i literackich, i obywatelskich – jawi się jako poszukiwacz ducha polskości. Zarówno w historii, jak i dzisiaj. To dlatego tak żywy był odbiór jego eseistyki historycznej, pisanej – co należy przypomnieć – przez twórcę, który już od debiutu podkreśla swój związek z kulturą europejską. Z tym że – jak wyjaśniał – „Mnie Mickiewicz nauczył, że ja jestem stąd i stamtąd… najpierw z Warszawy, potem z Polski, potem z Europy…". Patriotyzm à la Rymkiewicz jest potrzebny – nie, nie Polsce, lecz nam. Patriotyzm nam, a my komu? Pisarz odpowiada na to pytanie wprost: „Ważne jest tylko to, czego chce Polska i co się jej przyda".

I pilnie baczy laureat, gdzie akurat objawia się ten uparcie poszukiwany przez niego duch polskości. Bywało, że objawiał się mu on także poza granicami Polski, na przykład na ziemiach utraconych. Unosić się też jednak może nad bazarkiem w Milanówku, w jakiejś niekoniecznie śródmiejskiej dzielnicy Warszawy, na przykład na Marymoncie, da o sobie znać na Pojezierzu Suwalskim, przypomni o swym istnieniu na mszy w którymś z krakowskich kościołów, a może i w samej katedrze wawelskiej. I w jednej chwili uwzniośli naród, a choćby i tylko tę jego część, która wciąż, niezmiennie, identyfikuje się z Polską, z polskością, z naszą tradycją i historią. Można tę ludzką masę znieważać, obrzucać epitetami, wytykać jej nienowoczesność, zacofanie, brak europejskich horyzontów i obskurantyzm. Można, ale do czasu, bo pospólstwo ma swoją dumę, a obrażone w gniewie swoim potrafi być straszne. Jest cierpliwe dopóty, dopóki ktoś nie porwie się na to, co dla niego najświętsze, co chowa w sercu, głęboko, najgłębiej, niekiedy nie potrafiąc nawet nazwać tego, co w skrócie określić można po prostu jako patriotyzm. Bezprzymiotnikowy.

I to o tym wszystkim właśnie mówi autor „Pastuszka Chełmońskiego". Za nas, którzy nie umiemy o tym powiedzieć tak przekonująco i pięknie. I dlatego nazwałem go kiedyś trybunem i rzecznikiem ludu, trybunem i rzecznikiem narodu.

W wywiadzie, który przeprowadzałem z laureatem 14 lat temu, powiedział, że jako mały chłopiec nie wyobrażał sobie, iż można żyć gdzie indziej niż w Polsce, być kimś innym niż Polakiem. „Bardzo się też wtedy dziwiłem – kontynuował – że są na świecie ludzie, którzy nie są Polakami. Cóż to, myślałem, za straszna kara! I za co taka kara? Przecież Pan Bóg nie jest chyba tak okrutny, żeby skazywać tylu Anglików, Francuzów, Niemców na to, żeby nie byli Polakami? Coś z tego dziecięcego przekonania jeszcze we mnie zostało".

Bogu dzięki, że tak właśnie było. Proszę państwa, czytajcie Jarosława Marka Rymkiewicza. Jego wiersze, prozę, eseistykę. We współczesnej literaturze polskiej nie ma nic bardziej wartościowego, nie ma nic ciekawszego, nie ma nic lepszego.

***

Syn laureata, Wawrzyniec Rymkiewicz, odbierając nagrodę, oprócz podziękowań od ojca przypomniał jego wiersz z tomu „Metempsychozy" – „Ślepy poeta":

Ciemność jest ślepa – jak ja jak poezja
Jak brzózki tam w ogrodzie jak klon i daglezja

Idziemy więc oboje – trzyma mnie za rękę
I nucimy tę samą wesołą piosenkę

Ślepe są wszystkie brzózki i każda daglezja
Zgodna ze swą naturą jest ślepa poezja

Idziemy więc oboje – ona trochę z przodu
Ślepa ciemność z poetą ślepego ogrodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Rodzina na swoim

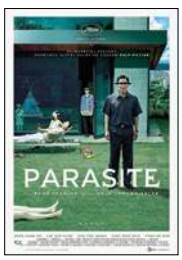

★★★★☆☆

REŻ. JOON-HO BONG
„PARASITE" („GI-SAENG-CHUNG")
KOREA PŁD. 2019

wyst. Kang-ho Song, So-dam Park, Woo-sik Hoi

Al Pacino doczekał się Oscara dopiero, gdy zagrał ślepca mającego nosa do kobiet. Joon-ho Bong dostał Złotą Palmę na festiwalu w Cannes za film, którego bohaterowie też pachną, ale biedą. Żadne mydło ani dezodorant nie są w stanie tego fetoru stłumić.

Trochę się to kłóci z wizerunkiem Korei Południowej – kraju, który w rekordowym tempie doszedł od nędzy do wielkich pieniędzy. Sukces czeboli i demokracji sterowanej nadal inspiruje polityków i ekonomistów. Ostatnio Seul przestawił wajchę, w większym stopniu stawiając na rozrywkę i kulturę. Efekty widać gołym okiem: połowa świata podryguje w rytmie k-pop i obżera się kimchi. Ten imponujący skok w nowoczesność miał jednak skutki uboczne. Koreańczycy z południa powtórzyli błąd zachodniej cywilizacji. Dopuścili do uformowania się grupy wykształconych malkontentów. Ci natychmiast jęli krytykować władzę za autorytaryzm, a kadrę menedżerską za bezduszność i (cóż za hipokryzja!) przesadne uwielbienie dla wszystkiego, co amerykańskie. W nowym filmie Bonga rozwydrzony dzieciak wymusza na dorosłych zabawę w Indian.

Sam reżyser woli bawić się w szalonego barmana. „Parasite" przypomina wielopiętrowy koktajl. Pierwsza warstwa ma smak lekkiej, łotrzykowskiej komedii. Następne przypadną do gustu wyznawcom antykapitalistycznych teorii Piketty'ego, amatorom dreszczowców, balansujących na krawędzi groteski i fanom północnokoreańskich wiadomości telewizyjnych.

Bezrobotni zaludniają downtown, elita mieszka na wzgórzach. Chcąc przekroczyć granicę tych dwóch światów, trzeba ostro kombinować. Wychowany w slumsach Ki-woo zostaje korepetytorem panny z dobrego domu. To początek operacji, która przybliży rodzinę rzekomego studenta do spełnienia marzenia, którym jest przeprowadzka z zatęchłej sutereny do designerskiej willi z ogrodem.

Lat temu parę Bong próbował podbić Hollywood. „Snowpiercerem" zgrabnie wpisał się w lęk przed klimatyczną apokalipsą, proekologiczna „Okja" wyciskała łzy nawet z zagorzałych mięsożerców, ale mistrza uwierał kaganiec, zakładany przez amerykańskich producentów. Powrót do ojczyzny podziałał nań ożywczo, choć amok, w który popadli krytycy z Cannes, wydaje mi się trochę przesadzony.

„Parasite" to nie nowe „Pulp Fiction" i do arcydzielności trochę mu brakuje. Intryga momentami jest szyta bardzo grubymi nićmi. Biedni są za sprytni, a bogaci – zbyt naiwni. Fajtłapy, które nie potrafią prawidłowo złożyć pudełka na pizzę, znienacka objawiają talenty aktorskie, godne Oscarów. Może kamienie wydobyte z rzeki faktycznie przynoszą szczęście? ©℗

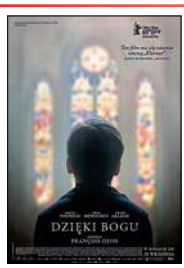

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „DZIĘKI BOGU"

Ozon w pogoni za modą, bo reżyser opuszcza swe ulubione terytorium (thrillery i równie pokręcone komedie), by opowiedzieć o problemie pedofilii w Kościele. Na szczęście nie robi tego na żenującym poziomie „Kleru", a i od amerykańskiego „Spotlight" jest lepszy. Rzecz oparta na prawdziwych wydarzeniach z Lyonu. Ozon ciekawi, bo koncentruje się na traumie ofiar i ich walce o prawdę. Jego dzieło nie jest jednak wolne od wad – film jest o pół godziny za długi i za dużo w nim prostackiej publicystyki. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Dzięki Bogu", reż. François Ozon, wyst. Melvil Poupaud, Denis Ménochet, Swann Arlaud, Francja 2019***

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Mowa ptaków", reż. Xawery Żuławski, Polska 2019***
- ***„Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy", reż. Radu Jude, Francja/Rumunia 2018***
- ***„Dom strachów", reż. Scott Beck, USA 2019***
- ***„Krewetki w cekinach", reż. Cédric Le Gallo, Francja 2019***

eprasa.pl 74272a8403

Kolacja kłamczuchów

Z nagą prawdą trzeba uważać. Przekonał się o tym ostatnio pewien sędzia, przesyłający lubej swoje fotki w stroju adamowym. Gdyby oglądał włoski komediodramat „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie", może byłby mądry przed szkodą. Film Paolo Genovese opowiada bowiem o strasznych skutkach zabawy w szczerość. Akcja, nie licząc krótkiego prologu, jeszcze krótszego epilogu oraz przerw na papierosa, rozgrywa się w mieszczańskim salonie. Nikt ani nie padnie nagłym trupem, ani świata przed zagładą nie ocali. Ot, siódemka ludzi w wieku lekkopółśrednim usiądzie razem do stołu, a gdy parapetówka dobiegnie końca, ich przyjaźń będzie już tylko wspomnieniem.

★★★★★★

REŻ. TADEUSZ ŚLIWA
„(NIE)ZNAJOMI"
POLSKA 2019

wyst. Kasia Smutniak, Tomasz Kot, Maja Ostaszewska

W polskiej wersji Bianca stała się Zosią, Cosimo – Czarkiem, Peppe – Wojtkiem, Carlotta – Anną, Lele – Grześkiem, Rocco – Tomkiem. Tylko Eva nadal jest Ewą, bo Kasia Smutniak powtarza rolę gospodyni. Oryginał był trochę bardziej wytrawny, my, Słowianie, kochamy sielanki i słodkie alkohole. Najbardziej udała się obsada. Rządzi Michał Żurawski jako nadwiślański casanova, ale wcale nie gorsi są Maja Ostaszewska, grająca kurę domową na skraju załamania nerwowego, i Łukasz Simlat jako rzekomy sodomita. Jeśli wiarygodność szwankuje, to z powodu różnic kulturowych. Polacy, w odróżnieniu od Włochów, nie wydzwaniają do siebie po nocach. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KAŻDEMU CO SIĘ NALEŻY

★★★★★★

REŻ. S. CRAIG ZAHLER
„KREW NA BETONIE"
USA 2018, MONOLITH

wyst. Mel Gibson, Vince Vaughn, Tory Kittles

Trzeci film jednego z najciekawszych amerykańskich twórców ostatnich lat. „Bone Tomahawk" był niepoprawnym politycznie skrzyżowaniem horroru i westernu. „Cela 99" – kryminałem więziennym i mocnym antyaborcyjnym przesłaniem. „Krew na betonie" to z kolei moralitet o dwóch upadłych gliniarzach (Mel Gibson, Vince Vaughn). Nieprzebierający w środkach funkcjonariusze zostają przyłapani na zbyt intensywnym traktowaniu podejrzanych (ach, te przeklęte media społecznościowe!). Zawieszeni wikłają się w kryminalną intrygę, która będzie miała nieoczekiwane skutki. Zahler pisze świetne dialogi, zostawia mnóstwo miejsca aktorom, donikąd się nie śpieszy – proponuje więc przeciwieństwo współczesnych kryminałów. Znakomite kino, o trudnym do zapomnienia dusznym klimacie, a przy tym zmuszające do myślenia. Rola Mela Gibsona – wybitna, na drugim planie w pamięć zapada natomiast Don Johnson. Show kradnie (dosłownie) Tory Kittles. W finale zrozumiecie dlaczego.

KONIEC GRY. I POCZĄTEK

★★★★★★

REŻ. ANTHONY RUSSO, JOE RUSSO
„AVENGERS: KONIEC GRY"
USA 2019, GALAPAGOS

wyst. Robert Downey Jr., Brie Larson, Chris Evans, Scarlett Johansson, Paul Rudd

W „Avengers: Wojna bez granic" połowa istot żyjących we wszechświecie zginęła za sprawą potężnego Thanosa i jego rękawicy nieskończoności. W „Końcu gry" niedobitki superbohaterów próbują odnaleźć sposób na odwrócenie tej tragedii. U ich boku pojawi się postać całkiem nowa (z filmu „Kapitan Marvel"), ale to nie jej moce okażą się najważniejsze. Klucze do zwycięstwa przyniesie Ant-Man. Skąd? Trzeba było uważnie oglądać filmy o tym właśnie herosie. „Avengers: Koniec gry" jest pożegnaniem z niektórymi bohaterami Marvel Cinematic Universe, pożegnaniem wystawnym i rekordowym (film został najbardziej kasowym obrazem w historii). Jest to jednak danie zdecydowanie dla fanów, postronny widz może zagubić się w mnogości odwołań do poprzednich filmów z MCU. Także scena gigantycznej bitwy wszystkich ze wszystkimi raczej nuży, niż zachwyca, a zajmuje dobre pół godziny. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „GREEDFALL"

Tętniąca życiem wyspa osadzona w realiach przypominających kolonizację XVII-wiecznej Ameryki. Do tego magia, zróżnicowane frakcje i tajemnicza plaga o nazwie Malichor, która trawi Stary Świat. To właśnie tutaj, na świeżo odkrytym Teer Fradee, konkwistadorzy mają odnaleźć antidotum na zarazę. A że przy okazji wykorzystują autochtonów, polują na chroniące ich mityczne bestie i wykorzystują zasoby naturalne? Cóż, my, jako szlachetni bohaterowie, mamy okazję to zmienić. „GreedFall" to przyjemny drużynowy RPG, przypominający klimatem „Wiedźmina".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Udane połączenie dynamicznej walki, intrygującej fabuły i dobrej grafiki. ©℗

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *TSpiders/ Focus Home Interactive*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 74272a8403

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ostatni Niemcy w Bonn

Agnieszka Karaś, autorka wydanej nakładem oficyny Pod Wiatr książki „A gdzie tu Niemcy?", poznała naszych zachodnich sąsiadów na studiach. A studiowała literaturę w Bonn, zapomnianym dzisiaj niewielkim mieście, które w podzielonych Niemczech było stolicą Republiki Federalnej Niemiec. Gdy niemiecki rząd przeniósł się nad Sprewę, ona pozostała nad Renem, gdzie uczy języka polskiego, tłumaczy literaturę i pisze sztuki teatralne. I coraz więcej wie o Niemcach, nie tylko o nich zresztą, lecz także o Polakach, którzy czasowo bądź na stałe osiedlili się w kraju budzącym w nas – bodaj jak żaden inny – skrajne emocje, częściej negatywne niż pozytywne.

Czy słusznie? Szesnaście opowieści składających się na książkę Agnieszki Karaś odnosi się do tego, co najbardziej nas poróżniło, czyli II wojny światowej, hitlerowskiej okupacji, zbrodni dokonywanych przez Niemców, ale przecież i do współczesności, a ta pod wieloma względami nas zaskakuje. Bonn z pewnością jest miejscem wyjątkowym, ale – przyznam się – książka Agnieszki Karaś przynosi informacje wręcz nie do uwierzenia. Oto autorka oprowadza nas po centrum byłej dzielnicy dyplomatycznej. Pełno tu dzieci i starców na wózkach inwalidzkich. Kobiety rozkładają dywaniki, na których siadają, przynoszą ze sobą napoje w termosach. To Arabowie – turyści medyczni przyjeżdżający tu na leczenie. Apartamenty kosztują tu bajońskie sumy, ale – zdaniem nielicznych już w tej dzielnicy Niemców – goście, owszem, płacą, ale i śmiecą. A nigdzie w Niemczech nie widuje się na ulicy tylu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

burek co na południu Bonn. Tymczasem lokalna telewizja pokazuje w reportażu hasło ugrupowania godesbergczyków, rodzimych mieszkańców dzielnicy: „Islam – tak! Burka – nie!", a przewodniczący partii stwierdza: „Nasza dzielnica zawsze była otwarta na świat i na inne kultury. Ale teraz staje się dzielnicą arabską".

Tu mieszka jednak arabska arystokracja. Oto rodzina przybyła z Kataru na operację czteroletniego dziecka mającego problemy nerkowe. Spędzą tu kilka miesięcy, otrzymując od ambasady katarskiej 450 euro dziennie dla każdego członka rodziny. Matka i dwie dorastające córki robią zakupy, kupują torebkę za 600 euro i kosmetyki do makijażu w tej samej cenie. Matka mówi do kamery: – Nie noszę tu burki, tylko hidżab. W mojej ojczyźnie noszę burkę, tu nie. W Niemczech mężczyźni nie patrzą tak pożądliwie na kobietę, ale jeślibym w moim kraju chodziła bez burki po ulicy, toby sobie mogli pomyśleć to i owo.

Bogusia, Polka w Bonn, alter ego autorki, mieszka gdzie indziej, ale Niemców jest tam jeszcze mniej. Jej niemiecki mąż żartuje, że będzie tu ostatnim Niemcem. „Pod numerem piątym – czytamy – mieszka wdowa z Tunezji razem z dorastającą córką. Nad Tunezyjką dwie rodziny Niemców nadwołżańskich i rodzina kurdyjska z Turcji. Jedno małżeństwo niemiecko-tureckie. Na górze jedna rodzina niemiecka. Pod numerem siódmym mieszkają dwie rodziny niemieckie, jedna rodzina turecka, rodzina bośniacka, rodzina libijska i małżeństwo polsko-niemieckie. Pod dziewiątką [...] Romowie z Polski, rodzina z Libii, chrześcijanie z Iraku, rodzina z Czarnogóry i rodzina z Litwy. Gdy Bogusia z Arnoldem wprowadzali się do bloku, w roku 2000, Bogusia była pierwszą migrantką na dwadzieścia mieszkań".

Byle jakie lokale mieszkaniowe oferowane są przez deweloperów w blokach o – jak powiadają – „dużej bliskości społecznej". Tak zachwala się tutaj ciasnotę. W każdym razie, kiedy jest mecz piłki nożnej, nie trzeba włączać telewizora, wystarczy wsłuchać się w okrzyki radości jednego sąsiada i pojękiwania drugiego. Pod warunkiem że wiadomo, z jakiego kraju dany sąsiad pochodzi. No i lepiej polubić grillowane za ścianą lub na sąsiednim balkonie mięso, bo jego zapach co sobota unosić się będzie nad ogródkiem. Mieszkania mają bowiem ogródki, a jakże, w kształcie i o wielkości ręczniczka do rąk.

Niemiecka sąsiadka w południe odwiedza Bogusię, częstując ją przysmakami przygotowanymi na obiad. Czasem nuci wtedy piosenki, które śpiewała w BDM, hitlerowskiej organizacji dla dziewcząt. Dziwi się, że Bogusia wtedy się dąsa. ©℗

★★★★☆

AGNIESZKA KARAŚ
„A GDZIE TU NIEMCY?"
POD WIATR 2019

eprasa.pl 74272a8403

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Znacie, to poczytajcie

Popkultura pożera własny ogon (ktoś inny powie: sama się napędza). Nowa powieść Stephena Kinga budzi skojarzenia z serialem „Stranger Things", który to serial z kolei wywiedziony jest z „dawnego Kinga" i w ogóle sentymentów do fantastyki i grozy lat 80. Jednocześnie „Instytut" przypomina tegoż wczesnego Kinga bardziej bezpośrednio, bo przywodzi na myśl jego powieść „Podpalaczka" (1980, polskie wydanie 1992). Wszystkie te historie łączy ten sam pomysł: źli rządowi agenci wykorzystujący dzieciaki obdarzone nadnaturalnymi zdolnościami.

Tytułowy „Instytut" to ukryta przemyślnie na głębokiej amerykańskiej prowincji placówka, do której niezwykłe dzieci trafiają wbrew swej woli. Ich zniknięcie jest tuszowane metodą najprostszą i najokrutniejszą: po prostu zabija się ich rodziców. W zamknięciu, poddane praniu mózgów, rozmaitym eksperymentom i starej, dobrej zwykłej przemocy fizycznej, uczą się wykorzystywać swoje zdolności w charakterze broni.

Historię poznajemy z punktu widzenia 12-letniego Luke'a, małego geniusza matematyki, który obdarzony jest także mniej oczywistymi talentami. To jedna z ofiar Instytutu. Drugą ważną figurą jest Tim, eksgliniarz, który zmuszony opuścić Florydę błąka się po kraju, imając rozmaitych zajęć, by ostatecznie zapuścić korzenie w sennym miasteczku na uboczu. Tim jest chyba najlepiej nakreśloną postacią w całej książce, od jego historii zaczynamy zresztą lekturę „Instytutu". A partie, w których pozwala przypadkowi decydować o swym losie, podróżuje autostopem, podejmuje dorywcze prace, przypominają z kolei powieści Lee Childa i przemierzającego Stany Zjednoczone dzielnego Jacka Reachera.

Stephen King wciąż jest mistrzem literatury popularnej. Nie zatracił umiejętności budowania zapadających w pamięć postaci, pisania znakomitych dialogów, popychania akcji tak, że czytelnik nerwowo przewraca kartkę za kartką. Jednocześnie od lat zajmuje się recyklingiem własnych pomysłów, a nowym książkom daleko do klasy takich powieści jak „To" czy „Smętarz dla zwierzaków". Wśród innych dokonań bogacza z Maine „Instytut" umieścić powinniśmy w strefach średnich, oceniając na trzy gwiazdki. Jednak porównywany z dokonaniami innych King wciąż pozostaje mocno przed peletonem konkurentów. Stąd czwarta gwiazdka. Chociaż nie ukrywam: za sprawność, nie za emocje. ©℗

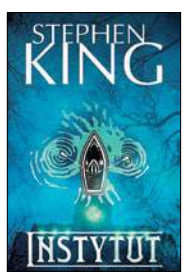

★★★★☆

STEPHEN KING „INSTYTUT" ALBATROS 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Życie, śmierć i spuścizna Freddiego Mercury'ego" – głosi podtytuł biografii. O wiele ciekawszej i bardziej przenikliwej niż przereklamowany film „Bohemian Rhapsody". Jedyny minus, że przeboje Queen trzeba nucić sobie samemu.

MATT RICHARDS, MARK LANGTHORNE „SOMEBODY TO LOVE" ZYSK I S-KA

Mafia to nie tylko Włochy. Opowieść o tym, jak jest zorganizowana, jak wykorzystuje legalne instytucje, jak wygląda jej „życie codzienne i towarzyskie". Autor, kryminolog z Oksfordu, to wybitny znawca tematu.

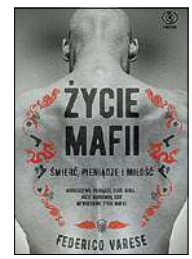

FEDERICO VARESE „ŻYCIE MAFII" REBIS

Pożegnalny zbiór krótkich tekstów znakomitej pisarki (zmarła w 2018 r.). Notatki z codzienności układają się w poruszającą opowieść o zmaganiach ze starością, o życiu, kotach, sztuce. I że nie ma ani sekundy do stracenia.

URSULA K. LE GUIN „NIE MA CZASU" PRÓSZYŃSKI I S-KA

O mediach społecznościowych jako nowej broni, o wojnie informacyjnej, o hakerach i o tym, jak terroryści wykorzystują Internet. Mnóstwo pożytecznej wiedzy, choć czasem z dodatkiem antytrumpowskich obsesji. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

P.W. SINGER, E.T. BROOKING „NOWY RODZAJ WOJNY" VIS-À-VIS ETIUDA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***David Lagercrantz „To, która musi umrzeć" (Czarna Owca) – zamknięcie serii „Millennium" Stiega Larssona, już bez Larssona. Tom szósty.***
2. ***Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć" (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych" – głosi podtytuł poradnika.***
3. ***Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – sukces sequela przywrócił na listy bestsellerów powieść sprzed roku.***
4. ***Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni" (Agora) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej, wkrótce niestety także film.***
5. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 19 sierpnia do 8 września 2019 r.)

eprasa.pl 74272a8403

Warunki platynowej płyty spełnione już w dniu premiery „Mr. KęKę", złotej – dzięki opłacanym w całości z góry preorderom – na dwa miesiące przed. Wyjątkowy jest nie tylko model dystrybucji nowej płyty rapera KęKę, lecz także ona sama. Napisana po części w czasach, gdy przyjmował środki farmakologiczne, po części później, gdy już je odstawił i chwycił depresję za rogi bez ich pomocy. „Myślę, że czujne ucho z łatwością wychwyci, które numery pisałem »wtedy«. Wraz z postępem prac, choć nie tylko one miały na to wpływ, wszystko zaczęło powoli się prostować, a jaśniejsza strona mocy wzięła górę nad tym, co złe. To też myślę, że słychać. Jest na »Mr. KęKę« sporo humoru i luzu" – napisał KęKę na Facebooku.

Na najnowszej płycie m.in. „Drogi Tato", którego KęKę nazwał najważniejszym

List do T.

Kadr z teledysku do wspólnej piosenki KęKę (z prawej) i Sebastiana Riedla

FOT. YOUTUBE

kawałkiem w swoim całym dorobku. Nagrał go z Sebastianem Riedlem, który miał 16 lat, kiedy Polska straciła Ryśka, a on – tatę. Sebastian śpiewa: „Mój drogi Tato, ja myślę wciąż o Tobie / Zamykam oczy, gdzieś uszła cała złość / Za wszystkie lata, kiedy tak wierzyłem w to / Że będziesz obok, przytulisz w ciemną noc", brzmiąc w tej piosence jak Rysiek w „Liście do M.". Relacje ze swoim ojcem rozlicza i KęKę. Rapuje: „Czas wyleczył ranę w sercu jak najlepszy lekarz na świecie / Słyszysz Tato? Kocham Cię i musisz to wiedzieć / Tyle lat przeżyłem w gniewie, dziś rozumiem już sam / Wiem, że nie da się dać więcej, niż samemu się ma [...] Jak ją [miłość – przyp. red.] dawać też ktoś musi pokazać / Może sam nie doświadczyłeś, więc nie winię Cię Tata".

W „Safari" KęKę daje do myślenia tym recenzentom i odbiorcom, którzy narzekają, że tematyka jego tekstów się zmieniła. „Ty piszesz recenzję albumu »od strony technicznej jest dobrze / Tylko to coś za wesołe, lepiej jak raper ma gorzej« (serio?!) [...] Może u żony wykryją glejaka lub stracisz dzieciaka / To wtedy poczuje emocje / Czasami sam nie wiem niektórzy to biorą, że wszystko na niby / Fałszywa depresja, fałszywe targnięcia, rozbicie rodziny" – wali między oczy KęKę.

„Podobno jeśli muzyka potrafi pomóc choć jednej osobie, to ma sens. Ta płyta ma sens. Pomogła. Mi" – napisał KęKę na Facebooku. Oglądając teledysk do „Drogi Tato" na YouTube, zacząłem czytać komentarze. Wiele z nich jest jak kolejne zwrotki (co z tego, że nie do śpiewania, bez rymów) piosenki KęKę i Riedla. Może zatem płyta „Mr. KęKę" pomoże nie tylko jej autorowi? ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Splamiona elegancja

Spotkali się za kulisami sceny w Hollywood Bowl podczas koncertu w hołdzie dla Serge'a Gainsbourga. Vannier aranżował piosenki ekscentrycznego Francuza, Patton od lat był tegoż admiratorem. Postanowili coś zrobić razem. Zajęło im to sześć lat.

Ta zróżnicowana muzycznie płyta zakorzeniona jest zarówno w obskurnych francuskich chanson, morderczych bluesach czy ścieżkach dźwiękowych do filmów noir. Naturalną scenerią do piosenek są zadymione nocne bary, w których mają miejsce porachunki, nieokiełznane namiętności, upadki... Głos Amerykanina (Faith No More, Mr. Bungle) idealnie pasuje do tych opowieści, a Jean-Claude perfekcyjnie ilustruje je wysmakowanymi aranżacjami. „Komponuję, używając papieru, ołówka i gumki" – tłumaczy Vannier. „Najważniejsza jest gumka".

W otwierającym utworze Patton deklamuje fragment „Ballady o więzieniu w Reading" Oscara Wilde'a. Ostra bluesowa gitara, wampiryczny fortepian Rhodesa, w tle zawodzi akordeon. Utwory obudowywane są dźwiękami z fonoteki (bójki, odgłosy nocnego miasta, przejeżdżające samochody), a całość kontroluje i komentuje dramatycznie rozwibrowana orkiestra.

W dedykowanej Jacques'owi Brelowi „Pink and Bleue" na tle staromodnej melodii toczy się opowieść o alkoholizmie, nieodwzajemnionej miłość i samookaleczeniu. Wysmakowana jest to płyta. Czarny humor łączy się na niej ze splamioną elegancją. ©℗

★★★★★★

MIKE PATTON & JEAN-CLAUDE VANNIER „CORPSE FLOWER" IPECAC

★★★★☆☆

MIKROMUSIC „MIKROMUSIC Z DOLNEJ PÓŁKI" MIKRO

Folkowo-akustyczne aranżacje starych utworów. Jedyną nowością jest ludowa „Kołysanka pani Broni". Nietypowe instrumentarium i miejsca nagrań (m.in. Wieża Matematyczna) nadały piosenkom nowy charakter. Godny uwagi kierunek.

★★★★★☆

TRUPA TRUPA „OF THE SUN" GLITTERHOUSE

Trójmiejska formacja konsekwentnie podbija światowy rynek muzyki alternatywnej. Mroczne, spowolnione gitarowe ściany wraz z beznamiętnym wokalem tworzą przygnębiająco-frapujący klimat. Przejmujący soundtrack do końca świata. ©℗

eprasa.pl 74272a8403

Już 30 września w DO RZECZY dodatek

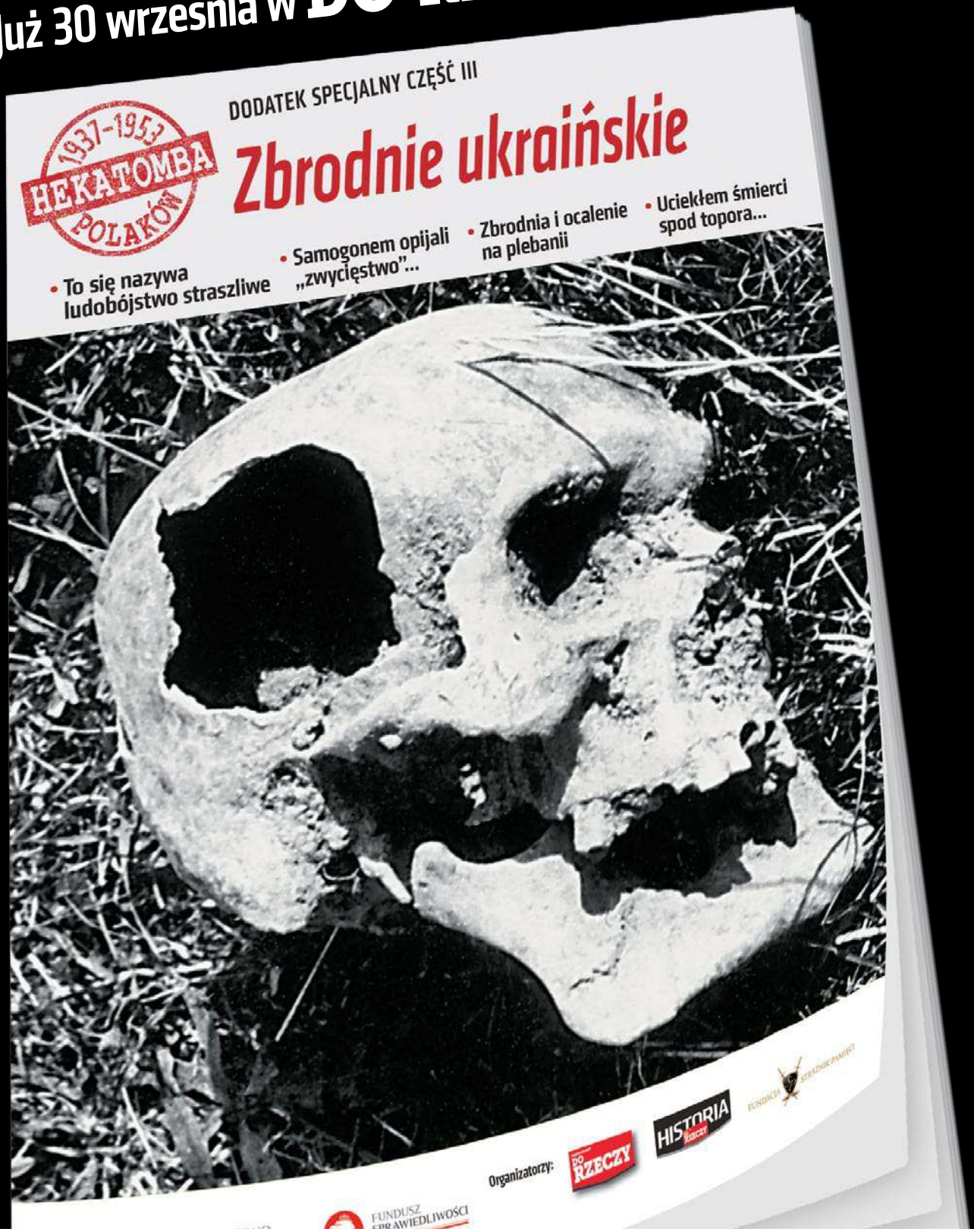

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 74272a8403

Zdrada, wspólnota i udowadnianie, że nie jestem wielbłądem

Tomasz P. Terlikowski

Tylko winni się tłumaczą. To proste zdanie powinno wyczerpać całą odpowiedź na otwarty list Roberta Tekielego skierowany do mnie w ostatnim numerze tygodnika „Do Rzeczy"

Jeśli zdecydowałem się dowodzić, że nie jestem wielbłądem, że nie zdradziłem i zdradzać nie zamierzam, to wyłącznie dlatego, że po pierwsze z tekstu Roberta wyłania się specyficzny obraz wspólnoty narodowej i religijnej, z którym ani nie mogę, ani nie chcę się zgodzić, a po drugie mimo że podzielam diagnozę, iż wokół nas toczy się starcie cywilizacji, to inaczej (takie mam wrażenie) je rozumiem, inaczej definiuję granice między cywilizacjami, a jakby tego było mało, mam inne rozumienie środków, które można i trzeba w tej walce stosować. I tylko dlatego wchodzę w ten spór. Spór, który nie ma dla mnie charakteru osobistego, bo Roberta Tekielego lubię i szanuję, a który dotyczy raczej kwestii fundamentalnych.

Zacznę jednak od kilku wyjaśnień dotyczących faktów. Fakty w dyskusji są bowiem ważniejsze od opinii. Te są zaś takie, że ani ja nie współpracuję z „Gazetą Wyborczą", ani ona nie zachęca mnie do współpracy. Nikt mnie nie werbuje i dotyczy to nie tylko „Gazety Wyborczej", TVN, lecz także KGB, CIA i Mosadu. Udzieliłem mediom związanym z Agorą drugiego czy trzeciego w całym moim zawodowym życiu wywiadu (a, zapomniałbym – brałem też udział przez lata w audycjach Radia TOK FM, ale od jakiegoś czasu, średnio licząc – od pięciu lat, w ramach próby werbunku zaprasza mnie tam tylko Tomasz Stawiszyński, a i on bardzo rzadko), tak jak udzielałem wywiadów „Tygodnikowi Powszechnemu", „Dziennikowi. Gazecie Prawnej", „Polsce. The Times" i wielu innym pismom. Tylko z nielicznymi z nich współpracowałem i tylko nieliczne z nich chciały ze mną współpracować. Udzielenie wywiadów nie jest publikowaniem w danej gazecie, lecz jedynie rozmową z jej przedstawicielem, podobnie jak to, że występuję czasem w programach Polsatu, nie oznacza, że jestem jego współpracownikiem. Kiedyś występowałem u Tomasza Lisa, co nie oznaczało, że jestem jego współpracownikiem. Nie wierzę, żebyś, Robercie, o tym nie

eprasa.pl 74272a8403

wiedział, żebyś uważał, że udzielenie wywiadu jest współpracą i publikowaniem. Mniejsza jednak o moją wiarę. Teraz przejdę do podziękowań.

AMICUS PLATO, SED MAGIS AMICA VERITAS

Robercie, jestem Ci wdzięczny za to, że swój tekst zatytułowałeś tak delikatnie i że sam nie twierdzisz, iż zdradziłem, lecz jedynie cytujesz opinie innych. Cieszę się także, że wybrałeś te najdelikatniejsze, bo ja sam – i to zarówno na Twitterze, jak i na Twoim facebookowym wallu pod zacytowanym w całości tekstem z „Do Rzeczy" – znalazłem opinie o wiele ostrzejsze – że okazałem się „sprzedajną szmatą", „szmaciarzem", a nawet „volksdeutschem". Sformułowanie: „Czy Terlikowski jest volksdeutschem, czy się zeszmacił i sprzedał?" też brzmiałoby ciekawie i na pewno zrodzić się mogło (a nawet niektórzy dali na nie odpowiedź) w głowach wielu czytelników. Dlatego cieszę się z tak delikatnego ujęcia problemu.

Niestety, nie jestem w stanie zrozumieć, kogo lub czego miałaby dotyczyć zdrada, o którą pytać się mają liczni czytelnicy „Do Rzeczy" i „Gazety Polskiej". Słownik języka polskiego PWN definiuje to słowo – w jego znaczeniu publicznym, a nie prywatnym – jako „działanie na szkodę narodu, kraju" lub „odstąpienie od jakichś zasad, wartości, idei". I aż trudno nie zadać mi pytania, dlaczego krytyka jednego z aspektów (dla mnie najważniejszego) działania partii, która podaje się za konserwatywną, ma oznaczać „zdradę"? I wreszcie dlaczego pytanie o to, czy partia ta realizuje elementy programu, które dla mnie są ważne, ma oznaczać „odstąpienie od jakichś zasad, wartości, idei"?

To samo pytanie zadawałem niegdyś Platformie Obywatelskiej i wtedy nikt się nie czepiał, że kogokolwiek zdradzam, dlaczego zatem zadanie go, po czterech latach, w których w sprawie obrony życia działania PiS nie różniły się od działań Platformy Obywatelskiej, ma być „odstąpieniem od jakichś zasad, wartości, idei"? Ja mam wrażenie, że raczej odrzucenie tych pytań, uznanie, że swoim ich nie zadajemy, bo może im to zaszkodzić (tak jakby było winą pytającego, że odpowiadający nic w jakiejś kwestii nie zrobił), jest „odstąpieniem od zasad, wartości i idei".

Cieszy mnie, że dostrzegasz braki w działaniu Prawa i Sprawiedliwości w kwestii obrony życia i że nie kwestionujesz, iż rzeczywiście nic w tej sprawie się nie zmieniło, ale nie bardzo rozumiem, skąd u Ciebie wiara, że w drugiej kadencji cokolwiek się zmieni? Skąd deklarowane przekonanie, że mamy czekać trzy miesiące po tych wyborach, żeby PiS ograniczył aborcję i wyeliminował z katalogu „wyjątków" eugenikę. Jakby tego było mało, mamy jasną deklarację Prawa i Sprawiedliwości w najnowszym programie, że jest ono przeciwko „aborcji na życzenie", a jednocześnie przekaz płynący od ministra Dworczyka, że oznacza to, iż żadnych zmian nie będzie. Możemy oczywiście opowiadać, że to i tak dużo, ale tak się składa, iż poza lewicą nie ma w Polsce ugrupowania, które opowiada się za aborcją na życzenie, a nawet aborcja z przyczyn społecznych została odrzucona przez Trybunał Konstytucyjny (pod przewodnictwem prof. Andrzeja Zolla). W tej sprawie więc PiS łaski nie robi i w istocie nic nie obiecuje ani szczególnie nie różni się od pozostałych partii. Możemy uznać, że nie jest to przeszkoda w głosowaniu na niego, bo partia ta ma inne zalety. Z tym nie polemizuję, ale uczciwie trzeba przyznać, że w kwestii obrony życia opowiada się – tak jak większość polskiej klasy politycznej – za tzw. kompromisem. Mówienie o tym nie jest zdradą, tylko stwierdzeniem faktu. A w polityce liczy się nie wiara w to, czy

eprasa.pl 74272a8403

ktoś coś zrobi, ale fakty. Te są zaś takie, jakie są.

MANICHEIZM NIE JEST STRATEGIĄ

Nie przekonuje mnie również argument, że nie należy zadawać pytań, bo te mogą zaszkodzić jedynej partii, która może zatrzymać marsz sił zła (pomijam, że obraz, w którym z jednej strony mamy zjednoczone siły imperium, a z drugiej nielicznych rebeliantów, jest nieprawdziwy, bo sam dobrze wiesz, że PSL, Kukiz'15, politycy mniejszych partii prawicowych, a nawet część polityków Koalicji Obywatelskiej w sprawie obrony życia, a także rodziny, zachowywali się, jak trzeba, a znamy obaj także polityków PiS, którzy za życiem nie są, i to nawet w ograniczonym stopniu). Linie podziałów w tej kwestii idą więc często w poprzek podziałów partyjnych, a dyskusja na ten temat blokowana jest nie tylko w PO, lecz także w PiS.

Jakby tego było mało, z politycznej perspektywy utożsamianie PiS z obroną wartości (pomijam już, że nie do końca prawdziwe) upartyjnia fundamentalny spór o przyszłość rodziny, obronę życia i rolę religii w nowoczesnym społeczeństwie. Jako konserwatysta, zwolennik pełnej obrony życia i tradycyjnego małżeństwa, nie chcę ani nie mogę się zgodzić na to, by sprawy te brał tylko za swoje PiS. Tutaj konieczna jest szeroka koalicja, tylko w ten sposób możemy być skuteczni. Szeroka koalicja oznacza zaś, że w drugiej stronie nie widzimy jednolicie czarnej społeczności, ale dostrzegamy w niej cały pluralizm poglądów, a także potencjalnych sojuszników w konkretnych sprawach. Jeśli chcemy, aby poglądy konserwatywne, wartości cywilizacji chrześcijańskiej przetrwały w świecie postchrześcijańskim, to musimy szukać sojuszników, a nie wrogów, musimy przekonywać nieprzekonanych, a nie utwardzać najtwardszych, musimy rozmawiać z tymi, którzy się z nami nie zgadzają, i to często na ich terenie, a nie pilnować, żeby nikt nie wychodził z szeregu. Święty Paweł Apostoł (w żadnym razie nie porównuję nikogo do tego wielkiego apostoła) nie tylko poszedł na Areopag, lecz także odwoływał się do kultu wielu bóstw, do szczerych poszukiwań pogan, by opowiedzieć im o Bogu, i choć części ówczesnych mu judeochrześcijan te jego poszukiwania mogły się wydawać zdradą, to nie widać w listach św. Piotra pytania: Czy św. Paweł zdradził? Rolą chrześcijanina jest głosić tam, gdzie go o to poproszą, a rolą lidera opinii jest próbować przekonać do swoich racji nieprzekonanych, niepewnych, a nie tylko utwierdzanie przekonanych. Z perspektywy zaś skutecznej polityki wokół pewnych postulatów konieczne jest budowanie konsensusu społecznego, a nie wykorzystywanie ich do mobilizacji elektoratu. Obecna ustawa aborcyjna istnieje do tej pory nie dlatego, że umacnia ją PiS, ale dlatego, że istnieje wokół niej szeroki konsensus społeczny po większości stron politycznego sporu. Jeśli chcemy chronić rodzinę, to musimy szukać mostów i je budować, a nie bariery. Innej drogi nie ma.

Nie znoszę ani musztrowania, ani przywoływania do szeregu. Gdybym chciał w nim być, zostałbym żołnierzem albo politykiem, a nie publicystą

Takie budowanie wymaga jednak odrzucenia manichejskiej wizji świata, w której po jednej stronie są siły rebeliantów, a po drugiej imperium zła. Granice między tymi światami przebiegają nie tyle między partiami politycznymi, ile między poszczególnymi ludźmi, a jeszcze częściej w naszych sercach. Budowanie cywilizacji miłości nie ogranicza się oczywiście do przemiany serca, ale wymaga struktur, struktury te – jeśli mają być trwałe – muszą zaś prowadzić do przemiany myślenia, a nie do utwardzenia elektoratu.

CO JEST MOJĄ WSPÓLNOTĄ?

Rozmowa, dialog, debata mają jeszcze jeden istotny wymiar. Otóż są one próbą odbudowywania szerszej wspólnoty. Tak się bowiem składa, że do wspólnoty narodowej i katolickiej (a są to wprawdzie zbiory w znaczącym stopniu podobne, ale nie identyczne) należą nie tylko ludzie o naszych poglądach, nie tylko konserwatyści, tradycyjni (nawet jeśli niewierzący) patrioci, ludzie, którzy spoglądają na świat z prawej strony czy opowiadają się po stronie cywilizacji życia (tak jak my ją rozumiemy), lecz także inni. Zapominając o tym, przyspieszamy dramatyczny z punktu widzenia trwania narodu polskiego proces uplemiennienia już nie tylko życia partyjnego i politycznego, lecz także szerzej – społecznego. Identycznie Polakami, jak ja czy Ty, są zwolennicy partii Razem, Wiosny Roberta Biedronia czy uczestnicy Igrzysk Wolności. Uważam, że mylą się oni, że proponują w wielu kwestiach błędne, a w wielu złe rozstrzygnięcia, ale nie zarzucam im ani złej woli, ani kłamstwa, a do tego mam świadomość, że musimy żyć i funkcjonować w tym samym państwie i na tym samym terenie. A skoro tak, to musimy ze sobą rozmawiać, szukać wspólnych wartości (bo nie jest tak, że ta druga strona wartości nie ma, ale opiera się jedynie na nihilizmie), uzgadniać rozstrzygnięcia życiowe. Tak się buduje wspólnotę szerszą niż plemienna, a taka szersza wspólnota jest nam niezbędna, jeśli mamy przetrwać. Wiem, że drugiej (umownie rzecz ujmując) stronie, tak jak naszej, ta plemienność się opłaca, ale właśnie dlatego trzeba nieustannie szukać przestrzeni, by przebijać sztuczne niekiedy granice, by szukać miejsca spotkania i by rozmawiać z tymi, którzy chcą rozmawiać. Jeśli nie będziemy tego robić, to rozpadnie nam się wspólnota najważniejsza, jaką jest wielogłosowa, czasem symfoniczna, a czasem kakofoniczna, ale zawsze nasza polskość.

I na koniec, drogi Robercie, wiele lat temu, gdy zaczynałem swoją przygodę z dziennikarstwem i publicystyką w Radiu Plus (wcześniej pracowałem w Radiu Józef, ale to były jeszcze czasy studenckie), tym, co mnie urzekło w prawicowym myśleniu, konserwatywnym postrzeganiu świata moich starszych kolegów, było umiłowanie wolności. Tam było miejsce i dla Rafała A. Ziemkiewicza, i dla Piotra Semki, i dla Radka Rybińskiego, Pawła Nowackiego, Amelii Łukasiak, Pawła Zuchniewicza, ale i dla Arleny Sokalskiej czy Ewy Wanat (tak, tak, bo i ona tam kiedyś pracowała). Na kolegiach trwały zażarte dyskusje, czasem leciały drzazgi, i właśnie to mnie urzekło. Tak samo było później w wielu innych prawicowych redakcjach, gdzie wolność myślenia była rzeczywiście wartością. To mnie jako dziennikarza ukształtowało i dlatego nie znoszę ani musztrowania, ani przywoływania do szeregu. Gdybym chciał w nim być, zostałbym żołnierzem albo politykiem, a nie publicystą. Tutaj wolność, także wolność błądzenia czy mylenia się, jest najważniejsza.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ZA TYDZIEŃ GŁOS W DYSKUSJI ZABIERZE PIOTR SEMKA.

eprasa.pl 74272a8403

SATYRYCZNY PROGRAM
Macieja Kożuszka

REPUBLIKA

SPECJALIŚCI OD wszystkiego

PREMIERA

Piątek 21:00

OGLĄDAJ RÓWNIEŻ ON-LINE TELEWIZJAREPUBLIKA.PL

eprasa.pl 74272e8403

Platforma Obywatelska się wyczerpała

Mariusz Staniszewski

Grzegorz Schetyna jest syndykiem swojej partii. Nawet nie dlatego, że brak mu cech przywódczych, charyzmy i umiejętności strategicznego planowania. Jego formacja jest po prostu najbardziej przestarzałym bytem na naszej scenie politycznej

Ostatnie kompromitujące wystąpienia liderów Platformy Obywatelskiej nie wynikają jedynie z ich słabości intelektualnej. Oczywiście lider największej partii opozycyjnej nie może zapominać zgłoszonego przez siebie programu, ekspert ekonomiczny powinien przedstawić koszty i źródła finansowania własnych koncepcji gospodarczych, a kandydatka na premiera musi wiedzieć, że przekazywanie za darmo akcji spółek Skarbu Państwa osobom z 40-letnim stażem pracy spowoduje obniżenie wartości tych spółek oraz będzie polem do nadużyć. To jednak nie jest najważniejsze, ponieważ PO nigdy nie traktowała swoich obietnic poważnie. A więc i sami liderzy, i wyborcy tej formacji patrzą na te zapowiedzi z przymrużeniem oka.

Prawdziwą wątpliwość budzi zupełny brak spójności tych propozycji. Podczas gdy główny ekonomista PO Andrzej Rzońca zapowiada znaczące obniżki podatków, lider tej partii Grzegorz Schetyna chce, by państwo dopłacało do najniższych pensji. Oczywiście obniżenie danin społecznych powoduje często wzrost przychodów budżetu państwa, ale skutkiem tego jest silniejsza konkurencja. Także na rynku pracy. Te dwie koncepcje są więc ze sobą zupełnie sprzeczne ideologicznie.

PLATFORMA SPRZECZNOŚCI

Skokowa obniżka podatków zakłada, że państwo zamierza ograniczyć swój udział w życiu obywatela i chce, by bardziej ponosił on odpowiedzialność za samego siebie. Zasada jest prosta: mniej zabieramy, mniej oferujemy. Tak w największym skrócie wygląda program Donalda Trumpa czy ogólnie amerykańskich republikanów. Dopłacanie do pensji przez państwo – pomysł sam w sobie szalony i bardzo szkodliwy, ponieważ kompletnie rozregulowałby rynek pracy – można by raczej przypisać skrajnym lewicowcom, którzy zwrot „wolny rynek" uznają za nieprzyzwoity.

Tego rodzaju sprzeczności są dziesiątki. Oczywiście najprostszym wytłumaczeniem jest to, że PO próbuje przelicytować PiS, jeśli chodzi o propozycje socjalne, gdyż liderzy opozycji uznali właśnie te elementy programu rządzących za najbardziej nośne i przysparzające poparcia. Tyle tylko że proponowanie przypadkowych świadczeń społecznych powoduje, iż profil ideologiczny PO – jeśli w ogóle o czymś takim możemy mówić – rozjeżdża się zupełnie. Jasno widać, że Grzegorzowi Schetynie i spółce chodzi jedynie o władzę. O jej blichtr, apanaże, zaszczyty i pieniądze.

Jeszcze w 2007 r. PO dochodziła do władzy jako partia fachowców, którzy potrafią stawić czoło wielkim wyzwaniom nowej ery. Kolejne lata pokazywały jednak coś zupełnie innego i pozostała jedynie pogarda dla tej „gorszej", „nieeuropejskiej" Polski. Rzecz jasna istnieje potencjał w kontestowaniu Kościoła, januszów i grażyn, „bogoojczyźnianej" retoryki, pamięci żołnierzy wyklętych, martyrologii czy staroświeckiej moralności, jednak to nie wystarcza do stworzenia takiego ruchu, który dałby władzę. Dziś potrzeba czegoś więcej.

Wśród partii współczesnej Europy Platforma najbardziej przypomina dziś niemieckie FDP – liberalną Partię Wolnych Demokratów, czyli formację inteligencji pozbawioną silnego rysu ideologicznego. Tyle tylko że niemieckia FDP ma często problem z przekroczeniem progu wybor-

eprasa.pl 74272a8403

W Platformie nie widać dziś nikogo, kto mógłby dokonać znaczącej zmiany. Grzegorzowi Schetynie brakuje wiedzy i umiejętności FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

czego, a obecność w Bundestagu zawdzięcza głównie skomplikowanej ordynacji wyborczej.

Ugrupowania, które w ostatnich latach święcą triumfy w najważniejszych krajach UE, mają silne zabarwienie ideologiczno-programowe. Kontestują stary porządek i domagają się zmian, ponieważ status quo stało się uciążliwe. Efektem tego są kryzysy polityczne w Wielkiej Brytanii, we Francji czy w Szwecji, zmiana warty we Włoszech, w Grecji, być może wkrótce w Hiszpanii, nowa konfiguracja polityczna w Niemczech, gdzie socjaldemokraci przestają być alternatywą dla chadeków z CDU/CSU.

BEZ TOŻSAMOŚCI

Nagle w Unii Europejskiej wzrosło zapotrzebowanie na silną tożsamość. Może powodem jest to, że tak mocno walczą z nią brukselskie elity, może wynika to ze zmian demograficznych spowodowanych napływem imigrantów, a może po prostu po latach stagnacji politycznej i zapowiadanego końca historii wytworzyła się tak ogromna pustka, że trzeba ją zapełnić nową treścią. Tak czy inaczej, silni są dziś ci, którzy posiadają spójny system wartości.

Platforma Obywatelska jednak tych zmian nie dostrzega i roztapia się w pustce. Jak ognia unika kwestii ideologicznych i tożsamościowych. Na sztandary bierze zamordowanego przez szaleńca prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, który nie był w stanie doliczyć się własnych mieszkań. Partia złożona w dużej mierze z dawnych działaczy NZS nie wiadomo, dlaczego reaktywuje postkomunistów, którzy natychmiast zaczynają sięgać po lewicowo-liberalnych wyborców. Wreszcie na pierwszą linię frontu PO wysyła nową prezydent Gdańska Aleksandrę Dulkiewicz, która odpowiada za dewastację świętego dla Polaków miejsca, czyli Westerplatte, i pozwala na obrażanie uczuć katolików. Wszystko to PO czyni jako partia chadecka, bo do takiej rodziny zapisała się w europarlamencie. Parafrazując piosenkę Katarzyny Nosowskiej i zespołu Hey, Platforma jest zbyt lewicowa dla prawicowców i zbyt prawicowa dla lewicowców.

Jednak sam ruch w prawo lub lewo nie spowoduje jeszcze uzyskania tożsamości. Kluczem do władzy, nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie, jest takie przeformatowanie partii, by program tworzyli nie liderzy, ale obywatele. PiS zrozumiał to przed wyborami w 2015 r. i odpowiedział na oczekiwania ogromnych grup społecznych. To samo zrobił węgierski Fidesz, włoski Ruch 5 Gwiazd, greckie Syriza i Nowa Demokracja, hiszpański Podemos czy ponadpartyjna formacja prezydenta Francji Emmanuela Macrona (ten ostatni nie jest jednak w stanie zrealizować własnych zapowiedzi). W świecie nowoczesnych technologii i możliwości uczestniczenia w polityce niemal on-line obywatele nie chcą być jedynie słuchaczami. Domagają się prawa do czynnego uczestniczenia w polityce nie tylko raz na cztery lata, każdego dnia.

Problem jednak w tym, że sięgnięcie do istoty demokracji, a więc po opinię wyborców w Brukseli oraz na wielu unijnych salonach, jest nazywane populizmem. Zwrócenie się ku realnym potrzebom zwykłych obywateli oznacza rezygnację z bycia reprezentantem elit, ale przede wszystkim rezygnację z udziału w zakrojonym na ogromną skalę programie inżynierii społecznej, którego celem jest wymazanie chrześcijańskich korzeni świata zachodniego i przekazanie nowym elitom prawa do ustanowienia nowego systemu wartości. Taka zmiana, częściowo przecież zrealizowana, pozwoli na sprawowanie władzy według własnych zasad. Wizja tyle atrakcyjna, co w naszej części Europy trudna do zrealizowania. Platforma nadal chce być ostatnią nadzieją III RP, a więc będzie za bardzo bratać się z ludem.

PO nie staje więc dziś przed wyborem, czy liderem będzie Grzegorz Schetyna, Donald Tusk czy jeszcze ktoś trzeci. Nie ma też większego znaczenia, czy kandydatem na premiera jest Małgorzata Kidawa-Błońska, Tomasz Siemoniak czy Bartosz Arłukowicz. Istotą jest zdolność do nawiązania kontaktu ze społeczeństwem i gotowość do rezygnacji z poparcia małych, choć krzykliwych grup społecznych – na przykład celebrytów.

Historia pokazuje, że takie przemiany się zdarzały. Partia Demokratyczna w Stanach Zjednoczonych, będąca ucieleśnieniem wszelkich ruchów abolicjonistycznych, skupiała kiedyś zwolenników utrzymania niewolnictwa. Przywiązana do marksizmu brytyjska Partia Pracy jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku nacjonalizowała prywatne przedsiębiorstwa, ale w latach 90. wyrzekła się komunistycznych sentymentów, stała się rzeczniczką klasy średniej i na kilkanaście lat przejęła władzę.

PUSTKA NA HORYZONCIE

Oczywiście w Platformie nie widać dziś nikogo na miarę Tony'ego Blaira, kto mógłby dokonać tak znaczącej zmiany. Grzegorzowi Schetynie brakuje wiedzy i umiejętności, Donald Tusk jest skompromitowany sposobem sprawowania władzy jako premier oraz zupełnym brakiem podmiotowości jako szef Rady Europejskiej. Nikogo innego na horyzoncie nie widać, bo zarówno jeden, jak i drugi przez lata skupiali się na wycinaniu konkurencji i równaniu w dół. PO straciła też zdolność przyciągania nowych środowisk, bo skupia się na zapewnieniu mandatów swoim członkom.

Nie pojawi się w niej więc drugi Mateusz Morawiecki, który mógłby zostać twarzą zmian. Nie ma na to szans, ponieważ PO nie chce i nie potrafi się zmieniać. Jej liderzy uważają, że władza im się po prostu należy. Trochę tak jak włoskiej chadecji, która przez 45 lat uczestniczyła w każdym gabinecie. I gdy wydawało się, że jest niezatapialna, przestała istnieć. Dziś nikt jej nawet szczególnie nie wspomina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

FOT. OLIVIER DOULIERY/AFP/EAST NEWS

Wziąć Gretę za kołnierz

Łukasz Warzecha

Co 16-letnia panienka, nieustannie opuszczająca szkołę, może powiedzieć ciekawego, oryginalnego i, ogólnie rzecz biorąc, mądrego?

Histeria narasta. Nadchodzi dzień sądu. Wszyscy jesteśmy winni. Z ekranu komputera surowym wzrokiem spogląda Greta Thunberg, wzywając nas wszystkich do działania w obliczu nadciągającej zagłady. „Miliony z nas opuszczą swoje miejsca pracy oraz domy, aby dołączyć do młodych strajkujących na ulicach i domagać się zakończenia ery paliw kopalnych" – czytamy na stronie globalclimatestrike.net. To już niedługo. Strach się bać.

Prorokini Thunberg dopłynęła bezpiecznie do USA. Można się było o tym przekonać, choćby oglądając jej spotkanie z Barackiem Obamą. Nie wiemy, czy 16-letnia Szwedka, w której słowa wsłuchują się premierzy, prezydenci i najważniejsi urzędnicy, przekonała byłego amerykańskiego prezydenta, żeby porzucił latanie samolotem.

Gdy Grecia wyruszyła w swój rejs z Europy do USA, stało się coś dziwnego: w głównym medialnym nurcie, do niedawna basującym bez zająknienia jej straszliwym proroctwom końca świata, pojawiły się zgrzyty. Wytknięto nie tylko wątpliwy początek jej medialnej kariery, oparty na zręcznej manipulacji medialnej (o czym w „Do Rzeczy" już pisałem), lecz także to, że ślad węglowy, który pozostawi jej morska podróż, będzie większy, niż gdyby po prostu wsiadła ze swoim ojcem do samolotu. Okazuje się bowiem, że jacht będzie musiała odprowadzić do Europy inna załoga, więc ta pierwsza wróci samolotem do domu, a zmiennicy samolotem przylecą do USA. W sumie kilkanaście osób zamiast dwóch.

Zastanawiające jest przy tym, że tak zwykle gorliwe w ściganiu nieodpowiedzialnych rodziców i wyciąganiu wobec nich konsekwencji państwo szwedzkie kompletnie nie reaguje na to, że panna Thunberg notorycznie opuszcza szkołę i że zachodzi poważne podejrzenie, iż dziewczyna cierpiąca na zespół Aspergera jest po prostu cynicznie wykorzystywana przez dorosłych.

RELIGIA KLIMATYCZNA

Mam problem z tym, jak pisać o Grecie i Młodzieżowym Strajku Klimatycznym. Jedna opcja odpada na pewno: nie można o tych zjawiskach (bo Grecia to również zjawisko) pisać tak, jak chcieliby sami wierni – mówimy tu bowiem o swoistej religii – czyli z pełną powagą, namaszczeniem, szacunkiem, a nawet z bogobojnym przerażeniem. Sięgając po niezawodnego Gombrowicza – oznaczałoby to zgodę na skrajne upupienie.

Pozostaje dylemat: Czy tym quasi-religijnym fenomenem zajmować się w ogóle na poważnie, jako zagrożeniem dla naszego normalnego funkcjonowania, którym niewątpliwie jest, czy też zrobić to, co najbardziej kusi i co wydaje się oczywiste, czyli wykpić tę farsę?

Spróbujmy przez moment zachować powagę i spójrzmy na to, czego żądają Grecia i jej histeryczni zwolennicy. Polscy

eprasa.pl 74272a8403

uczestnicy strajku wystosowali list otwarty do polityków, w którym zawarli sześć postulatów.

Po pierwsze – „żądamy prowadzenia polityki klimatycznej w oparciu o aktualne stanowisko nauki wyrażone w najnowszych raportach Międzynarodowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) powołanego przez ONZ. Oczekujemy, że sugerowane przez środowisko naukowe rozwiązania będą wdrażane niezwłocznie we współpracy międzynarodowej". Wokół stanowiska IPCC jest wiele kontrowersji, twierdzenie o 97-procentowym konsensusie wokół skrajnej wersji klimatycznego armagedonu jest manipulacją, a naukowcy nie uzgodnili bynajmniej jakiejś jednej wersji „sugerowanych rozwiązań".

Po drugie – „wzywamy rząd polski, by oficjalnie uznał katastrofę klimatyczną poprzez ogłoszenie stanu kryzysu klimatycznego. Kwestia kryzysu nie może być przedmiotem ideologicznych sporów – w obliczu katastrofy musimy mówić wspólnym głosem, ponad podziałami". Nic mi nie wiadomo, żeby w polskim prawie istniało coś takiego jak „stan kryzysu klimatycznego". Może strajkujący zamiast opuszczać kolejne lekcje, powinni wrócić do szkoły, w szczególności na zajęcia z wiedzy o społeczeństwie. Ciekawe jest też wezwanie do mówienia wspólnym głosem. Jak można zrozumieć, wspólny głos ma być głosem Grety Thunberg, z którą nie zgadzać się nie wolno.

Po trzecie – „domagamy się zawarcia kompleksowej i aktualnej wiedzy o mechanizmach kryzysu klimatycznego w podstawie programowej na wszystkich szczeblach edukacji, przy zapewnieniu kadrze nauczycielskiej obowiązkowych szkoleń w tym zakresie. Jednocześnie edukację klimatyczną w pełnym zakresie swoich kompetencji powinny zapewniać samorządy lokalne". Innymi słowy – dzieci w szkole mają być indoktrynowane radykalną wersją klimatycznej religii.

Po czwarte – „żądamy, by media wzięły na siebie odpowiedzialność za uświadamianie społeczeństwa o bezpośrednich zagrożeniach związanych z kryzysem klimatycznym. Wzywamy do priorytetyzacji tematu katastrofy klimatycznej w przekazie medialnym oraz posługiwania się językiem odzwierciedlającym wagę problemu". Mam nadzieję, że niniejszy tekst spełnia to oczekiwanie.

Po piąte – „żądamy przyjęcia przez parlament RP ustawy powołującej ekspercką i niezależną Radę Klimatyczną, której zadaniem będzie opracowanie strategii osiągnięcia neutralności klimatycznej Polski do roku 2040 oraz kontrola realizacji tej strategii. Ustawa ta musi być stworzona przy aprobacie środowiska naukowego, maksymalnej transparentności i przy szerokich konsultacjach społecznych". Tutaj już sprawa jest poważna. Neutralność klimatyczna oznacza bowiem nieuchronnie olbrzymie koszty, upadek wielu gałęzi gospodarki i natychmiastowe pogrążenie się ogromnej części Polaków w ubóstwie. No, ale wobec nadciagającej zagłady, a może nawet Zagłady, żadne koszty nie są zbyt wysokie.

Po szóste – „oczekujemy podjęcia natychmiastowych kroków ku przeprowadzeniu sprawiedliwej transformacji gospodarki w celu redukcji emisji gazów cieplarnianych. Wymagamy, by respektowano prawa i potrzeby wszystkich, których dotkną skutki transformacji, szczególnie osób zatrudnionych w sektorach energetyki, rolnictwa, przemysłu i transportu". Innymi słowy – ciastko ma być zjedzone, ale ma zostać nietknięte. To sposób myślenia charakterystyczny dla dzieci, więc wszystko się zgadza.

Z pewnym rozczarowaniem należy odnotować brak na liście żądania, aby natychmiast zakazać w Polsce jedzenia mięsa, o czym tak pięknie prawi eurodeputowana Sylwia Spurek. Pani Sylwia stwierdziła nawet ostatnio, że to, co jemy, nie jest naszą prywatną sprawą. Mięso, jak wiadomo, pochodzi od krów czy świnek, a te zwierzęta, niestety, puszczają bąki, by się tak elegancko wyrazić, to zaś przybliża dzień sądu ostatecznego. Apeluję zatem do strajkujących: weźcie to pod uwagę. A najlepiej weźcie panią Sylwię na doradcę.

NIEBEZPIECZNA PRZYKRYWKA

Są tacy, którzy mówią, że zaangażowanie młodych w sprawy klimatu należy docenić. Owszem, zaangażowanie młodych ludzi można doceniać, ale ono ma różne postacie. Jest to faktycznie godne docenienia, gdy młodzi ludzie przejmują się jakimś tematem i dlatego chcą się o nim więcej dowiedzieć, zaś ich zaangażowanie jest proporcjonalne do ich wiedzy szczególnej i ogólnej. Jest jednak także pewien typ zaangażowania fanatycznego, przypominającego postawę najfanatyczniejszych członków młodzieżowych organizacji w systemach autorytarnych. Wtedy młodzi ludzie nie wykazują pokory wobec własnego niedoświadczenia, braku wiedzy, niezrozumienia realnych mechanizmów społecznych czy politycznych, ale z wyżyn swojej irytującej arogancji oceniają, pouczają i – tak właśnie jak Młodzieżowy Strajk Klimatyczny – stawiają żądania. Są wówczas także, niczym pionierzy w Związku Sowieckim, wygodnym narzędziem w rękach ideologów, którzy realizują dzięki ich fanatyzmowi jakieś własne interesy. Nie inaczej jest w tym wypadku.

Mała Greta i jej wyznawcy są z jednej strony niebezpieczni, bo raz, że – jako się rzekło – są przykrywką dla interesów różnych lobby, a dwa, że klimatystyczną sektę w jej radykalnym wydaniu dziecięcej krucjaty niektórzy politycy traktują jako wygodny wehikuł polityczny. Idę o zakład, że polską wersję strajku gorliwie poprze przede wszystkim lewica, która z klimatyzmu zrobiła sobie naczelny temat obok spraw obyczajowych. Z drugiej jednak strony nie są aż tak fatalnym zjawiskiem, jak mogłoby się wydawać. Ich nadęta bufonada, apokaliptyczny ton, maksymalistyczne żądania, nieliczące się z nikim i niczym, dużą część ludzi po prostu odrzucają. I bardzo dobrze.

Patrząc na małą Gretę, człowiek nieulegający chorym emocjom zadaje sobie dwa pytania. Pierwsze: Co 16-letnia panienka, nieustannie opuszczająca szkołę, mająca faktycznie jedynie podstawowe wykształcenie, może powiedzieć ciekawego, odkrywczego, oryginalnego i, ogólnie rzecz biorąc, mądrego? Dlaczego dorosłych ludzi mają instruować jakieś podekscytowane i rozemocjonowane młokosy?

Drugie: Dlaczego nikt nie pójdzie po rozum do głowy, nie weźmie małej Grety za kołnierz i nie zaprowadzi jej do szkoły, gdzie jej miejsce? W pouczającej baśni Andersena to dziecko jako jedyne miało odwagę zawołać, że król jest nagi. W tym przypadku sytuacja powinna się odwrócić, bo w roli nadętego swą apokaliptyczną powagą króla występuje akurat dziecko.

Liczę, że sprawdzą się w tej sytuacji przynajmniej nauczyciele i że uczestnictwo w tej hucpie, zwanej Szkolnym Strajkiem Klimatycznym, nie będzie wystarczającym powodem, żeby usprawiedliwić nieobecność w szkole.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Na głodzie

Jakiś czas temu widziałem całkiem ważnego polityka, którego tytułuje się ministrem. Rozmawialiśmy ponad godzinę. I przez większość tego czasu roztrząsaliśmy absolutnie kluczową kwestię: od kiedy nasze dzieci powinny mieć własny telefon.

Na dzieci czyha wiele zagrożeń. Pedofile, narkotyki, chuligani, złe towarzystwo, ZNP, śmieciowe jedzenie, kompulsywne kupowanie klocków Lego. Ale jeden wróg jest szczególnie niebezpieczny, podstępny i niepokonany. To smartfony. Zarazem użyteczne i szerzące zarazę. Zabójcza kombinacja.

Obserwuję teraz, jak różni ludzie walczą z tą zarazą. Sam też próbuję. Jedni rodzice całkowicie odcinają dzieci od smartfonów. Inni skrupulatnie wyliczają czas, na który wręczają młodym telefony. Ci bardziej liberalni – do których sam należę – wierzą w rozsądek potomka i wkraczają do akcji dopiero wtedy, kiedy potomek przegina pałę (czyli prawie codziennie). Są też w końcu i tacy, którzy nie widzą w uzależnieniu od elektroniki nic złego, bo uważają to za całkowicie normalne lub wychodzą z przyszłościowego założenia, że smartfon jest narzędziem, więc po prostu trzeba z niego korzystać od małego.

Tych ostatnich zostawmy, zajmijmy się zatroskanymi. Z moich obserwacji wynika, że wszelkie strategie walki ze smartfonową zarazą prowadzą do jednego. Do klęski. Znam dzieci, które mają absolutny szlaban na telefon i są gotowe zabić, żeby tylko choć przez chwilę pograć w grę, w którą kiedyś się wciągnęły u kolegi na urodzinach. Znam dzieci, które grają na telefonie tylko przez 20 minut dziennie, ale przez resztę dnia myślą tylko o ukochanej grze. Żyją nią i potrafią rozmawiać wyłącznie o ulubionych postaciach, umiejętnościach i taktyce. Są jak wędkarze, których pytasz o to, która godzina, a oni opowiadają, jak wyprawili się na okonie. I znam dzieci, które – jeśli nie wyrwiesz im siłą telefonu – mogłyby z nim siedzieć bez przerwy 16 godzin.

Pewna moja znajoma jest fundamentalistką smartfonową. Kiedy dzieci odwiedzają jej córkę, oddają telefony do depozytu, tak jak oddaje się broń w jaskini hazardu. I pewnego razu po kilku godzinach miłej niedzielnej zabawy podszedł do niej dziewięcioletni gość i wyznał ze łzami w oczach, że już nie może. Że przemiło spędził ostatnich kilka godzin, ale jest u kresu wytrzymałości i prosi, błaga, żeby dała mu jego telefon chociaż na parę minut. Był na głodzie. Trzęsło nim solidnie. Cóż miała począć? Dała mu ten telefon.

Wszyscy wokół zastanawiamy się, jak sobie poradzić z tym uzależnieniem naszych dzieci. I nikt nie wypracował skutecznej metody. To niełatwe, tym bardziej że sami – jako rodzice – nie dajemy dobrego przykładu. My też ciągle siedzimy w telefonach. I sami jesteśmy od nich uzależnieni. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Jesienne przesilenie

Do zmiany pogody może dojść niepostrzeżenie, bez żadnych gwałtownych oznak. Po prostu robi się chłodniej, wilgotniej, wietrzniej. Ostatnie czasy utwierdzały nas w przekonaniu o niezmienności znakomitej pogody. W polityce międzynarodowej. Nasz główny sojusznik wydawał się darzyć nas nadzwyczajnym afektem, inicjatywy w rodzaju Międzymorza nieustannie poprawiały nasze samopoczucie, a wyż syberyjski nie wydawał się szczególnie groźny.

Pierwszym symptomem zmiany klimatu był huragan Dorian (bynajmniej nie najpotężniejszy), który powstrzymał przyjazd Trumpa do Polski i w nieoczekiwany sposób zdmuchnął karierę jego doradcy i głównego architekta polityki wschodniej – Boltona. Parę tygodni temu wizyta tego jastrzębia w Mińsku i Kijowie wydawała się zapowiadać aktywniejszą politykę w tym regionie świata. A teraz?

Oczywiście można mieć nadzieję, że to tylko gry przedwyborcze, a prezydent, w którego zainwestowaliśmy wszystkie nasze nadzieje, nie potwierdzi najgorszych podejrzeń jego przeciwników. Podobnie chcę wierzyć, że komik Wołodymyr Zełenski to szczery ukraiński patriota, który nie ulegnie hegemonowi z Kremla. Ba, nawet chcę wierzyć, że „baćka" z Mińska zdaje sobie sprawę, iż lepiej być szefem własnego kołchozu niż zarządcą bez reszty podporządkowanej guberni. A jeśli są to płonne nadzieje… Czy ciesząc się z iluzorycznych przewag nad Gazpromem, mamy jakiś plan B na złą pogodę?

Nie żebym panikował – sytuacja w świecie nie przypomina tej z lipca 1914 i września 1939 r. Jednak jestem w stanie wyobrazić sobie nastrój na rumuńskim przedmościu, kiedy do sztabu Naczelnego Wodza, przygotowującego wielomiesięczną obronę i liczącego na rychłą ofensywę sprzymierzeńców na Zachodzie, wpłynęły doniesienia o ataku Armii Czerwonej. A przecież i tak najgorsze było przed nimi.

Minister spraw zagranicznych Talleyrand podejrzewany, i słusznie, o konszachty z wrogiem, łapówki i nielojalność wobec Napoleona miał przyznać szczerze, że kiedy wódz wojny robi wszystko, aby wygrać, on rozważa, co zrobić, żeby za bardzo nie przegrać. Co zresztą na kongresie w Wiedniu mu się niezwykle udało.

Tyle że nie jest to epoka na Talleyrandów. Na szczęście na Napoleonów również nie. Będzie więc dobrze – Putin wchłonie Białoruś, zhołduje Ukrainę i podreperowawszy swój wizerunek na zewnątrz, ogłosi się aniołem pokoju, Trump wygra wybory, odwiedzi Polskę, wygłosi piękne przemówienie, sprzeda nam trochę broni i obieca zniesienie wiz. A po zimie przyjdzie wiosna. ©℗

eprasa.pl 74272a8403

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

Tragedia Sprawiedliwej. Wstrząsająca opowieść Polki ratującej Żydów

Sławomir Leśniewski – **Ród, który stworzył Polskę**
Sławomir Koper – **Skandale seksualne Piastów**
Grzegorz Janiszewski – **Polowanie na marszałka Rommla**
Tibor Pákh – **Siedziałem w czerwonej psychuszce**
Marcin Bartnicki – **Zapomniane powstanie sejneńskie**
Piotr Zychowicz – **Samotność Studnickiego**
Tomasz Stańczyk – **Sekrety wileńskiej Armii Krajowej**
Maciej Rosalak – **Statki PRL w pułapce na Tajwanie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 74272a8403

Piotr Kościński

Czołgi na Orzeszkowej!

Niewielu już zostało żołnierzy Września '39. Wiktor Chociej z Dąbrowy Białostockiej też może się do nich zaliczać: choć miał wówczas zaledwie 13 lat, to uczestniczył w obronie Grodna przed Sowietami

Walki na ulicach miasta atakowanego przez sowieckie oddziały pancerne w 1939 r. Okładka do książki z cyklu „Wielkie bitwy historii" pt. „Wilno, Grodno, Hodziowce – 1939" FOT. PAWEŁ GŁODEK/EAST NEWS

Grodno broniło się trzy dni, od 20 do 22 września, a w walkach oprócz żołnierzy wzięła też udział młodzież, głównie harcerze. To najdłużej trwająca bitwa obronna na Kresach. Tym bardziej niezwykła jest opowieść osoby, która nie tylko widziała ją na własne oczy, lecz także brała w niej udział.

PRZEPIĘKNE MIASTO

Z opowieści pana Chocieja wyłania się przepiękne Grodno, zamożne, jak mówił: „lepsze niż Białystok". – Urodziłem się i wychowałem w Grodnie, uczyłem się w szkole im. Adama Mickiewicza, stojącej tuż nad brzegiem Niemna – opowiada. – Ojciec był sekretarzem Obozu Zjednoczenia Narodowego [wówczas faktycznie partii rządzącej – przyp. P.K.], to było wysokie stanowisko. Mieliśmy kamienicę na ul. Brygidzkiej róg Witoldowej, a w niej siedmiopokojowe mieszkanie – dodaje.

I wspomina miasto sprzed lat: – Szkół powszechnych było sporo, a każda miała swoją nazwę – królowej Jadwigi, Stefana Batorego czy też moja „mickiewiczówka". Nosiliśmy specjalne szkolne mundurki, każda szkoła miała inny kolor. Na mankietach były wypustki, czapki okrągłe z wypustką taką jak na mankiecie. Gdy ulicą szedł uczeń, od razu było widać, z jakiej jest szkoły – opowiada. Jak mówi, ważnym punktem był zamek Stefana Batorego i jego schody, prowadzące aż do samego Niemna. A tam co wieczór przypływał statek z orkiestrą i młodzież tańczyła.

Wspomina, że po Niemnie pływało chyba sześć statków, m.in. „Królowa Jadwiga", „Rydz-Śmigły", „Jagiełło", „Batory", a statkiem można było dotrzeć aż na Litwę. A jeśli bliżej, to np. do wsi Pyszki, gdzie znajdują się Kredowe Góry, jakieś 5 km od Grodna. Ogromne, w całości z bielutkiej kredy. Na zakolu Niemna znajdowała się ładna plaża, woda tam była płytka, a latem ciepła, grodnianie pływali tam co niedziela.

– Było pięć kin – Helios, Apollo, Pan, Lux i Uciecha – na ulicach Brygidzkiej, Dominikańskiej, Horodniczańskiej i Orzeszkowej – opowiada. – Duży ogród zoologiczny, bardzo ładny. No i przemysł: fabryka tytoniowa, huta szkła, odlewnia…

Co z tego przetrwało do dziś? Podczas wojny miasto nie zostało zniszczone, ale oczywiście później uległo wielu zmianom. Zamek Stefana Batorego, dziś nazywany Starym Zamkiem (obok jest pałac króla Stanisława Augusta – Nowy Zamek), stoi jak stał, choć akurat ostatnio go przebudowywano, dążąc do odtworzenia jego wyglądu z XVI w. Po Niemnie pływa tylko jeden statek, „Olga Sołomowa", i kilka prywatnych stateczków, w tym łódź udająca tę z czasów wikingów. Ogród zoologiczny pozostał, a kina są, ale noszą zupełnie inne nazwy, np. Krasnaja Zwiezda (Czerwona Gwiazda).

eprasa.pl 74272a8403

Pan Chociej opowiada też o sprawach przykrych, np. pogromie Żydów z 1935 r. – Mały byłem, ale poszedłem zobaczyć, choć matka, gdyby wiedziała, toby mnie nie puściła. Przyjechał marynarz polski na urlop, na zabawie był, zrobiła się awantura o dziewczynę i Żyd go zabił – mówi. Potem młodzi ludzie zaatakowali żydowskie sklepy. – W jednym były motory, radia i rowery, to okna pobili młotkami i wszystko wyrzucali na ulicę. Ze sklepu Bata buty wyrzucali. Ze spożywczego – cukierki… – opowiada.

Według ówczesnej gazety „Codzienny Kurier Grodzieński" napadniętym był grodnianin, który po bójce zmarł. Po jego pogrzebie doszło do pogromu. W rezultacie zajść zostały wybite szyby w 183 domach i 85 sklepach. Dwaj Żydzi zostali ciężko ranni i zmarli. Policja aresztowała kilkadziesiąt osób, ostatecznie jedna skazana została na trzy lata więzienia, trzy na dziewięć miesięcy pozbawienia wolności, kolejne trzy – na sześć miesięcy więzienia.

NA ULICY ORZESZKOWEJ

Nadszedł wrzesień 1939 r. – Było przekonanie, że Niemcy nie dadzą nam rady. A w Grodnie przed wojną dużo wojska, były trzy pułki, kawalerii, piechoty i artylerii – opowiada pan Chociej. – Ojciec poszedł na front, z matką zostaliśmy sami – mówi. I dodaje, że przez wiele dni nic się nie działo, było niemieckie bombardowanie, ale obeszło się bez większych strat.

17 września zmieniło się wszystko. Grodno szykowało się do odparcia Niemców, tymczasem ze wschodu weszli Sowieci. Od granicy do miasta mieli ponad 200 km. Po drodze były stawiające słaby opór posterunki Korpusu Ochrony Pogranicza, a także walczące zaledwie jeden dzień Wilno. Sowietom jednak zabrakło benzyny i czołgi musiały stanąć. Do Grodna dotarli od południowego zachodu 20 września. Kilka czołgów wdarło się do miasta przez most na Niemnie i zaczęło grasować po ulicach.

– Starsza siostra uczyła się w gimnazjum, w drugiej klasie. Jej koledzy namówili mnie, zabrali mnie ze sobą, jeden z nich był synem komisarza policji Ryszarda Neumanna, który zresztą potem popełnił samobójstwo. Mieli przygotowane butelki z benzyną, opowiedzieli, co mam robić. Zrobiliśmy zasadzkę na ulicy Orzeszkowej – opowiada pan Chociej. – Zbliżały się ruskie czołgi. Rzuciłem butelką w pierwszy jadący czołg, trafiłem, zaczął się palić. Niestety, następny jadący za nim wystrzelił i ja sam zostałem trafiony w prawą rękę. Schowaliśmy się pod mostem, a ja zemdlałem i co dalej się działo, nie wiedziałem. Potem siostra z koleżanką zabrały mnie do szpitala i tam mnie opatrzyli. Bolało strasznie, ale na szczęście kość nie została naruszona… Dwóch kolegów zabili – dodaje.

Opowieści o wydarzeniach z 20 września są niesamowite. Sowieci wdarli się do miasta niespodzianie, wjechały same czołgi bez piechoty. Obrońcy zorganizowali się jednak bardzo szybko. Oprócz żołnierzy byli to harcerze i w ogóle młodzież szkolna, wyposażona w butelki z płynem zapalającym. Dziś w Grodnie można obejrzeć wszystkie miejsca, w których rozgrywały się tamte wydarzenia, poczynając od mostu przez Niemen, przy którym stoi pomniczek starszego politruka Gornowycha, który jako pierwszy sowiecki żołnierz został zastrzelony przez polskich obrońców miasta. Wciąż istnieje ulica Elizy Orzeszkowej, ale miejsce, w którym zrobili zasadzkę grodzieńscy uczniowie, wygląda obecnie inaczej niż we wrześniu 1939 r.

Wiktor Chociej urodził się i wychował w Grodnie
FOT. PIOTR KOŚCIŃSKI

– Podobno w tym miejscu zapalili siedem czołgów… – mówi pan Chociej. Według oficjalnych danych sowieckich 20 września łącznie zniszczone zostały trzy czołgi, samochód pancerny i samochód z radiostacją, a dalszych sześć czołgów zostało uszkodzonych. Niewykluczone jednak, że sowieckie straty były w rzeczywistości większe.

W opowieściach o obronie Grodna ważna jest postać Tadzika Jasińskiego, 13-latka, którego Sowieci przywiązali do czołgu i który zginął od ran. Nie wiadomo, gdzie został pochowany – na grodzieńskim cmentarzu jest jego symboliczny grób. – O Tadziku Jasińskim nie słyszałem – mówi nasz rozmówca. – Ale przecież obrona nie była w jednym miejscu – podkreśla.

Polskie oddziały wycofały się w nocy z 21 na 22 września, ale walki trwały dłużej, bo część żołnierzy broniła się do ostatka. Potem w mieście pojawili się czerwonoarmiści i zaczęło się prawdziwe polowanie na obrońców.

– Jak weszli Sowieci, zaraz Żydzi pozakładali czerwone opaski i zaczęli wydawać ludzi. Z ojcem jeden pracował, to od razu rozstrzelali. Ja sam chować się musiałem, bałem się, że nas wywiozą – opowiada pan Chociej. Na centralnym placu Batorego leżały stosy pomordowanych, a jednym z najważniejszych miejsc kaźni była tzw. Psia Górka – tam zabijano i dorosłych, i młodzież.

Z GRODNA NA ZACHÓD

Wiktor Chociej opowiada, że po postrzale gips założył mu na rękę doktor Skokowski, ojciec koleżanki jego siostry. – Potem pojechaliśmy do dziadka pod Sokółkę, na gospodarstwo, i tam zostałem – mówi.

Miał szczęście, bo gdyby jego wieś znajdowała się kilkanaście kilometrów na wschód, to pozostałby w ZSRS. Po dziadku odziedziczył gospodarstwo, co ściągnęło na niego nowe problemy. – Po wojnie, za komuny, wprowadzono dostawy obowiązkowe. Jako miastowy nie umiałem gospodarzyć, nie miałem zboża do oddania, więc wzięli mnie do więzienia – opowiada pan Chociej. – Bez wyroku siedziałem w Białymstoku, a potem dostałem wyrok za szkodnictwo gospodarcze, półtora roku. Najpierw pięć miesięcy w więzieniu w Białymstoku zimą, a potem na lato wywieźli mnie do obozu pracy koło Włocławka. Strasznie ciężko tam było. Była tam betoniarnia, stolarnia i ślusarnia. Praca była bez chwili wytchnienia. Jak ktoś podpadł, musiał nosić szambo. Kibel duży stulitrowy na długim kiju i we dwóch nosili. Wynosili z ustępów nieczystości i do lasu zanosili – dodaje.

Po odbyciu kary wrócił na gospodarstwo pod Sokółką, tam się w 1950 r. ożenił. Jego siostra zamieszkała we Wrocławiu, ale na starość przyjechała do Dąbrowy Białostockiej, zapisała w testamencie mieszkanie bratu. I właśnie w tym mieszkaniu państwo Chociejowie później się osiedlili.

– W Grodnie po wojnie byłem raz, chyba w 1986 r. Nasza kamienica jeszcze stała, ale syn był tam później i mówił, że rozebrali. Zmieniło się Grodno, ale dorosły widzi co innego niż dziecko – mówi pan Wiktor.

Z Dąbrowy Białostockiej jest do Grodna nieco ponad 50 km. W prostej linii nawet bliżej, ale po drodze jest granica, która powoduje, że dawne rodzinne miasto pana Chocieja oddaliło się dużo bardziej, niż można to sobie wyobrazić… I niestety, dziś o obrońcach Grodna z 1939 r. pamiętają tam tylko Polacy. Choć to wcale nie jest mało…

Relacja filmowa z rozmowy z Wiktorem Chociejem będzie opublikowana na stronie kresy1939.pl.

Autor jest wykładowcą AFiB Vistula i współpracownikiem tygodnika „Idziemy".

eprasa.pl 74272a8403

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Pomorski Korczak

Jedną z najbardziej przerażających niemieckich zbrodni była operacja „T-4". Czyli likwidacja „życia niewartego życia". W jej ramach zamordowano tysiące upośledzonych umysłowo pacjentów. Niemcy użyli przy tym takich samych metod, które później zastosowali w trakcie Holokaustu. Część ofiar rozstrzelali, ale olbrzymią część zadusili w komorach gazowych.

Szokujący proceder rozpoczął się w 1939 r. Mordowano chorych psychicznie Niemców, a także Polaków. Do jednej z największych masakr doszło w Krajowym Zakładzie Psychiatrycznym w Świeciu na Pomorzu.

Przybyła tam specjalna komisja SS, która dokonała oględzin zakładu i jego pensjonariuszy. Decyzja była nieodwołalna. Wszyscy mają zostać zgładzeni. Mordy rozpoczęły się w połowie września 1939 r. Chorych wywożono autobusami do lasu i tam ich rozstrzeliwano. W ostatnim transporcie pojechały dzieci.

„Po przyjeździe na miejsce – relacjonował świadek – wypuszczono dzieci z autobusów i pozwolono im się rozbiec w dowolnym kierunku, po czym oddział SS strzelał do nich »jak do zajęcy«. Następnie obecni na miejscu Żydzi ze Świecia musieli brać zabitych i zakopać. Nie zwracano przy tym uwagi, czy któreś z dzieci było tylko ranne czy zabite. Wszystkich ładowano do rowów i zasypywano ziemią".

Ta upiorna historia ma pozytywnego bohatera. To dr Józef Bednarz, dyrektor szpitala w Świeciu. Najpierw starał się uratować jak najwięcej pacjentów. Część zwolnił do domów, innych umieścił w prywatnych mieszkaniach personelu.

Bednarz – mimo namów niemieckich kolegów psychiatrów – kategorycznie odmówił wyjazdu i ukrycia się. Jak stwierdził, kapitan opuszcza statek jako ostatni. Postanowił zostać ze swoimi podopiecznymi aż do tragicznego końca. W efekcie Niemcy najpierw umieścili go w areszcie domowym, a następnie rozstrzelali.

Mimo wielkiego heroizmu i poświęcenia postać Józefa Bednarza pozostaje nieznana opinii publicznej. Mam nadzieję, że zmieni się to dzięki świetnej biografii lekarza pióra Mateusza Kubickiego. „Pomorski Korczak" – jak nazywano Józefa Bednarza – musi zająć czołowe miejsce w panteonie naszych bohaterów narodowych. ©℗

★★★★★★

MATEUSZ KUBICKI
„KAPITAN OSTATNI OPUSZCZA SWÓJ STATEK... JÓZEF WŁADYSŁAW BEDNARZ (1879–1939)"
IPN GDAŃSK

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Rycerskie" obyczaje

Praktycznie każdy naród nagina historię, przypisując sobie zwycięstwa, które nie miały miejsca. Nie jesteśmy pod tym względem wyjątkiem, w powszechnej świadomości funkcjonuje wielki triumf nad Krzyżakami, który miał odnieść pod Płowcami Władysław Łokietek (27 września 1331 r.). W rzeczywistości sprawa wyglądała inaczej, gdyż faktycznie było to pierwsze starcie z zakonem, które nie zakończyło się klęską.

> **Bitwa pod Płowcami była właściwie nierozstrzygnięta**

Jesienią 1331 r. wydawać się mogło, że nadszedł kres panowania Łokietka. Krzyżacy zaplanowali atak wspólnie z królem Czech, Janem Luksemburskim, a wojska sojuszników miały się spotkać pod Kaliszem. „Pobożni bracia", paląc i mordując, dotarli pod Kalisz punktualnie, jednak w tym czasie Jan Luksemburski oblegał Niemczę na Śląsku, gdzie broniła się załoga księcia świdnickiego sprzymierzonego z Łokietkiem. Bohaterska obrona miasta zatrzymała na miesiąc Czechów i ocaliła Łokietka. Zniecierpliwieni Krzyżacy zwinęli oblężenie Kalisza i zawrócili na północ. Pod Koninem dopadły ich wojska polskie, ale poniosły porażkę. Mimo to rycerstwo Łokietka szło za Krzyżakami, uniemożliwiając im powrót do Wielkopolski. Zakonnicy jednak uznali, że nie muszą się już obawiać Polaków, podzielili armię i ruszyli w kierunku Brześcia Kujawskiego, chcąc zdobyć rodzinne miasto Łokietka. Na końcu kolumny posuwały się tabory z łupami, osłaniane przez oddziały wielkiego marszałka zakonu Dietricha von Altenburga. Król zastawił zasadzkę przy trakcie z Radziejowa do Brześcia. Wykorzystując poranną mgłę, przepuścił czołowe oddziały krzyżackie i zaatakował straż tylną. Bitwa trwała trzy godziny, aż wreszcie padł sztandar zakonny, co zadecydowało o losach starcia. Ranny marszałek dostał się do niewoli, a z nim 56 rycerzy zakonnych. Na polu bitwy poległ wielki komtur oraz komturowie z Gdańska i Elbląga.

Główne siły zakonne jednak zawróciły, bitwa rozgorzała na nowo, a pod naciskiem krzyżackim polskie oddziały rozpoczęły odwrót. Zakonnicy odbili wielkiego marszałka, jednak pozostali jeńcy nie mieli tyle szczęścia. Polacy, widząc zagrożenie, zamordowali kilkudziesięciu rycerzy zakonnych. Krzyżacy odpowiedzieli tym samym, zabijając większość wziętych do niewoli Polaków.

Bitwa pod Płowcami była właściwie nierozstrzygnięta, Łokietek się wycofał, ale Krzyżacy zawrócili do Prus, w efekcie obie strony uważały się za zwycięzców. Warto też zauważyć, że starcie dwukrotnie przerywano dla odpoczynku (zgodnie z rycerskim obyczajem), a potem bez skrupułów mordowano jeńców. Średniowiecze było jednak zadziwiającą epoką... ©℗

eprasa.pl 74272a8403

DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ II

Zbrodnie niemieckie

- Intelligenzaktion 1939, zagłada elit
- Generalplan Ost, eksterminacja narodu
- Krew i łzy Zamojszczyzny
- Powstanie ’44 i rzeź Woli

Partnerzy:

Organizatorzy:

eprasa.pl 74272a8403

Spis treści

72–74
INTELLIGENZAKTION: ZAGŁADA ELIT
Maciej Rosalak
Gauleiter zawołał: „Musimy tych zawszonych Polaków wytępić, począwszy od kołyski!”. Tłum Niemców odpowiedział rykiem: „Niech zginą polskie psy!”

75–77
NA DNIE PIEKŁA
Piotr Włoczyk i Stanisław Zalewski
Niektórzy więźniowie mówili nawet, że chętnie by wrócili z Gusen II do Auschwitz, i to nawet na kolanach, jeżeli ktoś dałby im wtedy wybór

78–79
WYKONAWCA GENERALPLAN OST
Tomasz Stańczyk
Głównym realizatorem planów eksterminacji naszego narodu w Generalnym Gubernatorstwie został SS-Obergruppenführer Friedrich Krüger

80–82
PACYFIKACJA ZAMOJSZCZYZNY 1942/1943
Piotr Zychowicz
Wysiedlenia spowodowały zniszczenie regionu i nieopisane cierpienia polskiej ludności – samych dzieci Niemcy zamordowali 10 tys.

83–85
MĘCZEŃSTWO WARSZAWY
Maciej Rosalak
Niemcy pędzili warszawiaków wraz z dziećmi przed czołgami i palili żywcem. Mordowali jeńców i cywili, gwałcili kobiety…

Hitler odprawia kolumnę Wehrmachtu na wojnę z Polską

FOT. BUNDESARCHIV BILD

REDAKCJA:
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (grafik prowadzący),
Jakub Tański (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **NAC**

eprasa.pl 74272a8403

Generalplan Ost oraz Endlösung der Judenfrage

Obydwa upiorne, największe ludobójcze plany hitlerowskich Niemiec zrodziły się w chorych umysłach przywódców hitlerowskich w 1941 r. Sukcesy na froncie wojny z ZSRS wydawały się im wtedy ukoronowaniem podboju całej Europy, umożliwiającym zarówno zagospodarowanie „przestrzeni życiowej" (niem.: Lebensraum) na wschodzie, jak i zlikwidowanie „problemu żydowskiego" (niem. Judenfrage). U podstaw obu planów tkwiło przekonanie o wyższości rasowej Niemców, dającej im pełne prawo do wymordowania przynajmniej 100 mln ludzi: Słowian i Żydów, do których czuli chorobliwą nienawiść i pogardę.

Pierwszy z tych planów nazwali Generalnym Planem Wschód (niem. Generalplan Ost), który miał zapewnić im Lebensraum kosztem narodów mieszkających na wschód od granic III Rzeszy do Uralu i od jeziora Ładoga na północy do Morza Czarnego na południu. Zgodnie z tym zamierzeniem mieli zniknąć stamtąd (czytaj: stracić życie od razu bądź na Syberii) wszyscy Żydzi, 80–85 proc. Polaków, 50 proc. Czechów, 65 proc. Ukraińców, 75 proc. Białorusinów oraz bliżej nieokreślona część Rosjan i Tatarów. Słowian, którzy pozostaliby na swych dawnych terenach, zamieniono by w niewykształconych, posłusznych „niemieckim panom" niewolników.

Drugi plan zakładał śmierć wszystkich Żydów, co miało raz na zawsze stanowić ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego (niem. Endlösung der Judenfrage). Masowe egzekucje setek tysięcy osób pochodzenia żydowskiego na zdobywanych terenach Związku Sowieckiego, przeprowadzane już latem 1941 r., pozbawiały resztek złudzeń co do prawdziwych zamierzeń hitlerowców. Nie mamy wprawdzie oryginałów dokumentów mówiących o „ostatecznym rozwiązaniu", ale znane fakty wskazują, że Zagładę zatwierdzono w styczniu 1942 r. na naradzie w Wannsee.

Generalplan Ost sformułowano nieco wcześniej, ale z oczywistych względów (większej liczby przeznaczonych do likwidacji) realizację odłożono na czas po zakończeniu wojny. Oryginały dokumentów też zaginęły, ale pozostały szczegółowe ich opisy. W naszym przypadku miano pozostawić przy życiu od 3 mln do 4,8 mln polskich niewolników. Co z resztą, czyli przynajmniej z 20 mln Polaków – wiadomo. Warszawiacy – o czym wiem od rodziców – mówili na widok getta palącego się wiosną 1943 r.: „Dziś Żydzi, jutro my…". Latem następnego roku ci, którzy przeżyli, uchodzili wśród trupów i płomieni Woli…

Planowe mordy Polaków, wysyłanie do kacetów, wypędzenia i zesłania do niewolniczej pracy trwały już jesienią 1939 r., w trakcie Intelligenzaktion na terenach przyłączonych do Rzeszy oraz akcji „AB" i innych akcji niszczenia naszych elit na obszarze Generalnego Gubernatorstwa. Polski inteligent w rasistowskich założeniach hitlerowców, a następnie w ich konkretnych planach, zupełnie się nie mieścił, więc musiał zniknąć jako pierwszy. Takie przekonanie dominowało u obu okupantów od 1939 r. Nieprzypadkowo – o czym pisaliśmy przed tygodniem w dodatku poświęconym zbrodniom sowieckim – egzekucje dokonywane przez Niemców w Puszczy Kampinoskiej pod Warszawą trwały w tym samym czasie co egzekucje z rąk Rosjan w lesie katyńskim pod Smoleńskiem. ©℗

Maciej Rosalak

eprasa.pl 74272a8403

Selbstschutz rozstrzeliwuje Polaków w lesie piaśnickim, zwanym pomorskim Katyniem lub pomorskimi Palmirami FOT. WALDEMAR ENGLER/WIKIPEDIA

Maciej Rosalak

Mordy Polaków na Pomorzu, Śląsku, w Poznańskiem i w GG

Zagłada polskich elit

Szczególnie zbrodniczy gauleiter gdański Albert Forster wołał we wrześniu 1939 r.: „Musimy tych zawszonych Polaków wytępić, począwszy od kołyski. W ręce wasze oddaję los Polaków, możecie z nimi robić, co chcecie!". Niemiecki tłum odpowiedział rykiem: „Niech zginą polskie psy!", „Śmierć Polakom!".

Na okrzykach się nie kończyło. Mniejszość niemiecka na polskim Pomorzu, która wcześniej stanowiła piątą kolumnę, groźną dla państwa i Wojska Polskiego, teraz w znacznej mierze zamieniła się w krwiożerczych donosicieli i katów dla najlepszych, najbardziej znaczących w lokalnych społecznościach Polaków. Od początku wojny brała udział w mordowaniu polskich elit, dokładnie – jak to u Niemców – zaplanowanym przez władze III Rzeszy.

ORGANIZACJA MORDU

Akcję „Inteligencja" (niem. Intelligenzaktion) liczy się na ogół od wcielenia w drugiej połowie października 1939 r. Pomorza z Powiślem, Wielkopolski, Śląska, północnego Mazowsza i Łodzi do III Rzeszy. Mieszkało tam przed wojną 10 mln ludzi, w tym 9 mln Polaków. Niemcy nie stanowili nawet 10 proc. Zrabowanie polskich ziem połączone było z przejęciem przez władze administracyjne nadzoru nad ich „bezpieczeństwem". Przedtem znajdowały się teoretycznie we władzy Wehrmachtu, ale rzeź Polaków urządzało tu głównie sześć morderczych Einsatzgruppen SS w akcji o nazwie „Tannenberg". Piszę „głównie", bo Wehrmacht też rozstrzeliwał i wieszał bezbronnych cywili – na przykład w Kłecku koło Gniezna – lub pomagał policji, SS i gestapo. Mordowała też Selbstschutz złożona z tutejszych Niemców i volksdeutschów.

Działania te, dokładnie tak samo jak Intelligenzaktion, będąca kontynuacją „Tannenbergu" i wszelkich innych bestialstw

eprasa.pl 74272a8403

z początku wojny, miały źródło w planach najazdu niemieckiego na Polskę, sporządzanych już od 1934 r., od… podpisania z II RP deklaracji o niestosowaniu przemocy. Aneksja naszych terytoriów łączyła się z założeniem pozbycia się z nich polskich elit. Efektem było m.in. sporządzenie i wydrukowanie latem 1939 r. przez SD (służbę bezpieczeństwa SS) „specjalnej księgi Polaków ściganych listem gończym" (niem. Sonderfahndungsbuch Polen).

Był to alfabetyczny zestaw zawierający ponad 61 tys. nazwisk Polaków zasłużonych dla swej ojczyzny, a więc niebezpiecznych – zdaniem SS – dla III Rzeszy. Tych, którzy mogli stworzyć warstwę przywódczą polskiej społeczności. Figurowali tam: urzędnicy państwowi, liderzy samorządów, ziemianie i przedsiębiorcy, uczeni i nauczyciele, oficerowie, prawnicy, działacze organizacji społecznych, księża, zakonnicy i zakonnice, harcerze, weterani walk o wolną Polskę… Tych, których „przeoczono" podczas sporządzania wykazu, dodawano skwapliwie po niemieckim najeździe, korzystając z usług gorliwych miejscowych Niemców, załatwiających niejednokrotnie osobiste porachunki i przejmujących mienie ujętych Polaków.

Listy „ściganych" były listami śmierci. Aż do kwietnia 1940 r. w ramach Intelligenzaktion schwytanych mordowano (50 tys.) albo zsyłano do obozów koncentracyjnych (drugie 50 tys.), głównie do specjalnie w tym celu zbudowanego obozu w Stutthofie, do Hohenbruch i Mauthausen-Gusen. W ogromnej większości przypadków oznaczało to również śmierć. W ten sposób eksterminowano blisko 100 tys. osób należących do elity naszego narodu w Wielkopolsce, na Pomorzu i Śląsku, a także w Łodzi i na północnym Mazowszu. Poza wymordowaniem elit, kilkaset tysięcy tamtejszych Polaków zesłano wtedy na roboty przymusowe do Niemiec, a sto kilkadziesiąt tysięcy wypędzono do Generalnego Gubernatorstwa. Ich majątek zrabowano. Do końca 1940 r. liczba polskich wypędzonych przekroczyła ćwierć miliona.

PIAŚNICA

Bezwzględnie – i proporcjonalnie – najwięcej podczas Intelligenzaktion zamordowano polskich Pomorzan: 23 tys., a – licząc z przywożonymi tu Żydami i Polakami z Niemiec – liczba ofiar egzekucji wyniosła może nawet 40 tys. Z pewnością tak wielka liczba łączy się z wyjątkowo zbrodniczym, antypolskim nastawieniem Alberta Forstera, mianowanego namiestnikiem nowo utworzonego Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Greiser w Wielkopolsce czy Bracht na Górnym Śląsku – choć też zbrodniarze – dążyli jednak w większym stopniu do zgermanizowania niż eksterminacji mieszkańców. Polaków z Gdańska, Gdyni, Wejherowa, ze Starogardu czy z Pucka rozstrzeliwano głównie w lasach piaśnickich koło Wejherowa, w Mniszku pod Świeciem, w Lesie Szpęgawskim pod Starogardem. Od 1,2 tys. do 1,4 tys. Polaków rozstrzelano w fordońskiej dolinie śmierci u wrót Bydgoszczy. W chojnickiej dolinie śmierci dokonano egzekucji 2 tys. Polaków, a na Wzgórzach Morzewskich pod Chodzieżą – kilkudziesięciu.

Egzekucje w lasach piaśnickich, zwanych pomorskimi Palmirami i Katyniem, okupanci starali się zachować w głębokiej tajemnicy. A jednak – dzięki świadectwom

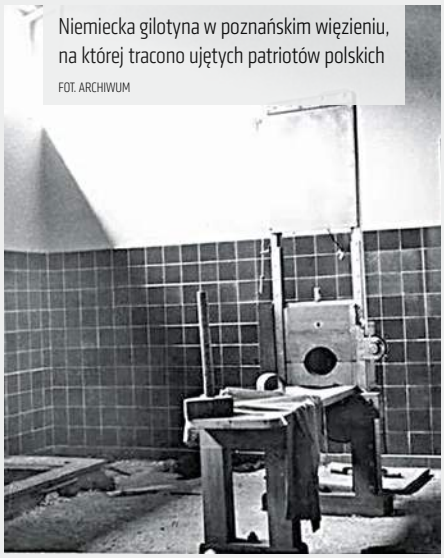

Niemiecka gilotyna w poznańskim więzieniu, na której tracono ujętych patriotów polskich

FOT. ARCHIWUM

nielicznych miejscowych Polaków oraz powojennym zeznaniom Niemców – poznano ich wstrząsające okoliczności. Ofiary – mężczyźni, kobiety i dzieci – były traktowane z największą brutalnością. Przywożono je tu z więzień, zmuszano do rozbierania się do bielizny i klękania nad wykopanymi dołami śmierci, a następnie zabijano z broni maszynowej bądź strzałami w tył głowy. Odbywało się to zarówno za dnia, jak i nocą, przy świetle samochodowych reflektorów. Na zwłokach odkryto po wojnie ślady tortur. Dających oznaki życia dobijano często kolbami. Prawdopodobnie zdarzały się także przypadki grzebania rannych żywcem. Maleńkie dzieci mordowano, rozbijając ich główki o drzewa; makabryczne ślady odkrywano na pniach. Zapewne oszczędzano amunicję. Mordercy z SS dodawali sobie animuszu alkoholem; wśród zwłok w dołach znajdowano po wojnie wrzucone tam puste butelki. Ubrania ofiar skrupulatnie zbierano i odwożono do Wejherowa tymi samymi ciężarówkami, które wcześniej przywiozły nieszczęśników na miejsce kaźni. Przekazywano je – cóż za troska! – nazistowskiej opiece społecznej (Nationalsozialistische Volkswohlfahrt). 12 tys. Polaków straciło życie w lasach piaśnickich…

Wśród tych setek Polaków zamordowanych w Piaśnicy, których udało się zidentyfikować, szczególnie liczną grupę stanowią osoby konsekrowane. W 1999 r. Jan Paweł II beatyfikował 108 polskich męczenników z czasu ostatniej wojny światowej. Była między nimi siostra Alicja Jadwiga Kotowska. Sanitariuszka podczas poprzedniej wojny oraz wojny bolszewickiej, a także uczestniczka Polskiej Organizacji Wojskowej, która w 1922 r. wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstania Pańskiego. Inną ofiarą z Piaśnicy stał się ks. Anastazy Kręcki, który po ukończeniu studiów filozoficzno-teologicznych otrzymał w 1920 r. święcenia kapłańskie i był wikariuszem kolejno w Starogardzie Gdańskim i Tyłowie, a następnie proboszczem w Strzelnie, organizując także życie tamtejszej społeczności.

Witolda Krukowskiego Niemcy wpisali na czarną listę wrogów Rzeszy za ogromne zdolności i osiągnięcia na niwie gospodarczej i publicznej. W 1919 r. odkupił od Waltera von Schützego dobra ziemskie w Kolibkach, co spowodowało włączenie do terytorium polskiego majątku położonego na spornym obszarze styku Wolnego Miasta Gdańska i Polski. Najman-Mirza Kryczyński, tatarski historyk i prawnik, w wolnej Polsce pracował jako prawnik w Wilnie, Zamościu i Gdyni, był członkiem Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego i założycielem Narodowego Muzeum Tatarskiego w Wilnie. Leon Wzorek – robotnik z Podkarpacia – podczas wojny działał w POW, a następnie został członkiem załogi ORP „Pomorzanin", naszego pierwszego okrętu wojennego. Po odbyciu służby wojskowej objął inną służbę – latarnika w Rozewiu. Umieścił tam tablicę przypominającą pobyt tu Stefana Żeromskiego i napisanie przez niego „Wiatru od morza".

OD FORTU VII DO GG

A oto straty, które ponieśliśmy w innych najbardziej rdzennych dzielnicach

eprasa.pl 74272a8403

Dowódcy SS, kaci naszego narodu. Od lewej: Albert Forster, Arthur Greiser, Erich von dem Bach-Zelewski, Franz Hacker, Wilhelm Koppe FOT. NAC

Polski, przyłączonych do III Rzeszy Niemieckiej podczas Intelligenzaktion.

Eksterminacja polskiej inteligencji w Wielkopolsce – wcielonej do Rzeszy jako Kraj Warty (niem. Warthegau) – zaczęła się od razu po wkroczeniu Niemców we wrześniu 1939 r. Publiczne egzekucje miejscowych elit (niemal 300 ofiar) urządzono m.in. w Śremie, Książu, Kórniku, Środzie, Kostrzynie, Gostyniu, Poniecu, Krobi, Kościanie, Śmiglu, Lesznie, Osiecznie, we Włoszczakowicach… Najbardziej ponurą sławę zyskał Fort VII cytadeli poznańskiej, gdzie podczas Intelligenzaktion zamordowano 2 tys. Polaków, w tym najbardziej wybitnych obywateli (a do końca niemieckiej okupacji – 20 tys.).

Śmierć ponieśli tu m.in.: Stefan Cybichowski – inżynier architekt i radny miasta Poznania; Mścisław Frankowski – powstaniec wielkopolski, działacz Narodowej Organizacji Bojowej; Stanisław Kalandyk – fizyk, profesor Uniwersytetu Poznańskiego; Mikołaj Kiedacz – prawnik, prezydent Poznania; Roman Konkiewicz – lekarz, uczestnik powstania wielkopolskiego, wieloletni prezes Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Związku Zachodniego; Czesław Michałowicz – ksiądz, długoletni sekretarz generalny Związku Katolickiego Robotników Polskich w Poznaniu; Wincenty Nowaczyński – pułkownik Wojska Polskiego; Stanisław Pawłowski – geograf o światowym rozgłosie i ogromnym dorobku naukowym, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, członek PAU, wiceprezes poznańskiego oddziału Ligi Morskiej i Kolonialnej; Leon Prauziński – malarz i powstaniec, autor obrazów i grafik upamiętniających czyny powstańców wielkopolskich; Celestyn Rydlewski – lekarz, uczestnik konferencji pokojowej z Niemcami w Paryżu (1919), członek międzynarodowej komisji granicznej w sprawie ustalenia granic Polski z Wolnym Miastem Gdańskiem…

Na Górnym Śląsku wymordowano w trakcie Intelligenzaktion 2 tys. Polaków. Było wśród nich wielu byłych powstańców śląskich, działaczy plebiscytowych, dziennikarzy, polityków, intelektualistów, urzędników oraz duchownych. Ci, którzy walnie przyczynili się do przyłączenia górnośląskich terenów do Polski, nie mogli liczyć na litość.

Należał do nich m.in. Kazimierz Kierzkowski, legionista, major Wojska Polskiego, który w 1920 r. przygotowywał ostatnie, decydujące powstanie śląskie. Jeszcze trwały walki kampanii wrześniowej, gdy w Krakowie założył Organizację Orła Białego. W latach 1940–1941 był szefem Biura Informacji i Propagandy Komendy Obszaru ZWZ Kraków-Górny Śląsk.

Na Mazowszu północnym – które przyłączono do Prus Wschodnich jako rejencję ciechanowską – Intelligenzaktion pochłonęła około 6,7 tys. ofiar, głównie spośród elit lokalnych Ostrołęki, Wyszkowa, Ciechanowa, Wysokich Mazowieckich, Łomży i okolic tych miast. Rozstrzeliwano wyjątkowo licznych urzędników, nauczycieli i duchownych, a także Żydów, aby jak najszybciej zniemczyć ten teren. Krwawe rządy sprawował tu gauleiter wschodniopruski Erich Koch, wyjątkowo zbrodniczy funkcjonariusz reżimu hitlerowskiego.

Intelligenzaktion Litzmannstadt (tak przemianowano Łódź przyłączoną do III Rzeszy) rozpoczęła się pod koniec pierwszej dekady listopada 1939 r. Aresztowano wtedy setki osób spośród kręgów polskiej inteligencji łódzkiej oraz pobliskich miejscowości, takich jak Pabianice, Konstantynów Łódzki, Brzeziny czy Zgierz. Osadzono ich w obozie przejściowym w fabryce Michała Glazera na Radogoszczu, a następnie dokonano selekcji, w której wyniku pół tysiąca z nich rozstrzelano w pobliskich lasach lućmierskich. Egzekucje trwały do wiosny 1940 r. Pochłonęły 1,5 tys. ofiar. Następnie do więzienia na Radogoszczu zaczęto przywozić młodych polskich mężczyzn, a nawet chłopców, których aresztowano w maju 1940 r. Trafili oni najpierw do KL Dachau, a następnie do Mauthausen-Gusen, skąd nieliczni wyszli żywi. Wreszcie w następnym roku ujęto 175 duchownych z diecezji łódzkiej, których nie aresztowano wcześniej, i wysłano do Dachau. Czterdziestu już nie wróciło...

Oczywiście traciliśmy nasze elity nie tylko za ziemiach przyłączonych do Rzeszy. Poza mordami podczas działań wojennych i takimi egzekucjami odwetowymi jak w Wawrze Niemcy zorganizowali między majem a lipcem 1940 r. w Generalnym Gubernatorstwie akcję „AB" (Außerordentliche Befriedungsaktion), stanowiącą kontynuację Intelligenzaktion. W ramach akcji „AB" zamordowali co najmniej 6,5 tys. Polaków, w tym 3,5 tys. przedstawicieli polskich elit. Do historii przeszły przede wszystkim masowe egzekucje w Palmirach pod Warszawą.

Identyczne z Intelligenzaktion były akcje specjalne (Sonderaktion). Były to dwie Sonderaktion Krakau, kiedy m.in. aresztowano i zesłano do obozów koncentracyjnych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sonderaktion Lublin, której ofiarami padli przede wszystkim duchowni i profesorowie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, i Sonderaktion Tschenstochau. W listopadzie 1939 r., po nieudanym zamachu stolarza Georga Elsera na Hitlera w Monachium (z którym Polacy nie mieli absolutnie nic wspólnego), Niemcy urządzili Sonderaktion Bürgerbräukeller, podczas której aresztowano w całym GG kilkuset inteligentów. Każdy pretekst dobry…

Pamiętajmy – o czym pisaliśmy przed tygodniem – że zagładzie polskich elit z rąk niemieckich towarzyszyła równie okrutna zagłada elit z rąk sowieckich. Odbiło się to na kondycji kolejnych generacji naszego społeczeństwa. Skutki widać do dziś…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Na dnie piekła

Brama KL Auschwitz z cynicznym napisem „Arbeit macht frei" (Praca czyni wolnym) – symbol hitlerowskiego ludobójstwa

FOT. ARCHIWUM

Ze Stanisławem Zalewskim, więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Był pan więziony w Auschwitz, Mauthausen, Gusen I i Gusen II. Gdzie było najstraszniej?

STANISŁAW ZALEWSKI: O ile obóz Gusen I zwany był przedsionkiem piekła, o tyle Gusen II był uważany za dno piekła. To dosyć powszechna opinia więźniów, którą również ja podzielam. Oba obozy były po sąsiedzku, ale Gusen II było wtedy najgorszym miejscem na Ziemi.

Zwykle to jednak o Auschwitz mówi się jako o „piekle" na ziemi...

Niektórzy więźniowie mówili nawet, że chętnie by wrócili z Gusen II do Auschwitz, i to nawet na kolanach, jeżeli ktoś dałby im wtedy wybór. Należę do tej grupy, a to z powodu potwornego reżimu, zagęszczenia więźniów, znęcania się nad nimi. Gusen II był obozem najcięższej, III kategorii, sprowadzono tam najgorszych zwyrodnialców spośród kapo. Nasze zmiany w podziemnej fabryce samolotów Bergkristall trwały po 12 godzin, gdy tymczasem w Gusen I zmiany były krótsze i było tam dużo bliżej do zakładów produkcyjnych. Więźniowie Gusen I mieli więc dużo więcej czasu na odpoczynek.

Jak długo więziony był pan w obozach Mauthausen, Gusen I i Gusen II?

Dokładnie 545 dni. W Mauthausen, które było obozem matką zespołu obozów Mauthausen-Gusen, pojawiłem się 6 listopada 1943 r. Po dwóch dniach „pobytu" w tym obozie i kąpieli na świeżym powietrzu dostaliśmy kalesony, cienkie koszule, trepy i pognani zostaliśmy pięć kilometrów dalej do Gusen I. Tam czekały mnie dwa tygodnie „kwarantanny". Było to noszenie kamieni z kamieniołomu do młyna – do kruszenia. Kto był słaby, ten padał pod ciężarem kamieni, a kapo dobijali takiego człowieka kijami. Tak wyglądała selekcja więźniów. Co ciekawe, na terenie byłego obozu Gusen I do dziś działa zakład kamieniarski...

Sami mogliście wybierać kamienie?

Na szczęście tak. Cała sztuka polegała na tym, żeby brać na barki taki głaz, który był płaski, ale duży pod względem powierzchni. Kiedy się przechodziło obok nadzorcy, trzeba się było uginać pod jego ciężarem. Tak wyglądała taktyka przetrwania.

I nadzorcy dawali się tak oszukać?

Różnie to bywało. Jeżeli według ich uznania kamień był jednak za mały, to więzień dostawał kijem. Mnie udało się jednak uniknąć bicia w ciągu tych dwóch tygodni. Po odbyciu kwarantanny przydzielony zostałem do komanda transportowego.

Ta szrama na pańskiej twarzy to „pamiątka" właśnie z tamtych czasów?

Mam ją od czasu uwięzienia w Gusen I. W komandzie transportowym zdejmowaliśmy maszyny z wagonów i na wózku ciągnęliśmy je do hali produkcyjnej Messerschmitta. Produkowano tam – jak się później dowiedziałem – elementy do

eprasa.pl 74272a8403

rakiet balistycznych V1 i V2. Któregoś dnia po drodze skombinowaliśmy kilka ziemniaków, które następnie wsadziłem do pieca w hali fabrycznej.

Idąc po ziemniaki, musiałem przejść obok stolika, przy którym siedziało dwóch SS-manów nadzorujących pracę na hali. Doskonale wiedziałem, że należało przy nich iść krokiem defiladowym i zdjąć czapkę. Wszystko zrobiłem, jak trzeba, ale zostałem zatrzymany: powiedzieli mi, że przejście było nieregulaminowe. Musiałem zawrócić. Podczas drugiego podejścia potknąłem się jednak o celowo wysuniętą nogę SS-mana... Usłyszałem złowieszcze: „Halt!". SS-man podszedł do mnie i uderzył mnie pięścią w głowę. Zachwiałem się, ale nie upadłem.

Do niemieckiego obozu trafiały liczne dzieci odebrane wcześniej rodzicom bądź sieroty po nich FOT. WIKIPEDIA

I to był zapewne błąd...

Niestety tak. Doskoczył do mnie drugi SS-man i jak mnie strzelił w twarz... Padłem jak długi. Od uderzenia zrobił mi się potem ropień, bo nie było tego czym opatrzyć. Stąd ta szrama na policzku. Może to głupie, ale leżąc wtedy na podłodze, myślałem przede wszystkim o tych ziemniakach.

Gorzej niż z twarzą było u mnie z nogą. Z niedożywienia zrobiła mi się na niej flegmona. Ta rana gniła i miałem do wyboru: albo nic z tym nie zrobić, cierpieć i w konsekwencji stać się niezdolnym do pracy, albo pójść do szpitala obozowego, co również zakrawało na samobójstwo. Ostatecznie jednak postanowiłem iść do szpitala, czyli na tzw. rewir. Już od progu spotkało mnie zdziwienie – sztubowy, odpowiadający za połowę szpitalnego baraku, okazał się warszawiakiem z Pragi! Powiedział, że przy Ząbkowskiej jego rodzice mieli cukiernię. Znałem to miejsce, bo mama wysyłała mnie tam po ciastka. Proszę sobie wyobrazić, że dostałem od niego oddzielną pryczę, choć zazwyczaj na jednej pryczy leżało kilku chorych. Jakby tego było mało, ta prycza stała obok piecyka! Ale to jeszcze nie wszystko – sztubowy powiedział personelowi, żeby traktowali mnie dobrze i żeby zadbali o moją ranę. Dostawałem dzięki temu nieokrojone posiłki, czyste ubranie...

Czyli w całym tym piekle trafił pan na normalnego człowieka.

No właśnie nie do końca. Ten sztubowy na moich oczach nocami uderzał kijem w głowę ludzi idących do ubikacji, którzy słaniali się, bo byli zbyt wycieńczeni, żeby iść o własnych siłach. Kiedy taki człowiek dogorywał, sztubowy ze swoimi ludźmi wieszał go na rzemyku na klamce. Potrafił tak zabić w ciągu nocy kilka osób. Ja oczywiście udawałem wtedy, że śpię. Nawet udawałem, że chrapię, bo bałem się, że mnie zabije, jeżeli zobaczy, iż wszystko widziałem. Długo się potem zastanawiałem, jak z syna porządnych ludzi mógł wyrosnąć taki morderca?

Za co trafił pan do tego piekła? Przecież nie miał pan jeszcze skończonych 18 lat, gdy został pan aresztowany.

12 września 1943 r. wyszedłem z domu na zbiórkę z kolegami z AK. Czasem odbywaliśmy ćwiczenia z bronią, ale głównie działaliśmy w tzw. małym sabotażu. Na podwórku spotkałem wtedy mamę. „Dokąd idziesz, Stachu?" – spytała mnie. A ja odpowiedziałem jej tak niefrasobliwie: „Do widzenia, mamo! Nie wrócę aż za dwa lata! Aż się wojna skończy". Pamiętam to, bo to była nasza ostatnia rozmowa w życiu...

Zostałem aresztowany kilka godzin później, gdy z kolegą Stefanem Jamrozikiem malowaliśmy na jednej z praskich ulic kotwicę i napis: „Pawiak pomścimy".

Czyli za malowanie „Pawiak pomścimy" trafił pan na Pawiak...

Tak wyszło... Zza węgła wyszedł niespodziewanie patrol żandarmerii. Najpierw przewieźli nas na al. Szucha. Dostaliśmy tam od razu lanie. Potem był Pawiak, gdzie znęcano się nad nami psychicznie. Wieczorami głośno wywoływali nazwiska więźniów przeznaczonych do rozstrzelania, a następnie słychać było terkot karabinu. Robili to wszystko specjalnie głośno, żeby nas terroryzować.

Niemieckie obozy koncentracyjne na ziemiach polskich

W 1939 r. powstał pierwszy obóz koncentracyjny dla obywateli polskich – Stutthof, założony już 2 września 1939 r. w Sztutowie (wtedy na terenie Prus Wschodnich). Pracą ponad siły, głodem, biciem i mordowaniem zgładzono w nim kilkadziesiąt tysięcy ludzi – w większości Polaków.

Najbardziej znane obozy koncentracyjne zakładane przez Niemców na ziemiach polskich dzieliły się na obozy pracy i zagłady, np. Auschwitz I w Oświęcimiu i Auschwitz II w Brzezince (Auschwitz-Birkenau), gdzie jednych ludzi niszczono głodem i pracą, a innych zagazowywano natychmiast po przybyciu, a także wyłącznie na obozy zagłady.
KL Auschwitz powstał w 1940 r., a pierwsze transporty trafiły tu w czerwcu (z Tarnowa) oraz w sierpniu i we wrześniu (z Warszawy). Przywieziono Polaków. Potem trafiali tu ludzie z całej Europy. Od 1942 r. masowo zagazowywano Żydów i Cyganów, ale też jeńców sowieckich i Polaków. Ogólną liczbę ofiar szacuje się na blisko 2 mln. Podobne były obozy na Majdanku pod Lublinem i w Rogoźnie (Gross-Rosen) na niemieckim wtedy Dolnym Śląsku.
Do obozów zagłady należały: Bełżec, Chełmno, Sobibór i Treblinka. Łącznie we wszystkich obozach zamordowano większość spośród 3 mln Żydów polskich.
Obywatele polscy trafiali oczywiście również do innych obozów niemieckich, np. do Dachau, gdzie skierowano wielu duchownych, do Bergen-Belsen czy Ravensbrück, gdzie zesłano około 40 tys. Polek. Za najstraszniejszy uważano zespół obozów w Mauthausen-Gusen (wstrząsająco pisał o nim m.in. Stanisław Grzesiuk w „Pięciu latach kacetu"). ***(m.r.)***

eprasa.pl 74272a8403

Po latach sprawdziłem, że mój transport – 5 października 1943 r. – był największym transportem z Pawiaka do Auschwitz: w sumie było to około 1,5 tys. mężczyzn i kobiet. Wszyscy nazywają te pociągi bydlęcymi, ale to nieprawda. Gdyby to były pociągi bydlęce, to mielibyśmy luksus, bo mielibyśmy przynajmniej otwory wentylacyjne. A to był pociąg towarowy, szczelnie zabity. Kiedy dojechaliśmy do Auschwitz, wielu ludzi z naszego wagonu trzeba było wynieść – zmarli bowiem w czasie podróży. W Auschwitz spędziłem 31 dni.

Co w panu zostało z tego obozu?

Na przykład krzyki kobiet, które rozbierano publicznie i ciężarówką wywożono do komór gazowych. Krzyczały, bo wiedziały, że zaraz zginą. Nie da się tego zapomnieć.

Nasz barak usytuowany był tak, że widać było rampę kolejową. Któregoś dnia podjechały tam pullmany – to były bardzo luksusowe wagony. Wysiedli z nich pięknie ubrani ludzie. To byli Żydzi z Holandii albo z Belgii. Otrzepywali z siebie kurz, który oblepiał ich po zejściu na rampę. Szli potem spokojnie za jednym SS-manem prosto do komór gazowych. To był jedyny taki widok, bo generalnie nie miałem wtedy czasu rozglądać się po okolicy – cały czas pracowałem przy rozbudowie obozu. Musiałem taszczyć worki cementu, a te ważyły 50 kg. Wtedy jeszcze na szczęście nie byłem tak wycieńczony, jeszcze miałem siłę nosić takie ciężary.

Na jakiego kapo trafił pan w Auschwitz?

Mój kapo darł się na nas przy SS-manach i bił nas – lekko – w ich obecności. Kiedy już jednak byliśmy sami, był w stosunku do nas w porządku. Ja chyba jestem dzieckiem szczęścia, bo nieraz trafiłem na takich ludzi. W Auschwitz dostałem numer 156 569. Po miesiącu zabrali mnie do Austrii.

Często nachodziły pana w czasie tych 545 dni w Mauthausen, Gusen I i Gusen II myśli, żeby ze sobą skończyć?

Może to trochę dziwne na tle wspomnień innych byłych więźniów obozów koncentracyjnych, ale ja nigdy nie przeżyłem tam kompletnego załamania. Wielokrotnie wmawiałem sobie, że muszę wrócić do rodziny. Nigdy nie miałem myśli, żeby np. rzucić się na druty.

W Gusen I cały czas pracował pan w komandzie transportowym?

Nie. Po jakimś czasie zostałem skierowany do produkcji. W Gusen I wydrążone były w zboczu góry korytarze, gdzie mieściły się oddziały produkcyjne. Pracowałem przy produkcji jakiegoś elementu samolotu albo rakiety balistycznej.

Nie było możliwości robić tego byle jak. Efekty mojej pracy kontrolowali przecież inni więźniowie. Taki kontroler patrzył, czy każde złącze nitowe było prawidłowo wykonane. Oni sami brali odpowiedzialność za jakość produkcji. Dlatego nawet mowy nie było o sabotowaniu produkcji.

Skrajnie wyczerpani więźniowie KL Mauthausen-Gusen tuż po wyzwoleniu przez Amerykanów

FOT. WIKIPEDIA

W obozach więzieni byli nie tylko więźniowie polityczni, lecz także ci, którzy trafili tam z powodów stricte religijnych. Spotkał pan tam takich ludzi?

Tak. W Gusen I poznałem więźnia z fioletowym trójkątem (polityczni mieli naszyte czerwone trójkąty). Był to Niemiec, którego zesłano tam za odmowę służby wojskowej. Był to najprawdopodobniej świadek Jehowy. Na samym początku powiedział, że wiara nie pozwala mu brać udziału w produkcji broni. SS-man kazał go za to wyprowadzić na rozstrzelanie. Ten chłopak szedł na egzekucję spokojnie, odwrócił się do nas, żeby się pożegnać. Za chwilę usłyszeliśmy huk wystrzałów. Do końca zmiany pracowaliśmy w głuchym milczeniu...

Pamiętam też, jak u pewnego więźnia znaleziono różaniec. SS-mani skatowali go i przed śmiercią zmusili do połknięcia ziarenek różańca.

Kiedy skończyła się harówka?

Pracowaliśmy do 2 maja, czyli aż do dnia upadku Berlina. SS-mani, uciekając, wzięli ze sobą całe zapasy żywności. Tym sposobem od 2 do 5 maja mieliśmy prawdziwą głodówkę – nie było już kompletnie nic do jedzenia. To wtedy widziałem, jak więźniowie kładli się na ziemi i jedli trawę.

Jak wyglądało Gusen II 5 maja 1945 r.?

Pod obóz podjechały dwa amerykańskie samochody bojowe. Jeden żołnierz amerykański wszedł do nas i – po polsku – powiedział: „Jesteście wolni!".

Do samego końca pilnowali nas jacyś dziadkowie z miejscowych służb porządkowych. Amerykanie zabrali im broń, rzucili ją na kupę, podpalili i pojechali do Gusen I. Więźniowie od razu jednak ugasili ogień. Mam wrażenie, że Amerykanie dobrze wiedzieli, że ta broń się nie spali – chyba dali nam w ten sposób prawo do odwetu.

Dzisiaj niemal nie ma śladu po Gusen I. Co pan sobie myśli, gdy pan patrzy na bramę wjazdową do obozu przerobioną na willę w stylu śródziemnomorskim, w której mieszka jakiś milioner?

Brama to nie wszystko. Barak, w którym żyłem, został po wojnie zamieniony w pieczarkarnię. Z kolei plac apelowy zawalony został gruzem. Oczywiście szlag mnie trafia, gdy to widzę. Najgorzej było w 1986 r., gdy pojawiłem się tam po raz pierwszy od końca wojny. Bardzo mnie poruszył widok osiedla wybudowanego w miejscu, gdzie stały baraki...

Wciąż można uratować plac apelowy i zrobić tam miejsce pamięci, ale większość obozu jest już nie do uratowania. Błąd popełniono wiele lat temu, sprzedając teren obozowy prywatnym ludziom, którzy pobudowali tam domy. Teraz przecież już nie można im zabrać domów...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Stanisław Zalewski (ur. 1925) *– jest przewodniczącym Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. W latach 1943–1945 był więziony w Auschwitz, Mauthausen, Gusen I i Gusen II.*

eprasa.pl 74272a8403

Pierwszy z lewej – Hans Frank. Pierwszy z prawej – Friedrich Krüger – podczas kolejnej hitlerowskiej uroczystości w Generalnym Gubernatorstwie

FOT. NAC

Wykonawca Generalplan Ost

Tomasz Stańczyk

Głównym realizatorem planów eksterminacji naszego narodu w Generalnym Gubernatorstwie został SS-Obergruppenführer Friedrich Krüger

Reichsführer Heinrich Himmler mianował go 4 października 1939 r. wyższym dowódcą policji i SS w tworzącym się GG. Posiadał on bowiem wszelkie cechy potrzebne do realizowania nadzwyczaj brutalnej, terrorystycznej polityki niemieckiej w Polsce. Historyk Czesław Madajczyk oceniał, że Krüger był człowiekiem miernym, tępym, niesamodzielnym i ślepo posłusznym. Właśnie osobnik o takich cechach był jednak potrzebny Reichsführerowi SS. Brał udział w I wojnie światowej i został wówczas odznaczony dwukrotnie Żelaznym Krzyżem. Po wojnie był między innymi prywatnym przedsiębiorcą. W 1929 r. wstąpił do NSDAP, w 1931 r. do SS i SA. Po dojściu Hitlera do władzy został posłem do Reichstagu.

POLSKI INTELIGENT NA CELOWNIKU

Mocnym akcentem rozpoczynającym zbrodniczą działalność Krügera była akcja „AB". W jej ramach rozstrzeliwano, między innymi w podwarszawskich Palmirach, polskich przywódców politycznych (wśród nich byli Maciej Rataj i Mieczysław Niedziałkowski) i inne osoby znane w życiu publicznym. Tutaj stracił życie złoty medalista z Los Angeles – Janusz Kusociński. Krüger troszczył się o swoich podwładnych, przypominając ich bezpośrednim przełożonym, by zgodnie z zaleceniem Himmlera katom „po egzekucji podawano dla odwrócenia uwagi intelektualnie wartościowe treści".

W chwili rozpoczęcia wojny ze Związkiem Sowieckim Krüger polecił dowódcy policji i bezpieczeństwa w Generalnym Gubernatorstwie Eberhardtowi Schöngarthowi rozpocząć nowe „akcje przeciw inteligencji". W pierwszych dniach okupacji niemieckiej we Lwowie zamordowano 25 polskich profesorów wyższych uczelni. Holender Pieter Menten został oficjalnie przyjęty przez Schöngartha do komanda do zadań specjalnych i korzystał z przywileju rabowania własności zamordowanych profesorów.

Sprawa Mentena, kolekcjonera i handlarza dzieł sztuki, przypomina, że niemiecka okupacja w Polsce miała także oblicze rabunkowe. Polskie obrazy, rzeźby, zabytkowe meble i książki są do dziś w niemieckich domach i muzeach, gdzie znajdują się zabytki z urzędowego rabunku. Republika Federalna Niemiec dotąd ich nie zwróciła.

Krüger lojalnie bronił wykonywanych przez siebie rozkazów Himmlera, choć na posiedzeniach rządu Generalnego Gubernatorstwa musiał przyznawać, że przynosiły one negatywne skutki. Himmler uważał, że bezrobotni i elementy „aspołeczne" stanowią doskonałą bazę rekrutacyjną dla „bandytów", czyli polskiego podziemia zbrojnego. Zarządził więc łapankę i ich zsyłkę do obozów Auschwitz, na Majdanku i do obozów w Rzeszy.

NOWE RUGI PRUSKIE

Kolejnym pomysłem Himmlera było wysiedlenie Polaków z Zamojszczyzny i osiedlanie na ich miejscu Niemców. Himmler, planując tę akcję i wprowa-

eprasa.pl 74272a8403

dzając ją od listopada 1942 r. w życie rękoma Krügera, faktycznie nie liczył się z Frankiem, który był zmuszony zaakceptować plany Reichsführera. Oczywiście, obaj zgadzali się co do tego, że Generalne Gubernatorstwo będzie zgermanizowane. Frank nie chciał jednak działać radykalnie i natychmiast, podczas wojny. Był bardziej zainteresowany realizowaniem gospodarczej eksploatacji ziem polskich i zaopatrywaniem Niemiec ich kosztem. W swoim rozporządzeniu Krüger przeznaczył część wysiedlanej ludności na zgermanizowanie, część „mało wartościowa" miała znaleźć się w obozach koncentracyjnych. Co ciekawe, rozporządzenie mówiło o niestosowaniu brutalnych środków przy wysiedlaniu. Praktyka była dokładnie odwrotna.

Wysiedlenia na Zamojszczyźnie spowodowały spotęgowanie się wrogich nastrojów społeczeństwa polskiego i zbrojne akcje oddziałów AK i BCh, palenie przez nich wsi, gdzie sprowadzono kolonistów niemieckich, niszczenie urzędów gminnych, spadek produkcji rolnej w dystrykcie lubelskim. Sam wyższy dowódca SS i policji musiał krytycznie ocenić akcję na Zamojszczyźnie: „Następstwa tego posunięcia – gospodarcze, polityczne i inne – były po części bardzo niepomyślne". Upierał się jednak, broniąc stanowisko Himmlera, że sprawy wysiedlenia Polaków i osiedlenia Niemców nie można było odłożyć na czas po wojnie.

6 maja 1943 r. na pierwszej stronie „Biuletynu Informacyjnego" Armii Krajowej ukazał się komunikat Kierownictwa Walki Cywilnej: „W odwet za swą zbrodniczą działalność w Polsce, a w szczególności za ostatnie skazanie na śmierć 70 niewinnych Polaków, obwieszczone zarządzeniem z 12 lutego 43 r. – szef policji Krüger zgładzony został dn. 20 kwietnia 1943 r. o godz. 9.50".

Niestety, nie była to prawda: przeprowadzony 20 kwietnia przez przybyły z Warszawy oddział AK „Kosa" zamach nie powiódł się. Szef policji i SS został tylko ranny lub ledwie kontuzjowany.

Mimo że zamach się nie udał i tak zrobił duże wrażenie na Niemcach, potwierdzając, że nawet najwyżsi przedstawiciele niemieckich władz nie mogą czuć się bezpiecznie w okupowanej Polsce.

„Biuletyn Informacyjny" pisał o Krügerze: „Była to prawa ręka Himmlera na Polskę, był to apostoł terroru przeciwpolskiego, był to inspirator niemal wszystkich wielkich zbrodni popełnionych w ostatnich czasach na polskości przez władze niemieckie. On także ponosi odpowiedzialność za akcję »AB«, polegającą na fizycznej eliminacji polskiej elity, bestialską w swym przebiegu akcję wysiedleńczą na Zamojszczyźnie oraz za potworności likwidacji Żydów".

Do tej listy trzeba dodać także: łapanki na przymusowe roboty w Niemczech, ściąganie kontyngentów od chłopów oraz zwalczanie czarnego rynku, w tym przemycania żywności ze wsi do wygłodzonych miast.

Z GG DO WAFFEN-SS

20 kwietnia 1943 r. podczas posiedzenia rządu Generalnego Gubernatorstwa SS-Brigadeführer Schöngarth wyraził przekonanie, że chyba wszyscy obecni są pod wrażeniem mnożących się zamachów na Niemców, w tym dokonanego tego dnia zamachu na Krügera. Nie proponował jednak odwetu. „Niemiecka administracja powinna unikać wszelkiej niepotrzebnej brutalności wobec Polaków, gdyż na przemoc stosowaną przez jedną stronę druga zazwyczaj odpowiada brutalnością". Zauważał, że Polacy stanowią bezcenny potencjał wojenny i jeśli Niemcy będą kontynuować dotychczasową politykę wobec nich, doprowadzi to nieuchronnie do klęski.

Także Krüger w końcu uświadomił sobie konieczność zmiany postępowania wobec Polaków. Przynajmniej tych pracujących w gospodarce wojennej i przemyśle zbrojeniowym. Przyznając, że nie otrzymują nawet tej żywości, która im się należy – a kalorycznie była ona dużo poniżej norm – i do tego dostają praktycznie tylko chleb i kartofle, postulował poprawę zaopatrzenia. Argumentował, że bez niej polska siła robocza nie będzie miała wartości, a wydajność pracy zmaleje.

3 sierpnia 1943 r. Hans Frank nazwał w rozmowie z Erichem von dem Bachem-Zelewskim „katastrofą" sytuację, która wytworzyła się na skutek przesiedleń na Zamojszczyźnie. Jego rozmówca, który za rok będzie tłumił powstanie warszawskie, zgodził się z tą opinią. Dwa dni później został odwołany Odilo Globocnik, dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim. W październiku Himmler odwołał Krügera, powierzając mu dowództwo dywizji Waffen-SS. Jak twierdził, potrzebował doświadczonego żołnierza. Tymczasem Krüger był jedynie porucznikiem z czasów I wojny światowej. Na zakończenie swego urzędowania Krüger wydał zarządzenie, że osoby niebędące Niemcami mogą korzystać z publicznych środków transportu tylko na podstawie urzędowego zezwolenia na podróż.

Zamordowani w 1943 r. polscy chłopi i ich niemieccy mordercy FOT. WIKIPEDIA

Hans Frank, który przez cztery lata użerał się z wyższym dowódcą SS i policji, żegnając go, nie szczędził komplementów. Nazwał nawet Krügera współtwórcą Generalnego Gubernatorstwa. Dał przy okazji popis obłudy, mówiąc, że ciężko mu przychodzi rozstać się z nim, a utrata takiego współpracownika jest dla niego ciosem szczególnie dotkliwym. Friedrich Krüger dowodził kolejno dywizją, a potem korpusem SS, grupą bojową złożoną z policjantów. W maju 1945 r. popełnił samobójstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Piotr Zychowicz

Niemcy w brutalny sposób wypędzili z domów 110 tys. cywili. Dzięki heroicznemu oporowi Polaków operacja zakończyła się kompromitującą porażką SS

Szaleństwo „Aktion Zamość”

Odilo Globocnik, dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim, 22 listopada 1942 r. do swoich ludzi zwrócił się w ten sposób: „Osiedlenie następuje na bezpośredni rozkaz Reichsführera-SS. Ten rozkaz jest dla nas zobowiązaniem, które wykracza poza ramy normalnego wykonania rozkazu, gdyż Reichsführer-SS oczekuje od nas nie tylko formalnego wykonania jego woli, lecz tego, byśmy wszystkim przybyłym z różnych części Europy volksdeutschom zbudowali tutaj nową ojczyznę, dali zdrowe podstawy bytu i stworzyli warunki rozwoju przyszłych pokoleń.

Zabezpieczenie wszystkich zdobytych terenów na przyszłość zależy tylko od tego, czy człowiek niemiecki zapuści korzenie w tej ziemi. Kto popełnia błąd lub zbyt lekko podchodzi do zadania, szkodzi niemieckiemu narodowi w jego przyszłym bycie, i takie postępowanie jest najcięższą zdradą naszych powinności. Dlatego od wszystkich biorących udział w akcji oczekuję wytężonej pracy i bezwarunkowego wykonywania zadań. Ja będę zawsze tam, gdzie zajdzie potrzeba pomocy. W dyscyplinie i we wzrastającym zaufaniu wykonamy rozkaz Reichsführera-SS”.

Rozkaz ten uruchomił straszliwą machinę terroru, który spadł na ludność Zamojszczyzny. W ramach chorego planu rasowego przebudowania Europy Wschodniej postanowiono wyrzucić z tego terenu Polaków i sprowadzić na ich miejsce niemieckich osadników. Pierwsze przymiarki do tej operacji poczyniono już na początku 1941 r. Zachwycony pomysłem Reichsführer-SS Heinrich Himmler 1 lipca 1941 r. wydał zarządzenie wskazujące Zamojszczyznę jako „pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie”. Jak napisała badaczka tego problemu Agnieszka Jaczyńska, w ten sposób miał powstać „bastion niemieckości”, punkt oparcia dla dalszej germanizacji Wschodu.

Do pierwszych próbnych wysiedleń Polaków doszło w listopadzie 1941 r. Ich ofiarą padło około 2 tys. cywili, których z niezwykłą brutalnością usunięto z domostw i rozproszono na terenie powiatu hrubieszowskiego. Zaskoczeni i przerażeni Polacy nie stawiali większego oporu i zachęceni tym „wielkim sukcesem” Niemcy zaczęli przygotowania do właściwych deportacji. Tym razem na znacznie większą skalę.

Do akcji Niemcy przystąpili 27 listopada 1942 r. W tajnych rozkazach biorącym w nich udział funkcjonariuszom nakazano traktować Polaków z „niezbędną surowością”. Efektem podobnych instrukcji była prawdziwa eksplozja przemocy. Deportowani Polacy byli bici, katowani, dochodziło do zbiorowych mordów i pacyfikacji, w trakcie których polskie wsie puszczano z dymem.

Przerażonych mieszkańców pędzono do obozów przejściowych w Zamościu, Biłgoraju i Zwierzyńcu. W ośrodkach tych dokonywano selekcji. Część ludzi trafiła na roboty do Niemiec, część wypędzono na

eprasa.pl 74272a8403

Akcja wysiedlania chłopów na Zamojszczyźnie – wszystkich, całymi rodzinami, nagle i bez dobytku FOT. IPN

Mazowsze, część wywieziono do obozów koncentracyjnych w Auschwitz i na Majdanku, małe dzieci o „aryjskich cechach rasowych" uprowadzono zaś do Rzeszy. Warunki w obozach i transportach urągały wszelkim cywilizowanym standardom, śmiertelność wśród wysiedlanych była niezmiernie wysoka.

Niemieccy oprawcy okazywali całkowitą pogardę dla życia Polaków. „Na zbiórce zobaczyłem człowieka, około 70 lat. Niemiec wstał zza stołu i zastrzelił tego starca bez żadnej przyczyny – wspominał Edmund Lotza, więzień obozu w Zwierzyńcu. – Jan Buczko przyniósł chleb dla głodnych mężczyzn na polu karnym. Zobaczył to wartownik z wieży i strzelił, zabijając mężczyznę dzielącego chleb. W czasie mojego pobytu w obozie zmarło ponad 100 osób".

Najmniejsze szanse na przeżycie deportowani z Zamojszczyzny mieli jednak w Auschwitz. Spośród 1301 więźniów, którzy trafili do tego piekła na ziemi, przetrwało zaledwie 18 proc. Zmarli z wycieńczenia, chorób, na skutek dokonywanych na nich eksperymentów pseudomedycznych i sadystycznych praktyk strażników.

POWSTANIE ZAMOJSKIE

Na początku pacyfikacji Zamojszczyzny Niemcy triumfowali. Szybko okazało się jednak, że tym razem operacja nie będzie przebiegała łatwo. Oprawcy mocno się przeliczyli…

„Polecam zorganizować przeciwakcję, która będzie prowadzona przez ludność dotkniętą wysiedlaniem oraz przez własne oddziały zorganizowane.

1. Ludność ma stawiać opór bierny i czynny. Palić zagrody, niszczyć dobytek opuszczony, tak żeby okupantowi zostały zgliszcza. Nie pozwolić na dzielenie rodzin. Na bicie, gwałt i znęcanie się odpowiadać siekierą, widłami lub kłonicą. Bronić życia i mienia pazurami do ostateczności.

2. Akcję samoobrony ludności wesprzeć działaniem dywersyjnym oddziałów bojowych, które z zewnątrz atakować będą policję i władze administracyjne przeprowadzające wysiedlanie. Zlikwidować kierowników akcji wysiedlania. Zniszczyć zabudowania i dobytek. Osiedlonym Niemcom nie dać żyć".

Powyższy rozkaz 24 grudnia 1942 r. wydał komendant Armii Krajowej gen. Stefan Grot-Rowecki. W efekcie na terenie Zamojszczyzny zaroiło się od oddziałów AK i Batalionów Chłopskich, zasilonych obficie rekrutem ze wsi zagrożonych wysiedleniem. Włościanie masowo uciekali bowiem do lasów, gdzie polskie formacje niepodległościowe uzbrajały ich i wcielały do swoich szeregów.

OBWIESZCZENIE

Pomimo publicznego ostrzeżenia i zagrożenia, że osoby, które miały skorzystać z prawa łaski zgodnie z wyrokiem Sądu Doraźnego Policji Bezpieczeństwa i SD, zostaną rozstrzelane, zostały popełnione dalsze akty przemocy przeciw Niemcom i to:

skazane na karę śmierci:

W odwet za wyżej dokonane napady został wyrok na osobach wymienionych od liczby 1 do 29 wykonany.

Zasądzeni od liczby 30 do 59 są przedstawieni do ułaskawienia.

Obwieszczenie okupanta o karach śmierci za opór wobec Niemców FOT. ARCHIWUM

Szybko do Berlina – sprawą poważnie zaniepokoił się sam Himmler – zaczęły napływać alarmujące meldunki. Informowano w nich, że niemieckie posterunki w terenie są regularnie atakowane przez uzbrojone „bandy". Partyzanci wysadzają w powietrze tory kolejowe i mosty, blokują drogi, podpalają magazyny z zaopatrzeniem. Nękają niemieckie oddziały, które zapuszczają się zbyt daleko od koszar.

„Już podczas stawiania łańcucha zamykającego obławę zostaliśmy z lasu ostrzelani silnym ogniem z karabinów maszynowych i zwykłych – raportował wachmistrz policji ochronnej Scherzer. – Podczas akcji padł, jakieś 600 m na południe od wsi Wojda, od postrzału w brzuch, wachmistrz Eduard Krüger, żonaty, czworo dzieci".

„Doszło do wymiany ognia pomiędzy plutonem strzelców z Kraśnika a bandytami w lesie Dzierzkowice – napisano w innym raporcie. – Został ranny dowódca plutonu wachmistrz Eberhard Täschner postrzałem w nos i pośladek. Pościg za bandą trwa". W zdecydowanej większości przypadków pościg jednak nic nie dawał. Polacy rozpływali się w terenie, a Niemcy tracili kolejnych ludzi w pułapkach. Wkrótce sytuacja stała się wręcz katastrofalna. Niemcy po prostu stracili kontrolę nad sporą częścią Lubelszczyzny.

Cenę zapłacili za to osadnicy sprowadzeni z Besarabii, Bośni, Ukrainy, Serbii, ze Słowenii i z innych krajów. W sumie 13 tys. ludzi, których osadzono w odebranych Polakom domach. SS i policja nie były im w stanie zapewnić bezpieczeństwa. Ludzie ci znaleźli się w śmiertelnej pułapce. Chociaż wydano im karabiny, nie mogli stawiać oporu polskim oddziałom. W efekcie wiele wsi zasiedlonych przez Niemców, m.in. Nawóz, Siedliska, Udrycze, Janiówka czy Cieszyn, zostało spacyfikowanych. Wściekli na Niemców za popełnione przez nich wcześniej zbrodnie polscy partyzanci nikomu nie dawali pardonu. Zabijano nie tylko mężczyzn, lecz także kobiety i dzieci.

„Ogień za ogień, śmierć za śmierć! – napisano w »Biuletynie Informacyjnym« AK z lipca 1943 r. – Wieś cała stoi w tumanach dymu, w pożodze. Mimo deszczu smugi ognia biją wysoko w górę, strzelając snopami iskier. Gdy na sygnał trąbki i rakiety rozpoczyna się odwrót, niektóre chaty walą się już w kupy żaru. Ogień zwycię-

eprasa.pl 74272a8403

Ofiary pacyfikacji w jednej z zamojskich wsi

FOT. IPN

sko przewala się przez wieś. Nie istnieje już wieś Huszczka w Zamojszczyźnie. Zginęło 30 Niemców, 50 padło rannych. Postrach poszedł po wszystkich okolicznych wsiach, rojących się od zbrojnych osadników niemczyzny. Niech wiedzą, co to jest odwet".

NIKT NIE SIAŁ ZIARNA

Na początku 1943 r. rozpoczęła się tzw. Ukraineraktion. Była ona de facto przyznaniem się do klęski projektu zniemczenia Zamojszczyzny. Do części wysiedlonych polskich wsi zaczęto bowiem sprowadzać osadników... ukraińskich. Mieli oni stworzyć bufor zabezpieczający niemieckich kolonistów przed Polakami. W ten sposób Niemcy wywołali krwawy konflikt polsko-ukraiński. Polskie podziemie traktowało bowiem ukraińskich osadników tak samo jak osadników niemieckich. Decyzję taką podjęto też dlatego, że ukraińska policja, z niezwykłym okrucieństwem, brała udział w deportacjach Polaków.

„Do pierwszego ataku polskich oddziałów na ukraińskie domy w powiecie hrubieszowskim – mówił historyk IPN Mariusz Zajączkowski – doszło już w końcu stycznia 1943 r. (Strzelce). Następny miał miejsce pod koniec marca (Pasieki). Szersze wystąpienia antyukraińskie odnotowano w maju 1943 r., kiedy polscy partyzanci spalili w całości lub częściowo kilka wsi zamieszkanych przez ludność ukraińską (Mołożów, Tuchanie, Strzelce, Żulice, Nabróż), zabijając w sumie około 60 ukraińskich cywili".

W tej małej wojnie domowej między Polakami a Ukraińcami zginęło po 1,5 tys. cywili po obu stronach. Również Niemcy nasilili represje. „Jeżeli będzie to konieczne – pisał Himmler – należy wytępić całe polskie wsie". W odpowiedzi na podobne działania 4 sierpnia 1943 r. nowy komendant AK gen. Tadeusz Bór-Komorowski wydał oddziałom działającym na Zamojszczyźnie rozkaz nasilenia akcji odwetowych. Ich celem była „likwidacja osób, które w czasie pacyfikacji wyróżniły się bestialstwem i gorliwością w mordowaniu, gnębieniu i ściganiu ludności polskiej. Uderzenie na wsie i osady niemieckich kolonistów, których mieszkańcy brali udział w pacyfikacji". „Bór" niemieckie wsie kazał „spalić, a mieszkańców wyciąć w pień".

Nieprzemyślana akcja SS spowodowała, że do tej pory względnie spokojna część Zamojszczyzny zamieniła się w jedno wielkie pole bitwy. W efekcie Niemcy musieli skierować tam spore siły, które były niezbędne gdzie indziej. Wehrmacht oskarżył SS o dezorganizowanie tyłów armii walczących na froncie wschodnim. Największą krytykę pacyfikacja Zamojszczyzny wywoływała jednak w niemieckiej administracji cywilnej. Jako pierwszy zaczął protestować gubernator dystryktu lubelskiego Ernst Zörner wspierany przez szefa swojego departamentu gospodarczego dr. Klausa. Alarmowali oni, że deportacje Polaków wywołały katastrofę ekonomiczną. Dystrykt lubelski uznawany był bowiem za spichlerz Generalnego Gubernatorstwa. Teraz zaś nie było mowy o tym, żeby ściągnąć kontyngenty płodów rolnych ze sporej jego części. Chłopi i partyzanci spalili młyny, stodoły i chlewy, wyrżnęli bydło, aby nie dostało się w ręce Niemców. Nikt oczywiście nie siał ziarna, bo chłopi tworzyli w lasach oddziały samoobrony.

„Według opinii fachowców – napisano w jednej z analiz – powiat zamojski, który ze względu na swoją pierwszorzędną ziemię mógłby być terenem nadwyżek rolniczych, staje się terenem, do którego trzeba będzie dokładać". Niemieccy urzędnicy z terenu zaczęli pisać listy do samego Führera, w których domagali się wstrzymania „zbrodniczej wobec interesów III Rzeszy" akcji wysiedleńczej. Generalny gubernator Hans Frank szalał z wściekłości. Uważał bowiem, że Himmler po raz kolejny „wsadza nos w nie swoje sprawy" i dezorganizuje podległe mu terytorium, a wysiedlenia na Zamojszczyźnie rozpoczęto bez pytania go o zdanie. Poza tym nadzorujący je szef policji i SS na terenie gubernatorstwa Friedrich Wilhelm Krüger był jego osobistym wrogiem. Na jednym z posiedzeń rządu gubernatorstwa Krüger musiał przyznać, że jego działania były „nie do końca przemyślane" i przyniosły skutek odwrotny do zamierzonego. Frank poszedł wówczas za ciosem i wspierany przez – na ogół wrogiego mu – Goebbelsa wymógł dymisję Krügera (nie była to jego pierwsza wpadka) i Globocnika.

Akcja wysiedleńcza na Zamojszczyźnie została wstrzymana w sierpniu 1943 r. Spowodowała ona nie tylko nieopisane cierpienia polskiej ludności cywilnej – samych dzieci Niemcy zamordowali 10 tys. – lecz także spustoszenie regionu.

Z 293 wsi deportowano 110 tys. ludzi. Z wielu miejscowości pozostały jedynie zgliszcza. Całkowicie zdewastowana została infrastruktura, a bydło wytrzebione. Do końca wojny Niemcy nie byli w stanie pokonać licznych oddziałów partyzanckich i spacyfikować zwykłych grup rabunkowych, które pojawiły się w terenie.

Przerażeni osadnicy masowo opuszczali „swoje" nowe domy. Od wiosny 1944 r. rozpoczęła się już masowa akcja ewakuacyjna zorganizowana przez władze niemieckie. W lipcu 1944 r. z regionu wyjechali ostatni Niemcy. Akcja wysiedleńcza na Zamojszczyźnie zakończyła się spektakularną katastrofą, co uznano w Berlinie za całkowitą kompromitację Heinricha Himmlera i całego podległego mu aparatu terroru. W efekcie deportacje te okazały się nieudaną próbą wprowadzenia w życie zbrodniczego Generalnego Planu Wschodniego, który zakładał germanizację tej części Europy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

Męczeństwo miasta

Żołdacy z pułku SS „Dirlewanger" w akcji przeciw obrońcom Woli FOT. WIKIPEDIA

Maciej Rosalak

Niemcy pędzili warszawiaków wraz z dziećmi przed czołgami i palili żywcem. Mordowali i gwałcili kobiety...

Zuzanna Biesiadecka mieszkała na Woli przy ulicy Górczewskiej 17. W sierpniu 1944 r. miała pięć lat. Wspomina: „Niemcy wypędzają nas z domu, a także wszystkich sąsiadów. Stało się to wszystko jakoś niezmiernie szybko. Widzę Niemców przed domem w hełmach i porozpinanych mundurach, wściekłych i spoconych, wrzeszczących strasznie w tym ich twardym języku. Pędzą gdzieś ludzi i popychają ich kolbami karabinów. Ulica Górczewska płonie, idziemy korytarzem ognia, po obu stronach leżą ludzie. Śpią. Dlaczego śpią w takich dziwnych pozach? Dlaczego niektórzy są okrwawieni i dlaczego wzdymają im się brzuchy? Słychać wrzask Niemców i strzały. Z przodu i z boku ciągle ktoś pada. I zasypia. Przechodzimy przez jakiś wąski wyłom w murze. Tuż przed nim upadł kaleki chłopiec. Kule wypadły mu z rąk. Brutalnie poganiani ludzie depczą po nim, nie zważając na krzyk rozpaczy. Nagle czuję jakiś spokój. Niemcy ustawiają nas pod ścianą. Widzę, jak mama przytula braciszka do swojej twarzy. Ojciec mocno ściska mnie za rękę. Podjeżdża Niemiec na motorze, coś wrzeszczy – oni ciągle tak strasznie wrzeszczeli. I pędzą nas dalej...".

Ludzi wypędzonych z jej domu trzy razy ustawiano do rozstrzelania. Dlaczego oni przeżyli, gdy wcześniej na tej ulicy Niemcy mordowali niemal wszystkich? Może akurat zabrakło im kul – na co skarżył się sam SS-Gruppenführer Heinrich Reinefarth, dowódca specjalnej grupy pacyfikacyjnej SS i policji? Może wniosek z tego wyciągnął kierujący niemiecką odsieczą dla hitlerowskiego garnizonu warszawskiego SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski, bo 5 sierpnia zakazał mordowania kobiet i dzieci? Rozkaz ten zresztą był śmiechu warty, bo Niemcy niemal w ogóle go nie respektowali, podobnie jak wydanego 12 sierpnia zakazu mordowania mężczyzn-cywili, a 3 września – wziętych do niewoli powstańców. Mordowali, palili, rabowali i gwałcili podczas wszystkich 63 dni trwania powstania warszawskiego.

WYROK NA MIASTO

Wyrok na Warszawę wydał sam Adolf Hitler. Brzmiał on (wedle powojennych zeznań Bacha): „Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy". Führer – rozwścieczony dodatkowo ofensywami wrogów na zachodzie i wschodzie oraz przeprowadzonym 10 dni wcześniej zamachem na własne życie – podzielał sadystyczną euforię Reichsführera SS Heinricha Himmlera. Wybuch powstania uznał on za okazję do rozprawienia się nareszcie z niepokornym miastem i dokończenia rzezi elity polskiego narodu. Zadanie zorganizowania odsieczy dla warszawskiego garnizonu powierzył 1 sierpnia Himmlerowi (a ten Bachowi) oraz szefowi sztabu generalnego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (OKH) gen. Heinzowi Guderianowi. Ten przedstawiciel „rycerskiego" Wehrmachtu zapewniał generalnego gubernatora Hansa Franka, że „z całą bezwzględnością zostanie wydany wyrok na to miasto". Dla dowódcy brygady nie-

eprasa.pl 74272a8403

mieckich kryminalistów SS-Oberführera Oskara Dirlewangera ów wyrok przybrał postać karteluszka z napisanym ołówkiem ręką Himmlera rozkazem: „Zabijać, kogo zechce, według swego upodobania".

Mieszkańcy stolicy ginęli latem 1944 r. wskutek niemieckich bombardowań z ziemi i powietrza, straszliwych warunków życia, często bez jedzenia, wody i pomocy lekarskiej. Szacuje się, że tak straciło życie dwie trzecie spośród 180 tys. zabitych warszawiaków. Innych zamordowali Niemcy i ich kolaboranci ze ZSRS: rozstrzeliwując, pędząc jako „żywe tarcze" na barykady, paląc żywcem, tłukąc kolbami i buciorami, roztrzaskując o mur główki dzieci, zamęczając na śmierć gwałcone kobiety.

Cywili mordowano od 1 sierpnia na rozkaz gen. Reinera Stahela, który jako dowódca garnizonu warszawskiego miał prawo „zastosować wszelkie środki w stosunku do ludności cywilnej w Warszawie konieczne dla utrzymania spokoju, bezpieczeństwa i porządku". Rozstrzeliwano między innymi warszawiaków z ulic Powązkowskiej w Forcie Bema, Racławickiej i z okolic w Forcie Mokotowskim, z ulicy Flory w kazamatach na Szucha.

Odznaka kolaboracyjnej RONA

FOT. ARCHIWUM

Następnego dnia w bestialski sposób zabito kilkunastu kapłanów i braci zakonnych oraz ponad 20 cywili – w tym osiem kobiet i 10-letniego chłopca – ukrywających się na terenie jezuickiego Domu Pisarzy przy ulicy Rakowieckiej 61. Świadkowie zeznawali, że SS-manom z koszar przy Rakowieckiej (Stauferkaserne) towarzyszył inny 10-letni chłopiec – z niemieckiej rodziny – który wskazywał oprawcom tych Polaków, którzy dawali jeszcze oznaki życia: „Jego dziecięcy głos rozlega się co jakiś czas. »Achtung! Der lebt noch! O hier, hier, er atmet noch!«. Za ruchem jego rączki idą SS-mani, a potem rozlega się seria, której towarzyszy dziecięcy śmiech i klaskanie w ręce".

Mokotów i południowe Śródmieście doznały metodycznej rzezi. To stąd spędzano mieszkańców i rozstrzeliwano ich w Stauferkaserne, przy komendzie policji na Dworkowej, na terenie więzienia mokotowskiego, w Alejach Ujazdowskich (w dawnej siedzibie GISZ), na Szucha. Stąd gnano „żywe tarcze" na barykady w rejonie placu Zbawiciela.

Po 3 sierpnia przyszła pacyfikacja Ochoty, gdzie hordy byłych obywateli ZSRS z brygady RONA SS-Brigadeführera Bronisława Kamińskiego pozbawiły życia niemal 10 tys. warszawiaków. Ulice Grójecka, Korzeniowskiego, aleja Niepodległości, Instytut Radowy przy Wawelskiej spłynęły krwią. Ludzi spędzano głównie na „Zieleniak" przy ulicy Banacha. Pijani ronowcy grabili tam wypędzonych oraz wyciągali z tłumu młode kobiety i dziewczęta, które gwałcili na terenie targowiska lub w pobliskim Liceum im. Hugona Kołłątaja. Niejednokrotnie strzelali do osadzonych dla rozrywki.

Podczas powstania codziennie ginęły setki i tysiące mieszkańców. Najstraszliwsze chwile czekały ich po opuszczeniu kolejnych rejonów miasta przez powstańców, kiedy dostawali się w łapy rozjuszonego żołdactwa niemieckiego i (byłego) sowieckiego. Tak było na przełomie sierpnia i września na Starym Mieście, pod koniec września na Powiślu i Marymoncie, na Czerniakowie i na Mokotowie. Jednak wcześniej wróg zdobył Wolę...

Liczne relacje z rzezi Woli, która trwała w pierwszej dekadzie sierpnia, zebrał PCK już jesienią 1944 r. Szczególnie wstrząsające jest świadectwo Wandy Lurie, którą wraz z trojgiem dzieci wyprowadzono na miejsce straceń w fabryce Ursus.

„Wybierano nas i ustawiano czwórkami i czwórkami prowadzono w głąb drugiego podwórza, do leżącego tam stosu trupów – wspominała pani Lurie. – Gdy czwórka dochodziła do stosu, strzelali z rewolwerów z tyłu w kark. Zabici padali na stos, podchodzili następni. Przy ustawianiu ludzie się wyrywali, krzyczeli, błagali, modlili się... Ja byłam w ostatniej czwórce. Błagałam otaczających nas Ukraińców, aby mnie i dzieci ocalili. Pytali, czy ja mam się czym wykupić. Miałam przy sobie znaczną ilość złota i to im dałam. Wzięli wszystko, chcąc mnie wyprowadzić, jednak kierujący egzekucją Niemiec, który to widział, nie pozwolił im na to. A gdy błagałam, całowałam go po rękach, odpychał mnie i wołał: »Prędzej«. Popchnięta przez niego przewróciłam się. Uderzył też i pchnął mojego starszego synka, wołając: »Prędzej, prędzej, ty polski bandyto«.

W ostatniej czwórce, razem z trojgiem dzieci podeszłam do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą – rączkę starszego synka. Dzieci szły, płacząc i modląc się. Starszy, widząc zabitych, wołał, że nas zabiją, i wzywał ojca. Pierwszy strzał położył starszego synka, drugi ugodził mnie, następne zabiły młodsze dzieci... Kula trafiła [mnie] w kark z lewej strony, przeszła przez dolną część czaszki i wyszła przez policzek. Wyplułam kilka zębów... Czułam odrętwienie lewej części głowy i ciała, byłam jednak przytomna i widziałam wszystko, co się dzieje dookoła... Wprowadzono dalsze partie mężczyzn; słychać było krzyki, błagania, jęki, strzały... Trupy tych mężczyzn waliły się na mnie – leżało na mnie czterech mężczyzn. Po tej grupie widziałam jeszcze partię kobiet i dzieci – tak grupa za grupą aż do późnego wieczora... W przerwach oprawcy chodzili po trupach, kopali, przewracali, dobijając żywych i rabując kosztowności. Mnie zdjęli z ręki zegarek; bojąc się, nie dawałam znaku życia. Oni ciał nie dotykali rękami, tylko przez jakieś specjalne szmatki. W czasie tych okropnych czynności śpiewali i pili wódkę".

Nikt już nie policzy, ile było ofiar rzezi Woli – 30, 40, a może 50 tys. Na ulicy Wolskiej rozstrzeliwano w 20 miejscach. Oto niektóre z nich: Wolska 2/4, Szpital św. Łazarza – 700 zamordowanych, Wolska 43/45, Fabryka Franaszka – 3 tys. zamordowanych, Wolska 55, fabryka Ursus – 5 tys. zamordowanych, Wolska 105/109, Domy Hankiewicza – 2 tys. zamordowanych. Zabijano chorych i lekarzy, dzieci z sierocińca, harcerzy, księży i zakonnice. Nie było litości dla kobiet w ciąży.

Zapłonęły na ulicy Wolskiej stosy ciał ofiar zbrodni. Później Niemcy kazali spędzonym Polakom zakopać prochy pomordowanych. Według sprawozdań PCK na Woli zebrano po zakończeniu wojny osiem ton prochów zamordowanych. Liczba ta nie obejmuje niezważonych prochów z fabryki Ursus i Fabryki Franaszka, gdzie zamordowano po kilka tysięcy ludzi.

WIELKA GROZA

Podczas dwumiesięcznych walk oddziały powstańcze odniosły duże straty (10 tys. poległych oraz 6 tys. zaginionych, których należy uznać za zabitych). Rannych zostało około 20 tys. powstańców – w tym 5 tys. ciężko. Do niewoli trafiło blisko 15 tys. żołnierzy.

Jeńców mordowano, jeszcze zanim Hitler wydał rozkaz zniszczenia miasta. Byli

eprasa.pl 74272a8403

Sanitariuszka i żołnierz AK z pięknego i najbardziej dotkniętego przez los pokolenia w naszych dziejach

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

to na ogół ranni. Tak 1 sierpnia stracili życie żołnierze z kompanii por. „Kosmy", biorący udział w tragicznym ataku na siedzibę Sipo w alei Szucha, zaskoczeni przed zajęciem pozycji wyjściowych na Woli AK-owcy ze zgrupowań poruczników „Ostoi" i „Gromady", uczestnicy nieudanego ataku na niemieckie punkty oporu przy ulicy Rakowieckiej. Taki los spotkał także żołnierzy usiłujących zająć mosty Poniatowskiego i Kierbedzia, Fort Mokotów, tor wyścigów konnych na Służewcu i lotnisko Okęcie. SS-mani, kolaboranci oraz żołnierze Wehrmachtu mordowali ujętych powstańców na Mokotowie, Ochocie, Woli i – w miarę zdobywania kolejnych rejonów miasta – na Starówce, Powiślu, Marymoncie, Czerniakowie, Mokotowie i Żoliborzu.

Straszliwy los spotkał na przełomie sierpnia i września rannych ze szpitali powstańczych na Starym Mieście, m.in. w centralnym szpitalu powstańczym w Pałacu Raczyńskich przy ulicy Długiej 7 (około 430 ofiar), w szpitalu Pod Krzywą Latarnią przy ulicy Podwale 25 (około 100 ofiar), w szpitalu Czarny Łabędź przy ulicy Podwale 46 (blisko 30 ofiar), w szpitalu przy ulicy Kilińskiego 1/3 (około 50 ofiar). Wspominała Kamila Merwartowa: „Niemcy i Ukraińcy wpadają do szpitala powstańczego... Jak bydło zaczęli kopać i bić rannych leżących na ziemi, wyzywając ich od skurwysynów i polskich bandytów... Biedakom leżącym na ziemi roztrzaskiwali buciorami głowy, rycząc przy tym okropnie, kopiąc i waląc, gdzie tylko mogli. Krew i mózgi nieszczęsnych bryzgały na wszystkie strony".

W trzeciej dekadzie września ostatni żołnierze batalionu „Zośka" walczyli na Czerniakowie. Tych, którzy nie zeszli do kanałów lub nie rzucili się wpław przez Wisłę, ujęli i rozstrzeliwali na miejscu bandyci Dirlewangera. Świadkiem tego był między innymi Andrzej Wolski „Jur", który opowiadał mi o tym po latach. Przeżył dzięki interwencji jakiegoś łącznikowego oficera, który wrzaskiem przypomniał o uznaniu powstańców za kombatantów.

Życiem przypłacili omyłkę nieszczęśnicy, którzy podczas ewakuacji Mokotowa pod koniec września wyszli z kanałów przy ulicy Dworkowej, na terenie opanowanym przez Niemców. Pierwszego z nich natychmiast zastrzelono, a innym po przesłuchaniu kazano klęknąć na brzegu urwistej skarpy z rękami podniesionymi do góry. Kiedy jeden z nich nie wytrzymał napięcia i z okrzykiem: „Nie dajmy się zarżnąć jak barany!" chwycił za karabin najbliższego Niemca, a kilku innych spróbowało ucieczki, wszystkich 150 rozstrzelano. Rannych dobijano. Kolejnych 30 wyszło przez sąsiedni właz i też ich zamordowano. Trupy spychano w dół, do jeziorka zwanego Morskim Okiem. Znam relację płetwonurków, którzy po latach zeszli tam pod wodę. Mówili, że nigdy wcześniej nie czuli takiej grozy...

Anglosasi uznali powstańców za kombatantów dopiero 30 sierpnia (!). Niemcy uczynili to parę dni później, po utopieniu we krwi Starego Miasta. Jednak żołnierze Armii Krajowej od początku spełniali kryteria konwencji haskiej obowiązującej od 1907 r.:

„Art. 1. Ustawy, prawa i obowiązki wojenne stosują się nie tylko do armii, lecz również do pospolitego ruszenia i oddziałów ochotniczych, o ile odpowiadają one warunkom następującym:

1) jeżeli mają na czele osobę odpowiedzialną za swych podwładnych;

2) noszą stałą i dającą się rozpoznać z daleka odznakę wyróżniającą;

3) jawnie noszą broń;

4) przestrzegają w swych działaniach praw i zwyczajów wojennych.

W tych krajach, gdzie pospolite ruszenie lub oddziały ochotnicze stanowią armię lub wchodzą w jej skład, nazwa armii rozciąga się na nie".

Każde określenie pasowało do Armii Krajowej, która wystąpiła do walki jako Wojsko Polskie.

Cytowana na początku Zuzanna Biesiadecka mówiła: „Obrazy tamtych wydarzeń widzę dokładnie, jak widziałam je wówczas. Szczególnie wyraźnie widzę je w snach. W nich przychodzą do mnie umarli i żywi. Sąsiedzi z Woli. Ci, którzy spali na gruzach i ulicach, wstają powoli, otrzepują się z pyłu i machają do mnie ręką. Ja też unoszę rękę i odpowiadam na pozdrowienia. A potem się budzę i już nie mogę zasnąć aż do świtu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

FOT. UMIT BEKTAS/REUTERS/FORUM

„Strefa bezpieczeństwa" według Erdoğana

Witold Repetowicz

Turecki prezydent zagroził na początku września, że znów naśle na Europę strumień migrantów, jeśli Europa nie wesprze jego planu czystek etnicznych w północno-wschodniej Syrii. Ma to związek z ofensywą syryjską w opanowanej przez Al-Kaidę prowincji Idlib

Erdoğan w swym przemówieniu wygłoszonym 3 września w Ankarze oznajmił, że jeśli nie otrzyma adekwatnej pomocy, to „otworzy bramy do Europy" uchodźcom przebywającym w Turcji. Turecki prezydent stwierdził, że „Turcja nie może tego ciężaru znosić sama", i wyjaśnił, że rozwiązaniem tej sytuacji może być tylko stworzenie tzw. strefy bezpieczeństwa na terenach opanowanych przez Kurdów w Syrii. Zasugerował także, że Turcja powinna posiadać broń atomową. Odbywa się to w atmosferze zacieśniania współpracy turecko-rosyjskiej i dokręcania śruby opozycji.

Problem w tym, że pod niewinną nazwą „strefy bezpieczeństwa" kryje się turecki projekt czystek etnicznych. Na terenach opanowanych przez zdominowane przez Kurdów Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF) – obejmujących ok. 30 proc. terytorium Syrii – mieszka obecnie ok. 5 mln osób, z czego mniej więcej połowa to Kurdowie. W Turcji zaś przebywa ok. 3,5 mln syryjskich uchodźców, przy czym są to w większości Arabowie z zachodniej Syrii, tj. terenów znajdujących się pod kontrolą Al-Assada.

Plan Turcji polega na tym, by zmusić co najmniej milion mieszkańców północnej Syrii, w tym nie tylko Kurdów, lecz także licznych tam jeszcze chrześcijan, do opuszczenia swoich domów i osiedlenia w nich Arabów. Projekt ten nie jest nowy i nosił niegdyś nazwę „pasa arabskiego", który miałby rozdzielić Kurdów mieszkających w Syrii i Turcji. Scenariusz czystek etnicznych został już skutecznie przeprowadzony w zajętym przez Turcję na początku 2018 r. kurdyjskim regionie Afrin. Terror protureckich bojówek dżihadystycznych, który tam zapanował, nie pozostawia złudzeń, nie tylko Kurdom, lecz także chrześcijanom, że na zajętych przez Turcję terenach miejsca dla nich nie ma.

Tymczasem w „strefie bezpieczeństwa", którą Turcja planuje urządzić w północno-wschodniej Syrii, może być jeszcze gorzej. Słowa Erdoğana o „otwarciu bram do Europy" są bowiem ściśle związane z syryjsko-rosyjską ofensywą podjętą niedawno w prowincji Idlib w północno-zachodniej Syrii. Teren ten jest opanowany przez dżihadystów, wśród których pierwsze skrzypce gra Hayat Tahrir asz-Szam, czyli po prostu syryjska Al-Kaida. W 2018 r. Rosjanie wymusili na Turcji zobowiązanie do oczyszczenia Idlibu z Al-Kaidy, co było warunkiem niepodejmowania ofensywy. Turcy wprowadzili tam swoje wojska, ustanowili kilkanaście punktów obserwacyjnych i – jak się można było spodziewać – nie zrobili nic.

21 sierpnia syryjska armia zajęła miasto Chan Szajchun, a jeden z tureckich punktów obserwacyjnych został okrą-

eprasa.pl 74272a8403

żony. Tydzień później Erdoğan poleciał do Moskwy, ale bynajmniej nie po to, by skłonić Rosjan do zaprzestania ofensywy w Idlibie, gdyż wiedział, że usłyszy od Putina krótkie „niet". Tureckiego prezydenta, a zarazem przywódcę jednego z państw NATO, bardziej interesowała perspektywa zakupu rosyjskiego uzbrojenia. Gdy po obejrzeniu rosyjskich samolotów Su-57 Erdoğan prosił Putina, by postawił mu lody, w okolicach syryjskiej Hamy, rosyjskie samoloty zbombardowały turecki punkt obserwacyjny. Tureckiemu liderowi nie popsuło to humoru, ale jak wrócił do Turcji, winą za sytuację w Idlibie obarczył oczywiście Europę i USA.

Nie ma co doszukiwać się logiki w tym rozumowaniu. Sprawa jest bowiem prosta. Erdoğan nie po raz pierwszy wystawił syryjskich dżihadystów do wiatru, uznając swoje deale z Rosją za ważniejsze. Zawsze udawało mu się jednak zachować pozory, że to nie jego wina, tylko Zachodu. Problem w tym, że syryjscy dżihadyści przestają to kupować. Jeśli stracą Idlib, to pozostaną z niczym, w dodatku znajdą się w Turcji i jeśli Erdoğan nic im nie da, to będzie miał gigantyczny problem. Już teraz Turcy z coraz większą niechęcią odnoszą się do syryjskich uchodźców, na co wpływ ma również pogarszająca się sytuacja ekonomiczna w tym kraju. To z kolei efekt gospodarczych szaleństw Erdoğana i jego antyzachodniej polityki. Ponadto w Turcji od kilku lat struktury dżihadystów mają się świetnie. Tymczasem według niektórych prognoz z Idlibu może nadejść fala nawet 2 mln uchodźców, spośród których większość stanowić będą radykalni islamiści, w tym tysiące terrorystów.

GRA NA DWIE BRAMKI

Erdoğan ma więc tylko dwa wyjścia z tej sytuacji. Albo doprowadzi do tego, że dżihadyści z Al-Kaidą na czele dostaną nowe terytorium na swoje quasi-państwo, albo też dopóty będzie starał się ich wysłać do Europy, dopóki frustracja jego dotychczasowych sojuszników nie skłoni ich do obrócenia się przeciw niemu. A niedawno wyszły na jaw nowe dowody na bliską współpracę tureckiego wywiadu MIT z Państwem Islamskim. Chodzi o notatkę ze spotkania, do którego doszło w Ankarze w maju 2016 r. między agentami MIT a Ilhamem Balim, odpowiedzialnym za wiele zamachów terrorystycznych Państwa Islamskiego, m.in. w Ankarze w październiku 2015 r., w którym zginęło ponad 100 osób. Bali utrzymywał też ścisłe kontakty z komórką terrorystyczną z belgijskiego Molenbeek, odpowiedzialną za najkrwawsze zamachy w Europie. A w 2016 r. ich seria trwała w najlepsze. Odpowiedzialność rządzącej w Turcji Partii Sprawiedliwości i Rozwoju za zamachy, które miały miejsce w tureckich miastach Suruç, Diyarbakır i Ankara (zginęło w nich łącznie 140 osób), zasugerował też w końcu sierpnia były premier Turcji Ahmet Davutoğlu. Celem tych działań miało być wygranie powtórzonych wyborów.

Warto przypomnieć, że spadek zagrożenia terrorystycznego w Europie nastąpił po tym, jak SDF zdobyły stolicę Państwa Islamskiego – Rakkę. Oddziały te, będąc w koalicji z USA, w marcu tego roku zadały ostateczny cios „kalifatowi", ale wciąż zmagają się z zagrożeniem ukrytych komórek tej terrorystycznej organizacji. Mają też kilka tysięcy dżihadystycznych jeńców, w tym wielu Europejczyków pragnących wrócić do domu. I nie zamierzają pozwolić, by na terenach, które wydarli Państwu Islamskiemu, płacąc za to cenę 10 tys. poległych żołnierzy, teraz Turcja zainstalowała dżihadystów spod znaku Al-Kaidy, a Kurdów przepędzono. Plan turecki oznacza zatem nową wojnę, odrodzenie się Państwa Islamskiego, a także stworzenie dżihadystycznego gniazda os, które prędzej czy później przylecą do Europy, by nas żądlić zamachami. Pomijam już to, że czystki etniczne to zbrodnia przeciw ludzkości.

Druga opcja, tj. skierowanie strumienia migrantów na Europę, to zapowiedź powtórki z 2015 r., choć być może nawet na większą skalę (kilku milionów) i przy znacznie większej infiltracji przybyszów przez „zdemobilizowanych" terrorystów. W końcu Erdoğan będzie się chciał pozbyć kilkudziesięciu tysięcy dżihadystów, których zdradził dla kontraktów z Rosją. To z całą pewnością doprowadzi do nowej destabilizacji, kłótni o relokację i zamachów terrorystycznych.

Europa ma narzędzia obrony przed takim scenariuszem, ale nie chce po nie sięgać. W 2015 r. nikt nie miał wątpliwości, że ten sam MIT, który omawiał z przedstawicielami Państwa Islamskiego wspólne działania, stymulował też napływ migrantów do Europy. Zamiast jednak nałożyć na Turcję sankcje gospodarcze za takie działania, co w krótkim czasie doprowadziłoby do załamania bardzo wrażliwej gospodarki tureckiej, Europa postanowiła zapłacić 6 mld euro łapówki. A blokowanie szlaków bałkańskich, co miało kluczowe znaczenie dla wstrzymania tej migracji, spotykało się z krytyką przywódców UE.

DOKRĘCANIE ŚRUBY

Już teraz widać pewne ożywienie na migracyjnym szlaku wschodniośródziemnomorskim, choć jest to jeszcze zaledwie lekki wietrzyk, mogący jednak zwiastować potężną burzę. Od stycznia do lipca ponad 28 tys. osób nielegalnie przedostało się do UE z Turcji, jednak w okresie lipiec–sierpień do Grecji przybyło 12 tys. migrantów, a w ostatnim tygodniu sierpnia tylko jednego dnia na Lesbos dotarło 650 osób. Co jednak ciekawe, trzecią największą grupą wśród tych przybyszów stali się obywatele Turcji. Już w 2018 r. liczba uciekinierów przed represjami tureckiej dyktatury gwałtownie wzrosła i grupa ta stanowiła 15 proc. ogółu migrantów na szlaku wschodniośródziemnomorskim.

A Erdoğan dokręca śrubę opozycji, słusznie przewidując, że zastraszona perspektywą nowego ataku migrantami Europa nie piśnie słowa w obronie resztek tureckiej demokracji. W końcu sierpnia władze usunęły z urzędów wybranych raptem w marcu burmistrzów największych kurdyjskich miast, tj. Mardin, Diyarbakır i Van, gdyż byli z kurdyjskiej partii HDP. Aresztowały też niemal pół tysiąca działaczy tej partii. A na początku września na 10 lat więzienia skazana została szefowa największej partii opozycyjnej, tj. CHP, w Stambule Canan Kaftancıoğlu – za „propagandę terrorystyczną". Szef MSW zasugerował też możliwość usunięcia z urzędu burmistrza Stambułu, który dwukrotnie wygrał tam wybory (pierwszy wybór został unieważniony). Ekrem İmamoğlu uważany jest za przyszłego kandydata opozycji na prezydenta. Jednak na początku września turecka komisja wyborcza podpisała umowę o współpracy ze swoim rosyjskim odpowiednikiem, co stawia szanse İmamoğlu na zwycięstwo pod dużym znakiem zapytania.

Turecki prezydent wpadł jednak jeszcze na jeden pomysł, by zapewnić sobie bezpieczną przyszłość dyktatora nie do ruszenia. Czy bowiem Trump rozmawiałby z Kim Dzong Unem w takim stylu jak obecnie, gdyby koreański przywódca nie miał broni nuklearnej? Dlatego Erdoğan ogłosił 4 września, że „każde rozwinięte państwo" ma broń nuklearną i dlatego dla Turcji jest nie do zaakceptowania, że ona takowej nie posiada. Całe szczęście droga do tego jeszcze daleka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

FOT. ADOBE STOCK

OBROŃCY KLIMATU W LODZIE

Arktyczny statek wycieczkowy MS „Malmö" utknął w lodzie w archipelagu Svalbard (pomiędzy Norwegią a biegunem północnym). Nie byłoby w tym nic ciekawego, gdyby nie to, że na jego pokładzie płynęli aktywiści Climate Change Warriors, którzy nagrywali film dokumentalny o tym, jak katastrofalnie ociepla się klimat i topnieją lody. Wraz z nimi płynęli też turyści zainteresowani obserwowaniem zmian klimatycznych. Szesnastu wojowników o ocalenie klimatu ewakuowano helikopterem.

MACRON CHCE KARAĆ ZA NIEPRZYJMOWANIE IMIGRANTÓW

Prezydent Francji (to tam, gdzie niezadowoleni mieszkańcy chodzą po ulicach w żółtych kamizelkach i palą samochody) uważa, że podobny dobrobyt należy zaprowadzić także w innych krajach. Emmanuel Macron podczas spotkania z premierem Włoch stwierdził, że opowiada się za „poważnym karaniem" tych krajów UE, które nie uczestniczą w „europejskiej solidarności" w kwestii przyjmowania migrantów.

AZJATYCKI EFEKT CIĄŻY

Para białych Amerykanów postanowiła mieć dziecko. Skorzystali z usług kliniki leczenia bezpłodności. Za 500 tys. dol. Instytut Medycyny Reprodukcyjnej i Nauki w Saint Barnabas pomógł im w zapłodnieniu. Gdy w 2013 r. na świat przyszła ich córka, po jakimś czasie rodzice zaczęli coraz wyraźniej dostrzegać u niej azjatyckie rysy twarzy. Przez to traumatyczne przeżycie para się rozwiodła. Teraz pozywają klinikę. Zdaniem ich prawnika medycy pomylili nasienie ojca z nasieniem innego dawcy.

ZŁOTY SEDES ZNIKNĄŁ

W rodzinnym domu Winstona Churchilla – w pałacu Blenheim – zorganizowano wystawę dzieł artysty Maurizio Cattelana. Jednym z eksponatów był sedes wykonany z 18-karatowego złota, wart ponad 4 mln dol. Toaleta była podłączona do sieci kanalizacyjnej i było można z niej korzystać. Dwa dni po inauguracji wystawy okazało się, że toaleta zniknęła. Policja uważa, że skok zrobił zorganizowany gang. Pałac został zalany i jest zamknięty.

BITWA O JAŁMUŻNĘ

Turyści sfilmowali awanturę, do której doszło na placu św. Piotra w Watykanie. Dwie stare, schorowane staruszki, żebrzące w tym miejscu, pokłóciły się o datek od jednego z przechodniów. Kobiety tak zapamiętały się w walce o pieniądze, że zaczęły okładać się laskami, aż spod ubrań wypadły im sztuczne garby. Podczas bójki nie wyglądały też mało sprawnie. ©℗

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Los muzeum wisi na włosku

ŁUKASZ WARZECHA

Oniemiałem. Od szwajcarskiego ambasadora w Polsce (z wywiadu w „DGP") dowiedziałem się, dlaczego na włosku zawisł los Muzeum Polskiego w Rapperswilu. To jedyna w swoim rodzaju placówka: prywatne muzeum, założone w 1870 r. przez hrabiego Władysława Plattera w miejscowym zamku, które stało się jednym z głównych ośrodków sprawy polskiej na Zachodzie. Od 1895 do 1927 r. na zamku złożona była urna z sercem Tadeusza Kościuszki, zmarłego właśnie w Szwajcarii. Po wojnie dzieje muzeum były burzliwe – nie miejsce tu na ich dokładne streszczanie. Placówka została po przerwie na nowo otwarta w 1975 r. w dawnym miejscu i w trudnych PRL-owskich czasach znów przypominała o wolnej Polsce.

A jednak los muzeum od paru lat jest w zawieszeniu za sprawą niechętnej postawy władz miasta. Ambasador Jürg Burri powiada, że rozumie, przychyla się i podziela sentyment, ale rząd federalny nie może przecież zmusić do niczego lokalnych włodarzy, a trzeba zrozumieć, że zamek musi być dostosowany – uwaga! – do potrzeb 400 wesel rocznie, które się na tam odbywają. Tak, dobrze państwo czytają: 150-letnia placówka może być zlikwidowana, bo zamek jest potrzebny na salę weselną.

Jedno daje nadzieję: Polska ma w Szwajcarii świetnego ambasadora, Jakuba Kumocha. To między innymi jemu zawdzięczamy spopularyzowanie zasług polskich dyplomatów, którzy w Szwajcarii w czasie wojny wystawiali Żydom fałszywe paszporty krajów południowoamerykańskich. Wiem, że ambasador Kumoch zrobi wszystko, aby muzeum uratować. ©℗

eprasa.pl 74272a8403

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl 74272a8403

Pułapka globalnego łańcucha

Jacek Krzemiński

Według raportu Fundacji Pomyśl o Przyszłości Polska już w 2009 r. przestała zmniejszać dystans dzielący ją od najbogatszych krajów zachodnich liczony wielkością PKB na mieszkańca. Dlaczego tak się dzieje?

Raport Fundacji Pomyśl o Przyszłości (założonej przez znanego przedsiębiorcę Ryszarda Florka) pt. „Polska globalnie. Jak wyjść z pułapki średniego rozwoju" porównuje rozwój gospodarczy Polski i najbogatszych krajów świata, w tym Korei Południowej. Korea, tak jak Chiny, Japonia czy Tajwan, postawiła na rozwój własnych firm i własnych technologii. Polska, podobnie jak Czechy, Słowacja i Węgry, postawiła od lat 90. XX w. na zagraniczne inwestycje i zagraniczne technologie.

Który model był lepszy? Korea Południowa rozwijała się w tym czasie dużo szybciej (mierząc to wzrostem PKB) niż nasz kraj i nasi południowi sąsiedzi. W 1985 r. PKB na jednego mieszkańca był w Korei na tym samym poziomie co w Polsce, a dziś jest on tam dwa razy wyższy.

Raport Fundacji Pomyśl o Przyszłości zestawia wzrost i wielkość PKB na jednego mieszkańca w Polsce oraz kilku najbogatszych krajach zachodnich: Niemczech, Szwecji, Danii, Austrii czy Szwajcarii. Wynika z niego, że w ostatniej dekadzie nie tylko nie nadgoniliśmy dystansu do tych krajów, lecz także ów dystans nawet się powiększył. Podobnie było w przypadku innych krajów z naszej części Europy. I tak w latach 2008–2017 PKB na jednego mieszkańca wzrósł: w Polsce o 2,6 tys. euro – do 12,2 tys. euro, w Czechach też o 2,6 tys. euro – 18,1 tys., na Słowacji o 3,4 tys. – do 15,6 tys., na Węgrzech o 2 tys. – do 12,7 tys., na Litwie o 4,7 tys. – do 14,9 tys., w Rumunii o 2,7 tys. euro – do 9,6 tys., w Estonii o 5,7 tys. – do 18 tys., na Łotwie o 2,7 tys. – do 13,9 tys., a w Bułgarii o 2,3 tys. – do 7,3 tys.

Podczas gdy w Niemczech o 7,9 tys. euro – do 39,6 tys. euro, w Szwajcarii o 22,2 tys. – do 71,2 tys., w Szwecji o 9 tys. – do 47,2 tys., w Danii o 6,8 tys. – do 50,8 tys., a w Austrii też o 6,8 tys. – do 42,1 tys.

Jak to możliwe, spytają niektórzy, skoro Polska, Słowacja czy kraje bałtyckie mają od lat wyższy wzrost gospodarczy niż państwa zachodnie? Odpowiedź jest banalnie prosta. Jeśli mamy 3–4-krotnie niższy PKB na głowę niż bogate kraje zachodnie, to powinniśmy mieć ponad 3–4-krotnie wyższy wzrost PKB, żeby skracać dystans dzielący nas od nich. A tak, niestety, nie jest.

KATASTROFA PRZEMYSŁOWA

Dlaczego inaczej było w przypadku azjatyckich tygrysów, które notowały

eprasa.pl 74272a8403

wzrost PKB na poziomie 10 proc. rocznie nawet przez kilka dekad? Raport „Polska globalnie" wskazuje kilka przyczyn. Przede wszystkim to, że polska gospodarka jest zdominowana w większości liczących się branż przez zagraniczne koncerny, z czym wiąże się sporo negatywnych następstw gospodarczych. To m.in. duży wypływ kapitału z Polski za granicę czy obniżone wpływy z podatku CIT, spowodowane stosowaną przez wiele międzynarodowych koncernów agresywną optymalizację podatkową. A zwłaszcza to, że polskie firmy, mając od lat na swym rodzimym rynku dużo większych i silniejszych konkurentów zachodnich, nie dysponując tak silnymi markami i budżetami reklamowymi, konkurują z nimi głównie ceną. To zaś obniża ich zyskowność (są dużo mniej zyskowne niż polskie oddziały zachodnich koncernów), hamuje ich wzrost, nie pozwala zgromadzić większego kapitału na rozwój i inwestycje.

Tymczasem wielu ekonomistów, ale także np. znana i renomowana międzynarodowa firma konsultingowa PwC, wskazuje, że bez licznych silnych rodzimych firm, które stworzą znane na całym świecie globalne marki, własne nowoczesne technologie, nasz kraj nie zacznie gonić gospodarczo bogatych krajów Zachodu. Skąd taki wniosek? Bardzo ciekawą odpowiedź na to pytanie można znaleźć w wynikach badań dr. Macieja Grodzickiego z Instytutu Ekonomii, Finansów i Zarządzania UJ, który analizował, jak sektor przemysłowy w Polsce, Czechach, na Słowacji i Węgrzech nadrabiał od lat 90. dystans dzielący go od przemysłu krajów zachodnich. Przedstawił on wyniki swych badań w książce pt. „Konwergencja w warunkach integracji gospodarczej. Grupa Wyszehradzka w globalnych łańcuchach wartości".

Doktor Grodzicki przypomina, że po 1989 r. przemysł tych krajów dotknął głęboki kryzys, który najdotkliwszy był w Polsce. Łączny spadek produkcji przemysłowej w państwach Grupy Wyszehradzkiej w latach 1989–1993 szacuje się na ponad jedną trzecią, a w Polsce – aż na 40 proc. „Andrzej Karpiński, Stanisław Paradysz, Paweł Soroka i inni (2015) określają polski przypadek mianem »katastrofy przemysłowej« i pokazują, że po 1989 r. zlikwidowano w Polsce 240 dużych zakładów przemysłowych, nieraz z zaawansowanym zapleczem badawczo-rozwojowym" – pisze Maciej Grodzicki.

Polski przemysł ucierpiał najbardziej, bo był bardziej zacofany niż u naszych południowych sąsiadów. Jednak nie tylko dlatego. „Do takiego rozwoju wypadków przyczyniły się, niestety, strategie transformacji ustrojowej" – ocenia dr Grodzicki. „Warunki prowadzenia polityki gospodarczej na początku lat 90. były niewątpliwie wyjątkowo trudne… Niemniej jednak nastawienie decydentów politycznych wobec krajowego przemysłu samo w sobie nie poprawiało jego sytuacji lub wręcz przyczyniało się do szokowego upadku. Mowa tu o takich decyzjach jak: nagłe wycofanie się z subwencji i z instrumentów ochrony handlowej, dobór strategii prywatyzacji (przyzwalanie na wrogie przejęcia, ideologiczna niechęć do własności państwowej), obciążanie przedsiębiorstw państwowych popiwkiem czy restrykcyjna polityka monetarna".

Olbrzymie znaczenie miało duże i szybkie otwarcie polskiego rynku na zagraniczne towary (poprzez m.in. znoszenie ceł na nie). W takich warunkach polscy producenci w konfrontacji z wielokrotnie większymi od nich zachodnimi koncernami, mającymi dużo nowocześniejsze technologie i produkty, nie mieli większych szans. Mimo to kolejne polskie rządy otwierały coraz szerzej polski rynek na zagraniczne towary, i to jeszcze wtedy, gdy nie musiały tego robić. Czyli na długo przed wejściem Polski do UE.

Aby odbudować i zmodernizować przemysł, kraje Grupy Wyszehradzkiej, w tym Polska, postawiły na inwestycje zagraniczne

Zupełnie inną politykę gospodarczą wybrały Japonia, Korea Południowa czy Chiny. Jak pisze dr Grodzicki, prowadziły one lub nadal prowadzą politykę protekcjonistyczną i na różne sposoby wspierają swój przemysł. „Do liberalizacji handlu i przepływów kapitału dochodziło w tych krajach stopniowo, wraz ze zwiększaniem potencjału rodzimych przedsiębiorstw" – wskazuje naukowiec.

KONKURENCJA KOSZTOWA

Aby odbudować i zmodernizować swój przemysł, kraje Grupy Wyszehradzkiej, w tym Polska, postawiły na inwestycje zagraniczne. I do pewnego czasu, jak wynika z badań dr. Grodzickiego, dawało to dobre efekty. Zachodnie koncerny wprowadzały bowiem do swych polskich fabryk najnowocześniejsze technologie i rozwiązania, a także kooperowały z rodzimymi producentami, zlecając im produkcję podzespołów i części. To wszystko unowocześniało polski przemysł i sprawiało także, że w szybkim tempie zwiększał się jego eksport. Polskie fabryki zachodnich koncernów były w dużej mierze nastawione na rynki zagraniczne.

Słabością tego kierunku było to, że opierał się on na modelu konkurencji kosztowej. Zagraniczne koncerny inwestowały w fabryki w Polsce czy na

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 74272a8403

Polska wciąż nie ma ani jednego globalnego koncernu działającego w dużej branży i mogącego poszczycić się znaną na całym świecie marką. Tymczasem nawet tak małe kraje zachodnie jak Dania, Austria, Szwajcaria i Holandia mogą się pochwalić wieloma takimi koncernami (powstały one w tych krajach i nadal mają tam główną siedzibę). Za przykład niech posłuży Dania, która jest siedmiokrotnie mniejsza od Polski i ma sześć razy mniej mieszkańców. Jej najbardziej znane firmy to:

Maersk – przewozy morskie, wydobycie – roczne przychody:	**34,5* mld euro**
Novo – biotechnologia, farmacja	**14,99 mld euro**
Arla – mleczarstwo	**10,33 mld euro**
DSV – transport kołowy	**10,1 mld euro**
Vestas – produkcja turbin wiatrowych (światowy lider)	**9,95 mld euro**
Danish Crown – przetwórstwo mięsne (największy przetwórca mięsa w Europie)	**8,33 mld euro**
Carlsberg – produkcja piwa	**8,3 mld euro**
Netto – sieć handlowa	**7,8 mld euro**
Danfoss – technika grzewcza	**5,8 mld euro**
Lego – zabawki	**4,7 mld euro**
Grundfos – technika grzewcza	**3,44 mld euro**
Jysk – wyposażenie domu	**3,35 mld euro**
Pandora – biżuteria	**3,1 mld euro**
VKR (Velux) – produkcja okien dachowych (światowy lider)	**2,5 mld euro**
Rockwool – produkcja materiałów budowlanych	**2,37 mld euro**
Falck – ratownictwo medyczne, karetki, opieka medyczna	**2 mld euro**

*dane, tak jak w przypadku wszystkich pozostałych firm, za 2017 r.
Źródło: Fundacja Pomyśl o Przyszłości

Słowacji głównie z dwóch powodów: bliskości dużych, zasobnych rynków zachodnioeuropejskich oraz dużo niższych kosztów produkcji niż na Zachodzie. Problem polegał na tym, że międzynarodowe koncerny stosują dziś powszechnie fragmentaryzację produkcji (to znaczy dzielą ją – jedne fabryki wytwarzają półprodukty, części i komponenty, a drugie montują je w całość), tworzą i zarządzają czymś, co nazywa się globalnymi łańcuchami wartości. Zaczynają się one od dostawców surowców, a kończą na centralach korporacji, które odpowiadają za zarządzanie, marketing i sprzedaż gotowych produktów, w których powstają nowe technologie, gdzie prowadzi się prace badawczo-rozwojowe oraz projektowe. Pomiędzy tymi dwoma skrajnymi ogniwami są wytwórcy półproduktów, części i podzespołów oraz firmy montujące je w gotowe produkty. Im wyżej jest się w tym łańcuchu wartości, tym więcej się zarabia, osiąga wyższe marże. A im niżej, tym większa konkurencja (im prostsze czynności do wykonania, tym więcej firm, które są w stanie je wykonywać) i mniejszy zarobek.

Szkopuł w tym, że – jak wskazuje dr Grodzicki – Polska, Czechy, Słowacja i Węgry należą do krajów najbardziej zintegrowanych z globalnymi łańcuchami wartości, ale stały się w nich tym średnim ogniwem: poddostawcą, podwykonawcą, montownią. Taką rolę odgrywają na ogół fabryki zagranicznych koncernów w Polsce, ale też zakłady produkcyjne kooperujących z nimi firm z polskim kapitałem. Wygląda to np. tak, że polskie firmy szyją ubrania na zlecenie zachodniej firmy odzieżowej, a ona sprzedaje je potem pod własną marką, osiągając dużo wyższą marżę niż polski podwykonawca. Tak samo jest z większością polskiego eksportu mebli czy nabiału.

Jedyna droga to tworzenie własnych silnych międzynarodowych marek i firm, które swoje centrale miałyby w Polsce

Polskie oddziały międzynarodowych koncernów na ogół nie tworzą nowych technologii, innowacji, nie ma w nich centrów badawczo-rozwojowych. Technologie powstają w ich centralach i stamtąd są ściągane. To jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego w rankingach innowacyjności Polska wciąż bardzo słabo wypada, wydaje dużo mniej na prace badawczo-rozwojowe niż bogate kraje zachodnie, ma dużo mniejszy od nich udział w produkcji i eksporcie produktów wysoko zaawansowanych technologicznie.

Jak zauważa dr Grodzicki, w globalnych łańcuchach wartości państwa dzielą się na kraje centralne, będące liderami technologicznymi, „producentami wiedzy naukowo-technicznej", i kraje peryferyjne. Te pierwsze to takie, które są najwyżej w tych łańcuchach, gdzie są centrale międzynarodowych koncernów, centra badawczo-rozwojowe, gdzie powstają nowe technologie. Kraje peryferyjne zaś to ich podwykonawcy i poddostawcy. Do tych drugich należą m.in. kraje Grupy Wyszehradzkiej, w tym Polska, które utknęły na tym poziomie w globalnych łańcuchach wartości. Skutkiem takiego stanu rzeczy było m.in. to, że pensje w tych krajach rosły bardzo wolno i wciąż są kilkakrotnie niższe niż w bogatych krajach zachodnich.

Kluczowe jest więc pytanie, jak w tych łańcuchach Polska może przesunąć się wyżej. Tylko wtedy będziemy bowiem mogli skracać dystans dzielący nas od bogatych krajów zachodnich. Międzynarodowe koncerny, które mają swe centrale w krajach zachodnich, musiałyby je przenieść do nas, by nam umożliwić taki awans. Jednak tak przecież się nie stanie. Jedyna droga to tworzenie własnych silnych, międzynarodowych marek i firm, które swe centrale miałyby w Polsce. Potrzebna jest do tego m.in. polityka przemysłowa państwa, ale odpowiednio ukierunkowana. Taką politykę prowadzą np. Niemcy. Polska po 1989 r. jej nie miała. Tworzy ją i próbuje realizować dopiero od niespełna czterech lat, ale na ocenę jej celności i skuteczności jest jeszcze za wcześnie.

Doktor Maciej Grodzicki zauważa, że przypadków awansu z grona państw peryferyjnych, słabiej rozwiniętych, do „państw centralnych" jest bardzo niewiele i „międzynarodowe nierówności gospodarcze w skali całego świata są nadzwyczaj trwałe, a nade wszystko powiększają się w czasie". Polsce nie będzie więc łatwo awansować do grupy najbogatszych państw świata. Jednak przykład choćby Korei Południowej wskazuje, że jest to możliwe.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem Polskiej Agencji Prasowej.

eprasa.pl 74272a8403

Z hybrydą nabierzesz rozpędu

Małe spalanie, duża zmiana

Już od **109 zł** netto*

*Przy wynajmie na 30 dni. Po pełną ofertę skontaktuj się z wybranym oddziałem Rentis

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 74272a8403

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Miłość do przedsiębiorców

Łatwo się domyślić, o co chodzi w trwającej od dawna serii „nieporozumień" w sprawie rozliczania przedsiębiorców – a to z podatków, a to ze składek do ZUS. O ich pieniądze. Któryż to już sezon tego serialu – kręconego w iście hitchcockowskim stylu – niedawno oglądaliśmy? I ile ich jeszcze nas czeka?

Ostatni sezon serialu „Miłość PiS do przedsiębiorców" rozpoczął się od słów premiera Morawieckiego, które padły w Lublinie i brzmiały tak: „Po wprowadzeniu małej działalności gospodarczej, czyli od przychodu, idziemy w kierunku liczenia ZUS od dochodu i takiego zagwarantowania, żeby było łatwiej tym, którzy mają niższe dochody, którzy się rozkręcają, inwestują". A zostały przez wielu zredukowane do stwierdzenia, że rząd „idzie w kierunku liczenia ZUS od dochodu", w domyśle: dochodu wszystkich przedsiębiorców. Czy był to uprawniony skrót wypowiedzi szefa rządu czy nieuprawniony – to jedna sprawa, a skąd wzięła się spora podatność odbiorców na ów zabieg i czy aby nie wiązała się z wcześniej zdradzanymi przez rząd PiS zakusami na dochody przedsiębiorców – to druga sprawa.

Warto bowiem przypomnieć, że serial ten zainaugurował trzy lata temu, u zarania rządów PiS, Henryk Kowalczyk, wtedy szef Stałego Komitetu Rady Ministrów w gabinecie Beaty Szydło, który we wrześniu 2016 r. obwieścił, iż „jest kierunkowa decyzja polityczna, że będzie wprowadzona jednolita danina, łącząca PIT oraz składki na ZUS i NFZ". I dodał, że przepisy te wejdą w życie na początku stycznia 2018 r. Po tygodniach medialnej zawieruchy, w niejasnych okolicznościach, od tamtej „decyzji politycznej" odstąpiono. A dwa i pół roku później, na wiosnę 2019 r. – i to był drugi sezon tego serialu – na czołówkach zagościła informacja o planie przeprowadzenia przez rząd „testu przedsiębiorcy", z czego politycy PiS także się szybko wycofali. Ale narastająca nieufność przedsiębiorców pozostała i trafiła teraz na podatny grunt.

Tak się bowiem dziwnym trafem składa, że skądinąd zrozumiały – z powodu szybko zwiększanych wydatków budżetu – apetyt rządu na pieniądze podatników kieruje się głównie ku nim. Chociaż przecież podobnej wielkości „rezerwy budżetowe", idące co roku w grube miliardy złotych, jeśli już rząd uparł się ich szukać, można znaleźć także w kieszeniach czy to rolników – którzy w ogóle nie płacą PIT i składek do ZUS, a tylko mikroskopijne składeczki do KRUS (rolnik mający gospodarstwo do 50 ha – 408 zł raz na kwartał, a jeśli dodatkowo prowadzi pozarolniczą działalność gospodarczą – 690 zł raz na kwartał) – czy funkcjonariuszy służb mundurowych, prokuratorów, sędziów lub górników, którzy cieszą się wielkimi przywilejami, np. emerytalnymi. Wszelako w ich przypadku nigdy nie pojawił się nawet cień podejrzenia, że rząd może mieć tego rodzaju zamiary. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Japońska stabilność

W zeszłym tygodniu byłem w Tokio, gdzie prezentowałem swój artykuł, w którym po raz pierwszy w historii udowodniłem – stosując metody sztucznej inteligencji – że ekonomiści są użyteczni. Jednym zdaniem, pokazałem, że automatyczna analiza dziennych analiz ekonomistów bankowych pozwala skutecznie przewidywać dane gospodarcze, nie można zaś tego osiągnąć, opierając się na gazetach. Ten felieton nie będzie jednak ani o ekonomistach, ani o sztucznej inteligencji, tylko o Japonii, a w zasadzie o Tokio.

Prawie 30 lat temu przez ponad rok pracowałem w Japonii jako informatyk, jeszcze jako student. W zeszłym tygodniu czułem się w Tokio, jakby czas stanął w miejscu. Wtedy płaciłem w automacie za butelkę mrożonej zielonej herbaty 100 jenów, teraz tak samo. Wtedy za metro płaciłem 150 jenów, teraz też. Ceny w restauracjach też się nie zmieniły. Dla porównania – jak pokazuję w swojej książce „Ekonomia w matriksie" – w tym okresie, a w zasadzie tylko w jego części – w latach 1989–2012 – ceny przykładowych towarów zmieniły się następująco: jajko z 3 gr na 60 gr, kilogram szynki z 1,89 zł na 23,88 zł, kilogram ziemniaków z 3 gr na 91 gr, buty męskie z 5,43 zł na 180,58 zł, a strzyżenie u fryzjera z 15 gr na 16,21 zł. Oczywiście można powiedzieć, że przecież w Polsce mieliśmy hiperinflację, ale to porównanie jest podobne też w krajach rozwiniętych, o czym można się przekonać, płacąc 8 dol. za kufel piwa w Bostonie.

Podczas gdy imigracja zmienia strukturę społeczną w wielu krajach Europy, czego najbardziej jaskrawym przykładem jest Szwecja z nowo powstałymi gettami imigrantów, gdzie nawet policja boi się wchodzić, Tokio pozostaje homogenicznym miastem, w którym cudzoziemców spotyka się rzadko poza miejscami głównych atrakcji turystycznych i centrami handlowymi w Shinjuku czy Shibuya. Tokio pozostaje też najbezpieczniejszym miastem świata, co prawdopodobnie też jest częściowo związane z ograniczoną imigracją ludzi z biednych krajów.

Wszystko działa tak punktualnie jak kiedyś, co do minuty, począwszy od odjazdu pociągów, a skończywszy na rozpoczęciu konferencji. Ciekawie było obserwować wystąpienie profesora z Turcji podczas panelu prowadzonego przez Japończyka, gdy występujący traktował czas relatywnie i właśnie się rozkręcał, a moderator przerwał mu po japońsku, bo jego czas minął. Cóż, różnice kulturowe.

Zauważyłem jedną zmianę podczas tego krótkiego pobytu. Było bardzo dużo ludzi w wieku sędziwego seniora, którzy pracowali, na przykład pilnując ruchu drogowego. To efekt starzenia się społeczeństwa i możemy tego samego spodziewać się w wielu krajach rozwiniętych, także w Polsce. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 74272a8403

Już 29 października

Konferencja

„Polska hekatomba i walka z polonofobią”

Co tydzień w tygodniku „Do Rzeczy”:

- 16 września – „Zbrodnie sowieckie”
- 23 września – „Zbrodnie nazistów przeciwko Polakom”
- 30 września – „Wołyń i Galicja Wschodnia”
- 14 października – „Ochrona prawa polskiej pamięci”

Szukaj także na DoRzeczy.pl

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizatorzy:

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl 74272a8403

Do przeprowadzenia ataku na rafinerię Abqaiq przyznał się ruch Huti z Jemenu FOT. SALAMPIX/ABACA/EAST NEWS

Atak na Arabię Saudyjską

Jakub Wozinski

Atak na rafinerię Abqaiq doprowadził nie tylko do wzrostu cen ropy na światowych rynkach, lecz także skomplikował plany wejścia na giełdę saudyjskiego giganta Aramco

Kilka dni przed atakiem, który doprowadził do największego wzrostu cen ropy od czasów I wojny w Zatoce Perskiej, do Dubaju przybyli przedstawiciele wielu wiodących instytucji finansowych na świecie. Pracownicy JP Morgan Chase & Co, Goldman Sachs, Citigroup, Credit Suisse, HSBC czy też Morgan Stanley zostali zaproszeni do hotelu Ritz, aby wspólnie z saudyjskimi władzami rozpocząć rozmowy na temat finalizacji jednej z największych operacji finansowych ostatnich lat. Królewski dom Saudów nosił się z zamiarem wprowadzenia naftowego potentata Aramco na giełdę już od wielu lat, jednakże dopiero niedawno prace w tym zakresie wyraźnie przyspieszyły. Przybyłych do Dubaju bankierów spotkała przykra niespodzianka. Straty spowodowane przez drony wydawały się w pierwszych godzinach po ataku na tyle istotne, że mogły nawet postawić debiut giełdowy pod wielkim znakiem zapytania.

CZARNA ŻYŁA ZŁOTA

Aramco to skrót pochodzący z czasów, gdy wydobyciem ropy naftowej na Półwyspie Arabskim zajmowali się Amerykanie. Należąca do rodziny Rockefellerów firma Standard Oil of California pojawiła się tam już w latach 20. ubiegłego wieku. W 1944 r. amerykańska spółka, która w międzyczasie przeszła zmiany własnościowe, została przemianowana na American Arabian Oil Company (w skrócie Aramco). Saudyjskie władze dostrzegały to, jak bardzo dochodowa potrafi być branża naftowa, i dlatego żądały od zagranicznych eksploatatorów złóż coraz większych ustępstw. Najpierw nakładały na nich wysokie podatki, a później przystąpiły do systematycznego wykupu. Taki właśnie los spotkał Aramco, które już w latach 70. musiało się podzielić z Saudami dużym pakietem udziałów.

Szczególnie istotnym okresem w dziejach naftowej spółki były lata 70. Popyt na ropę naftową stał się ogromny, a Arabia Saudyjska zaczęła nagle produkować nawet 9 mln baryłek dziennie (jeszcze w latach 50. wytwarzała nawet 10 razy mniej). W 1973 r. państwa arabskie zrzeszone w OPEC w odwecie za poparcie udzielone Izraelowi w wojnie Jom Kippur wprowadziły embargo na dostawy ropy naftowej do Stanów Zjednoczonych. Ceny surowca gwałtownie wzrosły, a cały świat zrozumiał, jak bardzo jest uzależniony od dostaw z Arabii Saudyjskiej i innych krajów arabskich.

W 1974 r. Stany Zjednoczone zawarły więc z władzami Arabii Saudyjskiej porozumienie wprowadzające schemat noszący niekiedy nazwę „recyklingu petrodolarowego". Ogromne ilości pieniędzy, które napływały na Półwysep Arabski, miały być odtąd inwestowane w amerykańskie obligacje, amerykańskie uzbrojenie lub trzymane na kontach w zachodnich bankach (głównie w Nowym Jorku lub Londynie). Saudyjczycy otrzymali jednocześnie zgodę na bezprecedensową modernizację swojego kraju, który w krótkim czasie stał się najbogatszym państwem całego regionu. W zamian zgodzili się na to, aby wszystkie rozliczenia związane z handlem ropą były dokonywane w amerykańskiej walucie.

Wielkim beneficjentem tego porozumienia okazało się Aramco, które już w 1980 r. przeszło w całości na własność saudyjskiego państwa. Oficjalna nazwa firmy została zmieniona na Saudi Arabian Oil Company, lecz bliskie związki ze Stanami Zjednoczonymi bynajmniej nie ustały. Według niektórych badaczy ścisła współpraca pomiędzy Amerykanami i Aramco była jedną z przyczyn, dla których Związek Sowiecki nie sprostał rywalizacji gospodarczej i ekonomicznej z USA. Zwiększone silnie po 1985 r. wydobycie ropy obniżyło jej światowe ceny nawet o 60 proc., co

eprasa.pl 74272a8403

stanowiło poważny cios dla sowieckiej gospodarki opartej w sporej mierze na surowcach. Miarą bliskiej współpracy obu państw pozostaje także fakt, że aż 25 proc. eksportu amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego w drugiej połowie XX w. trafiło właśnie do Arabii Saudyjskiej.

GOLIAT NAFTOWEGO RYNKU

Kilka dekad niezwykle pomyślnego rozwoju sprawiło, że obecnie Aramco urosło do roli prawdziwego giganta. W samym tylko 2018 r. przedsiębiorstwo wygenerowało aż 111 mld dol. czystego zysku, czyli więcej niż JP Morgan, Facebook, Alphabet i ExxonMobil razem wzięte. Oznacza to, że jest najbardziej dochodowym podmiotem na świecie. Mając do dyspozycji najbardziej roponośne obszary na świecie, Aramco stanowi dla saudyjskich władz prawdziwą żyłę złota i jednocześnie przedmiot niezwykle zaciętych walk o władzę i wpływy w ramach saudyjskiej rodziny królewskiej.

Kolejna odsłona tych właśnie zmagań miała miejsce niedawno, gdy na początku września nowym prezesem Aramco uczyniono Yasira al-Rumayyana, protegowanego następcy tronu, księcia Muhammada ibn Salmana. Jednocześnie dokonano zmian w zakresie kompetencji ministerstwa energii, minerałów i kopalń, dzieląc je na dwie części. Wszystkie te zmiany miały na celu przede wszystkim przyspieszenie prac umożliwiających wejście naftowego giganta na giełdę. Al-Rumayyan przystąpił do energicznych działań, czego wyrazem było chociażby wspomniane już spotkanie w Dubaju.

Dla wielu osób decyzja dynastii o tym, aby wprowadzić na giełdę swoją „perłę w koronie", może wydawać się kontrowersyjna chociażby ze względu na to, że wiąże się z częściowym oddaniem kontroli nad spółką. Publiczne notowanie akcji spółki wymaga m.in. dzielenia się na bieżąco istotnymi informacjami dotyczącymi jej stanu. Zgodnie jednak z ogłoszonym w 2016 r. przez następcę tronu księcia ibn Salmana oficjalnym programem „Wizja 2030" cały kraj ma ulec bardzo ważnym reformom. Oprócz zmian dotyczących kwestii ściśle społecznych (m.in. nadania większych praw kobietom) Arabia Saudyjska chce zdywersyfikować swoje źródła dochodu i nie polegać wyłącznie na ropie naftowej. Ryzyko opierania całej gospodarki wyłącznie na jednej branży stało się wystarczająco zauważalne w następstwie ataku dronów, które niewykryte przez żaden system ostrzegawczy zadały bardzo dotkliwe straty.

Wzorem innych państw Arabia Saudyjska chce wykorzystać pieniądze zdobyte za pomocą częściowej prywatyzacji państwowego majątku do dynamicznego wejścia na rynek nowych technologii i wspierania rodzimych start-upów. W planach jest także sprzedaż innych państwowych przedsiębiorstw (m.in. saudyjskiej poczty). Wszystkie transakcje związane z nowym kursem władz bledną jednak w porównaniu z wejściem na giełdę Aramco. Wedle oficjalnych danych saudyjskich władz przedsiębiorstwo jest warte nawet 2 bln dol. Ostrożniejsze szacunki mówią wprawdzie o 1,2 bln dol., choć i ta suma jest absolutnie astronomiczna nawet jak na współczesne standardy.

POPSUTE NASTROJE INWESTORÓW

Do tej pory światowy rekord w zakresie tzw. pierwszej oferty publicznej należy do chińskiej Alibaby (e-handel), która wchodząc w 2014 r. na giełdę, pozyskała 25 mld dol. Oferta Aramco ma docelowo pozyskać aż 100 mld dol., co chyba najlepiej ukazuje rozmach całego przedsięwzięcia. O tym, że saudyjski gigant jest już gotowy na nowe wyzwanie oraz że jednocześnie świat inwestorów nie może się doczekać okazji do świetnego zarobku, świadczy najlepiej fakt, iż kwietniowa emisja obligacji Aramco o wartości 12 mld dol. okazała się wielkim sukcesem i przyciągnęła kapitał z całego świata.

Atak na rafinerię w Abqaiq musiał bez wątpienia popsuć humory nie tylko w Arabii Saudyjskiej, lecz także praktycznie na całym świecie. Wprawdzie największa część akcji Aramco ma zostać sprzedana przy pomocy amerykańskich banków inwestycyjnych w Nowym Jorku, lecz Saudowie poczynili także odpowiednie starania na rzecz tego, aby spory pakiet akcji był dostępny również w Londynie, Tokio i Hongkongu. Do współpracy zaproszono także chińskie banki.

Jak jednak można było się spodziewać, najbardziej łakomy kąsek wynikający z wejścia Aramco na giełdę przypadnie kręgom związanym z władzą. Zgodnie z planami saudyjskiego rządu wielki debiut miał zostać poprzedzony sprzedażą 1 proc. akcji na giełdzie w Rijadzie jeszcze w tym roku, a następnie kolejnego 1 proc. na początku przyszłego. Dopiero wówczas do sprzedaży na całym świecie ma trafić kolejne 5 proc. akcji. Biorąc pod uwagę to, jak szybko wzrasta kurs akcji już w pierwszym dniu notowania tego rodzaju podmiotów co Aramco, można mieć pewność, że saudyjska klasa polityczna zarobi na całej prywatyzacji zawrotne sumy.

Bez względu na to, czy w wyniku ostatnich ataków wartość Aramco spadnie z powodu spodziewanej dalszej eskalacji konfliktu z Iranem lub komplikacji związanych z dostawami ropy (eksperci przekonują, że kluczowy będzie październik, gdy skończą się rezerwy), Saudowie mają świadomość, że lepszej okazji do zrobienia tak wielkiego interesu może już nie być. Chociaż w pierwszych godzinach po ataku ceny poszybowały w górę, od dłuższego czasu ropa nie jest już tak droga jak niegdyś. Wysiłki krajów OPEC, chcących utrzymać wysoką dochodowość produkcji poprzez zmniejszanie podaży surowca, nie przynoszą zamierzonych efektów. Kraje zrzeszone w kartelu mają coraz mniejszy udział w globalnym wydobyciu i coraz trudniej będzie im kształtować rynek ropy. Stany Zjednoczone, które jeszcze w latach 70. cierpiały z powodu kryzysu naftowego i szukały porozumienia z Arabią Saudyjską za wszelką cenę, już dziś są krajem, który nie musi importować ropy za sprawą rewolucji łupkowej.

WIELKI BIZNES PRZYMYKA OCZY

Wspierany przez Iran ruch Huti z Jemenu, który przyznał się do ostatniego ataku, już wcześniej atakował cele w Arabii Saudyjskiej, lecz tym razem udało mu się nawet poważnie pokrzyżować plany przedstawicieli potężnych banków, którzy pojawili się w Dubaju. Świat wielkich finansów nader chętnie przymyka oczy na to, że na saudyjskim partnerze biznesowym ciążą bardzo poważne grzechy. Oprócz tego, że Arabia Saudyjska od kilku dekad jest jednym z największych na świecie sponsorów muzułmańskich ugrupowań terrorystycznych, jej udział w wojnie w Jemenie ma wyjątkowo zbrodniczy charakter. Trwająca kilka lat całkowita blokada Jemenu doprowadziła do niewyobrażalnej i rzadko relacjonowanej w mediach tragedii humanitarnej. W efekcie kraj musiało opuścić ok. 3 mln osób. Wielkie banki z Wall Street czy też z londyńskiego City, które zgarną fortunę za giełdowy debiut Aramco, standardowo nie wnikają jednak w moralność swoich biznesowych partnerów. W szczególności gdy w przygotowaniu jest największa publiczna oferta giełdowa wszech czasów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 74272a8403

RYCERZE I WARCHOŁY

Przygoda księcia Czartoryskiego

JACEK KOMUDA

Kiedy za Augusta III Sasa na Zamku Królewskim w Warszawie trwało posiedzenie sejmu, dziedziniec, okolice kolumny Zygmunta i wszystkie przyległe uliczki zastawione były karetami i końmi, których pilnowali pachołkowie, stangreci, forysie i masztalerze. Jak pisze ks. Jędrzej Kitowicz: „Nudząc się w takim położeniu kilka godzin, czynili sobie rozrywkę z samych siebie i przechodzących. Najprzód sami między sobą eksperymentowali na bicze, harapniki i kańczugi o miejsca, na których się szykowali". Następnie znieważali przechodniów. Widząc mieszczanina czy szlachcica przechodzącego w wilczurze, krzyczeli gromadnie: „Hulu wilka! Hulu wilka!". Ujrzawszy kogoś w barankach lub lisach, dopóty darli się „Tiu lisiu, ha, tiu, lisiu, ha!" albo beczeli: „Beee! Bee!", dopóki ofiara nie znikła im z oczu. Jeszcze gorzej poczynali sobie, widząc samotne białogłowy. Jeśli jakaś przechodziła lub przejeżdżała nieopodal, została okrzyczana najgorszymi słowy. „To moja k…wa!" – darli się forysie. „Łżesz, nie twoja, moja! Ta z księdzem spała. Ta z moim panem spała! Ta z Żydem. Ta zarobiła tynfa".

Chociaż wyzwiska rozwydrzonej czeladzi były przykre, to nikt z miejscowych nie zwracał uwagi na te wybryki, czasem tylko „nakrywszy sobie głowę i twarz zasłoniwszy, uciekał co tchu z owego placu, jak złodziej, kiedy go gonią". Jedynym, który się nimi nie przejmował, był królewski błazen Józef, który czasem, wyjeżdżając z zamku, sam zaczynał beczeć albo też umyślnie jechał powoli, aby czeladź zmęczyła się beczeniem. Czasami nawet częstował ich tabaką, a kiedy kichali, na pożegnanie wypinał im siedzenie, odjeżdżając z gromkim salutem.

Kiedy sesja sejmowa zbliżała się do końca, woźnice zaczynali

FOT. WIKIPEDIA

się niecierpliwić i wywoływali swoich panów coraz gorszymi słowy. Krzyczeli: „A siadaj, łysy. Siadaj, ślepy. Siadaj, garbusie. Siadaj, szafrańcze. Siadaj, Bachusie. Siadaj, kulasie! Siadaj, gaszku" – wspomina Kitowicz. Kiedy zaś posłowie i senatorowie wychodzili z zamku, zaczynał się prawdziwy koniec świata. Każdy bowiem wołał swojego stangreta albo masztalerza, krzycząc: „Zajeżdżaj tu!" albo „Dawaj konia". Woźnice przedzierali się do wrót, bijąc nahajami, uszkadzając karety, zajeżdżając sobie drogę. „Hajducy także, lokaje, laufrowie i inna czeladź dworska, podług przemocy kijowej, a czasem i szabel, wiele pomagała do prędszego postawienia karety swojemu panu". Kto nie chciał narazić się na szkodę, czekał na powóz nawet godzinę i dłużej, aż karety zjechały z placu, a całe to kłębowisko, pierwowzór chyba dzisiejszego korka samochodowego, rozplątało się i rozjechało.

Dobry sposób na szybki wyjazd stosował książę Kazimierz Czartoryski, kasztelan wileński, a wcześniej podskarbi litewski. Człowiek, którego historia zapamiętała jako ojca dwóch wielkich synów: Michała Fryderyka, założyciela stronnictwa Familii, i Augusta Aleksandra, twórcy potęgi rodu, późniejszego regimentarza i wojewody ruskiego. Książę Kazimierz nie czekał, aż kareta przebije się do niego przez bramy i uliczki, ale sam wychodził, znajdywał ją i zajmował miejsce, zanim inni panowie doczekali przyjazdu swoich.

Pewnego razu Czartoryski, który był garbaty, ale umiał ten defekt doskonale ukryć, wyszedł z senatu sam jeden, unikając swej czeladzi, poszedł pieszo i znalazł swoją karetę, po czym niepostrzeżenie wsiadł do niej, właśnie wtedy, kiedy jego stangret, wychylony w stronę zamku, krzyczał:

– A siadajże, sk…synu, garbusie!

– Jestem ja tu już, panie Matiaszu! – zawołał w odpowiedzi książę z karety.

– Ha, kiedy tu wasza książęca mość jesteś – odparł struchlały stangret – to ja nie będę! – po czym uciekł. Książę na darmo wołał, prosząc, aby zawrócił, zaklinając, że uniknie kary. Nic to nie pomogło i Czartoryski, pozbawiony woźnicy, musiał czekać do późnej nocy, aż odnalazła go wreszcie i odwiozła do pałacu jego czeladź.

Podobne ekscesy działy się przy okazji zjazdów i uczt. Wszędzie tam, gdzie zjechało się wielu możnych panów, ich słudzy wywoływali różne ekscesy, nieraz po pijanemu, stając się przyczyną procesów sądowych i zwad.

Pijana czeladź Sapiehów zaatakowała w 1700 r. przez pomyłkę karocę Wiśniowieckich, dając początek wojnie domowej na Litwie, a w 1652 r. ludzie hetmana Janusza Radziwiłła pobili się z czeladzią Działyńskich, dając początek zamieszaniu, które skończyło się pierwszym zawetowaniem sejmu. Już 80 lat przed przygodą księcia Czartoryskiego niemiecki najemnik Hieronim Chrystian Holsten pisał, że polski pacholik „był diabła wart". ©℗

eprasa.pl 74272a8403

POLĘDWICZKI WIEPRZOWE MACIEJA WĄSIKA

Moim popisowym daniem są zrazy wołowe według przepisu, który zapożyczyłem od swojej teściowej. Robię je na święta i większe okazje, bo jest to danie dość pracochłonne. Zaproponuję więc coś innego i dużo szybszego. Są to polędwiczki wieprzowe w sosie śmietanowo-koperkowym. Jest to jedno z tych dań, które zbiera dobre recenzje mojej żony i dzieci.

Składniki:

- 1 kg polędwiczek
- rosół lub bulion warzywny
- śmietana
- koperek
- cebula
- marchewka
- por
- masło
- oliwa
- przyprawy: sól, pieprz, czosnek

Przygotowanie:

Kilogram polędwiczek myję, kroję w plastry, zbijam je na cienkie płaty. Później nacieram solą, pieprzem i czosnkiem, obsmażam z obu stron krótko na maśle z oliwą i wrzucam do garnka. Wlewam szklankę rosołu lub bulionu warzywnego, dorzucam pokrojoną w kostkę marchewkę, cebulę oraz por i duszę mięso, aż będzie miękkie.

Pod koniec duszenia dodaję śmietanę (mniej więcej 200 ml) i pęczek koperku.

Polędwiczki podajemy z kaszą lub z ziemniakami (co preferuję) i surówką. ©℗

oprac. raw

Maciej Wąsik jest posłem PiS i sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jeden śledź

JOANNA BOJAŃCZYK

Ta książka to nie jedna z tych, które pstrokatymi okładkami przepychają się w sieciowych księgarniach. Na taką książkę trzeba trafić. Trafiłam przypadkiem. „Idąc, wytyczasz drogę. Moje dzieciństwo i młodość w II Rzeczypospolitej" wydało Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w nakładzie, jak się domyślam, niewielkim. Autor Stanisław Szefler, zmarły w 1987 r. profesor Politechniki Warszawskiej, dziewiąte dziecko małorolnych, niepiśmiennych chłopów z Pomorza, opisuje w niej dzieciństwo i młodość. Opowieść kończy się w roku 1939.

Tego nie znajdzie się w podręcznikach historii. Opis jadłospisu chłopskiej rodziny i chłopskiego dziecka, barwny, rzeczowy, powinien się znajdować we współczesnych podręcznikach dla szkół podstawowych. Niechby przeczytały to dzieci, osaczone fast foodami i dostępnymi wszędzie tanimi słodyczami. Czy zrozumiałyby, co czuł ośmioletni chłopiec, gdy dostawał kilka razy do roku, jako specjalną nagrodę, jednego miodowego cukierka? Jeden cukierek, nie więcej! Mięsa ani owoców nie jadało się w domu autora. Gęsi i świnie były na sprzedaż. Na co dzień: kartofle, kasza, kapusta, buraki. Z przysmaków – jedno jabłko i dwa orzechy na Boże Narodzenie.

W tej opowieści o dzieciństwie najbardziej wzruszająca jest historia śledzia. „Na piątek, jeśli tylko trochę groszy w domu było, kupowało się śledzie. Nasz obiad w piątek to była ogromna misa wody zaprawionej trochę octem, cebulą i pieprzem. W tej ogromnej misie pływało zawsze za mało dzwonek śledzia. Do tego była ogromna misa dymiących kartofli. Do kartofli jedyną przyprawą była sól. Wody z octem, cebulą i pieprzem dostawało się na ogół pod dostatkiem, jeśli zaś chodzi o śledzie, to istniał ściśle ograniczony przydział. Jeśli dostawaliśmy po jednym dzwonku, to każdy z nas tak manewrował, żeby dostać większe dzwonko. Łapczywie zjadaliśmy nie tylko śledzia, ale długo wysysali słoność ze śledziowego kręgosłupa, który otrzymywało się w przydziale razem ze śledziowym dzwonkiem. [...] Nikt nie najadał się do syta".

★★★★☆☆

STANISŁAW SZEFLER „IDĄC, WYTYCZASZ DROGĘ"
WYDAWNICTWO NAUKOWE UMK

Któregoś dnia kilkuletni Staś został posłany do karczmy po śledzie. Tak bardzo miał ochotę zjeść całą rybę, nie tylko dzwonko, że za drobne oszczędności kupił jednego śledzia więcej. Nie zaniósł go jednak do domu, bo wiedział, że wtedy trafi on do puli ogólnej. „Zaszyłem się w krzewy nad Strugą i wrąbałem całego niemoczonego śledzia".

Orzeźwiająca to opowieść. Powinna być stosowana w ramach terapii współczesnych uzależnień, nie tylko od jedzenia, lecz także od wszystkich trujących zdobyczy cywilizacji. ©℗

eprasa.pl 74272a8403

NOWY „PAJĄK” OD FERRARI

Ferrari F8 Spider może złapać w swoją sieć wielu miłośników supersamochodów. Piękny kabriolet ma pod maską 3,9-litrowy silnik V8 o mocy aż 720 KM. Kierowca ma też do dyspozycji potężny moment obrotowy o maksymalnej wartości wynoszącej aż 770 niutonometrów. Taka moc sprawia, że rywal McLarena 720S Spider od zera do pierwszej setki przyspiesza w 2,8 s, a od zera do 200 km/godz. w zaledwie 8,2 s. Elektronicznie ograniczona prędkość maksymalna wynosi 340 km/godz. Auto wyposażone jest w sztywny, elektrycznie sterowany dach, który można składać lub rozkładać przy prędkości do 45 km/godz. Cały proces trwa mniej niż 15 s. Cena nie jest jeszcze znana, ale raczej będzie ona wyższa niż równowartość miliona złotych.

GIGANCI WALCZĄ O „500+”

Po przekroczeniu przez Bugatti Chirona 490 km/godz. do walki o nowy rekord ustawiają się kolejni producenci superszybkich samochodów. Granicę 500 km/godz. chce pobić szwedzki twórca superaut Christian von Koenigsegg. Do walki o nowy rekord stanąć zamierza również amerykański Hennessey.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NOWY ALARM URATUJE ŻYCIE DZIECKA

Najpóźniej do 2025 r. producenci samochodów sprzedawanych na terenie USA zaczną wyposażać swoje pojazdy w czujnik tylnego siedzenia. Dzięki niemu, jeśli kierowca będzie chciał opuścić pojazd, zapominając o dziecku, które śpi przypięte na kanapie z tyłu, komputer pokładowy uruchomi dźwiękowy oraz wizualny alarm, który przypomni o zabraniu pociechy. Nowy system ma zapobiegać przypadkom śmierci dzieci pozostawionych w samochodzie podczas upału. Według amerykańskich kongresmenów, którzy nakazali producentom opracowanie takiego systemu, w ciągu ostatnich dwóch dekad w USA zmarło w ten sposób ponad 800 dzieci.

ZNÓW ROZBILI NOWE AUTA

Organizacja Euro NCAP przeprowadziła nowe testy zderzeniowe. Na liście rozbitych nowiutkich aut znalazły się Audi A1, BMW Z4, Ford Focus, Mercedes CLA, Mercedes EQC, Škoda Kamiq, SsangYong Korando. Tym razem wynik był bardzo dobry: każdy z przetestowanych modeli uzyskał maksymalną notę pięciu gwiazdek. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 74272a8403

TEST „DO RZECZY": JABRA EVOLVE 65T

Dyskretny, minimalistyczny design, komfort użytkowania, bardzo dobra bateria oraz fantastyczna jakość dźwięku, zwłaszcza podczas rozmów telefonicznych – to największe zalety urządzenia reklamowanego jako pierwsze prawdziwie bezprzewodowe słuchawki dla ludzi biznesu.

Eleganckie matowe słuchawki otrzymujemy w gumowanym czarnym etui, które pełni jednocześnie funkcję kieszonkowej stacji ładującej. W zestawie otrzymujemy też dodatkowy futerał ze skóry syntetycznej, dzięki któremu nie ma ryzyka porysowania etui.

Lekkie słuchawki (lewa waży 5,9 g, prawa 6,7 g) bardzo dobrze trzymają się w uchu. Nadają się więc nie tylko do prowadzenia rozmów biznesowych, lecz także bez obaw można je zabrać na ćwiczenia do siłowni czy jogging w parku.

Największą zaletą tego modelu jest jednak jakość dźwięku podczas rozmów telefonicznych. Dźwięk jest czysty. Rozmówcy doceniają to, że słuchawki zostały wyposażone aż w cztery mikrofony, i wskazują, iż zdecydowanie lepiej nas słychać. Zapewne to dzięki nim Jabra Evolve 65t zdobyła certyfikaty Unified Communications, Skype for Business, Cisco Jabber etc. Testowany model w prosty sposób umożliwia też korzystanie z takich asystentów, jak Siri, Google Assistant czy Alexa. Plusem jest również możliwość podłączenia słuchawek do dwóch urządzeń jednocześnie (np. do laptopa i smartfona), za pomocą dołączonego adaptera USB. Można też używać tylko jednej słuchawki (np. w czasie rozmowy telefonicznej).

Jeśli chodzi o jakość audio, to tuż po wyjęciu z pudełka słuchawki grają więcej niż przyzwoicie, ale nie pokazują pełni swoich możliwości. Aby móc cieszyć się naprawdę dobrym dźwiękiem, trzeba ściągnąć na telefon aplikację Jabra Sound+ i za pomocą wbudowanego korektora dostosować ustawienia tak, aby model świetnie działał zarówno podczas rozmów, jak i podczas słuchania muzyki.

Zaletą tych słuchawek jest także to, że eliminują wiele niepożądanych odgłosów z otoczenia. Co prawda w sposób pasywny, a nie aktywny, ale i tak ułatwiają koncentrację w pracy. Na pochwałę zasługuje także bateria, która pozwala na używanie słuchawek do pięciu godzin na jednym ładowaniu. W połączeniu z kieszonkową stacją ładującą czas ten rośnie do 15 godzin.

Minusy? Drobne, ale jest ich kilka. Po pierwsze, szkoda, że w 2019 r. Jabra upiera się, aby ładować słuchawki za pomocą portu microUSB, a nie przez coraz popularniejsze USB typu C. Maksymalny zasięg, wynoszący ok. 10 m od źródła sygnału, wystarcza, aby swobodnie pochodzić sobie po gabinecie, ale są takie sytuacje, kiedy przydałoby się go nieco więcej.

Dla wielu wadą będzie też cena. Wynosi ona ok. 1,1 tys. zł i jest niestety porównywalna z ceną konkurencyjnych produktów tej klasy, np. testowanych już na łamach „Do Rzeczy" Sennheiser Momentum True Wireless. ©℗ ***Jacek Przybylski***

APARAT RETRO

Tęsknicie za zdjęciami uwiecznianymi nie w pliku JPG, ale na kliszy filmowej, za wywoływaniem w ciemni, za rozmazanymi cieniami, za wyłaniającymi się znikąd postaciami? Cóż, powrót do przeszłości fanom tradycyjnej fotografii zapewnia właśnie firma Yashica z Hongkongu, a to za sprawą aparatu o nazwie MF-1 Snapshot Art Camera.

MF-1 to prosty aparat fotograficzny Snapshot Art Camera, odpowiedni dla początkujących fotografów, przechodzących ze świata fotografii cyfrowej do świata fotografii filmowej z prędkością migawki 1/20 s i obiektywem F11 31 mm.

Zamawiać można na portalu Indiegogo w cenie ok. 130 zł, dostawa w październiku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WYJĄTKOWY DŁUGOPIS

Albo raczej kolejny z serii, których producent przekonuje, że są wyjątkowe. W każdym razie jeśli pasjonujecie się grafiką, chcielibyście mieć jeden długopis przez całe życie albo podarować komuś taki, który będzie dla niego wieloletnią sentymentalną pamiątką, to możecie pomyśleć o brytyjskim Mechanical Pen. Swoją drogą wygląda całkiem ładnie.

Długopis został wykonany z mosiądzu i ze stali nierdzewnej, szeroka średnica 10 mm i radełkowany uchwyt sprawiają, że wygodnie leży w dłoni, zmniejszając zmęczenie pisaniem. Jego serce to wkład ciśnieniowy Fisher PR4 (dostępny w sklepach Amazona).

Ten niezniszczalny długopis możecie zamówić za kwotę ok. 450 zł na Kickstarterze, dostawa w grudniu. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl 74272a8403

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Archetypy

Uczestniczyłem w Wejherowie w międzynarodowej konferencji naukowej poświęconej 80-leciu zbrodni pomorskiej, tj. niemieckiej akcji masowej eksterminacji polskich elit, która rozpoczęła się wraz z wkroczeniem pierwszych jednostek Wehrmachtu na Pomorze i trwała do końca 1939 r. Konferencja została wzbogacona filmami wyprodukowanymi na zlecenie Muzeum Piaśnickiego – instytucji powołanej do życia w grudniu 2015 r. (dopiero wtedy!). Lasy Piaśnickie nieopodal Wejherowa były świadkiem największej kaźni w ramach realizowanej przez państwo niemieckie „Intelligenzaktion" jesienią 1939 r. Rozstrzelano tam wtedy ok. 10 tys. (niektóre szacunki mówią nawet, że do 14 tys.) reprezentantów polskich elit – nauczycieli, działaczy politycznych, samorządowych, sędziów, księży. Ginęły bestialsko mordowane dzieci.

Po tej konferencji wiem jeszcze lepiej, jak bardzo mylą się ci, którzy uważają, że „o Wrześniu wiemy już wszystko", „Po co do tego wracać?", „Ile jeszcze?". A przecież pozostaje bardzo wiele kwestii do zbadania i ogrom pracy przed nami, gdy chodzi o upowszechnianie już zdobytej wiedzy. Choćby na temat zbrodniczej działalności niemieckiego Selbstschutz, czyli oddziałów samoobrony tworzonych na Pomorzu czy w Wielkopolsce przez reprezentantów lokalnej mniejszości niemieckiej. Jak pokazały zaprezentowane na wejherowskiej konferencji ustalenia naukowców, Selbstschutz, obok Wehrmachtu i Einsatzgruppen niemieckiej policji i służby bezpieczeństwa, był podstawowym elementem niemieckiej machiny terroru wymierzonego w polską ludność od pierwszych dni września 1939 r. Jak mówił jeden z dowódców Selbstschutzu na Pomorzu: „Najwyższym honorem dla Polaka jest to, aby jego ścierwo nawoziło niemiecką ziemię".

W przypadku Pomorza możemy więc mówić w wielu przypadkach – a miejsc kaźni Polaków jesienią 1939 r. na całym Pomorzu i Kujawach było ok. 90 – o mordowaniu sąsiadów (polskich) przez sąsiadów (niemieckich). Zjawisko, które zazwyczaj jest kojarzone z ludobójstwem popełnionym przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Tymczasem najpierw było Pomorze.

Tam dokonał się wówczas archetyp ludobójstwa, które na jeszcze większą skalę państwo niemieckie i jego agendy będą uprawiać w Europie Środkowej i Wschodniej po 22 czerwca 1941 r. Rozstrzeliwanie przez funkcjonariuszy Einsatzgruppen tysięcy rozebranych do naga ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci – przed wykopanymi wcześniej dołami śmierci, rabowanie pozostawionych przez ofiary kosztowności i odzieży – to wszystko miało miejsce dwa lata przed Babim Jarem i Ponarami w Lasach Piaśnickich, Karolewie czy Szpęgawsku i w wielu innych miejscach na Pomorzu, gdzie do końca 1939 r. niemieccy żołnierze i funkcjonariusze policji przy udziale niemieckich cywili wymordowali ok. 30 tys. członków polskiej elity.

Doły były wykopane w lesie, do którego ofiary zwożono ciężarówkami. Mówi się, że Piaśnica to „pomorski Katyń", ale przecież z racji chronologii to ta pierwsza jest archetypem dla sowieckiego ludobójstwa. Swoją drogą, jedno z najważniejszych pytań, które ciągle czekają na odpowiedź, brzmi: Czy jesienią 1939 r. byli na Pomorzu „obserwatorzy" z NKWD (od 28 września 1939 r. jest przecież w mocy formalny sojusz niemiecko-sowiecki przewidujący współpracę w zwalczaniu polskich „buntowników"), którzy potem – wiosną 1940 r. – „twórczo" kontynuowali w Katyniu proceder zbrodni podpatrzony u swoich niemieckich towarzyszy. Dopóki archiwa postsowieckie są niedostępne, dopóty można tylko spekulować.

Jeszcze jeden archetyp. O zbrodni Holokaustu myślimy obrazami. Jeden z najbardziej wstrząsających to obraz Janusza Korczaka idącego na śmierć ze swoimi podopiecznymi. Jesienią 1939 r. s. Alicja Kotowska – beatyfikowana w 1999 r. przez Jana Pawła II wraz z innymi ofiarami niemieckiego ludobójstwa – w drodze do ciężarówki, która miała zawieźć ją na miejsce kaźni, zauważyła błąkające się dziecko żydowskie. Przygarnęła je. Zaraz doszły kolejne, które tuląc się do niej, zmierzały ku śmierci. Czy naprawdę wiemy już wszystko o tamtych straszliwych czasach? ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 74272a8403

OKIEM JASTRZĘBIA

Przywilej nierozumienia

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Ech, jak państwo nic nie rozumieją, ech. Nie mówię tego z żadną wyższością czy coś, żeby była jasność. Artykułuję to z muśnięciem zazdrości… W ten sposób tak sobie nie rozumieć to dziś przywilej. Bo po prostu państwo to siedzą w tych tygodnikach opinii i zapewne czytają jeszcze państwo książki. A z tym to niełatwo świat dzisiejszy zrozumieć. I to prawda, życie, proszę państwa, jest nie tylko w tygodnikach opinii i książkach. Ono musi przebywać zarówno gdzie indziej. Niestety.

Taką opowiedzianą mi anegdotę przez bardzo słynną panią przytoczę, bo państwo to jesteście tak samo, tylko że odwrotnie. Otóż na elitarnych studiach w Polsce wykładowca, próbując wpleść w wykład finezyjny żart, spytał: „Wiecie, jakie były ostatnie słowa Włodzimierza Majakowskiego?”. Ponieważ młode audytorium nie wiedziało, wykładowca pewny, że żart się uda, rzekł: „Towarzysze, nie strzelajcie!”. Niestety, nikt się nie uśmiechnął, więc próbował napomknąć o niby-samobójstwie strzałem w serce w bolszewickiej Rosji. Nadaremno. Nikt nie wiedział, kto to Majakowski. Koniec żartu.

Edyta Górniak powiedziała z wyrzutem Cleo, że ta jej nie podziękowała za udział w programie „The Voice Kids”. Teraz tłumaczę w skrócie: w tym programie była Edyta, ale zachorowała jej mama, więc wskazała Cleo jako następczynię. I teraz Edyta udzieliła wywiadu, że Cleo to nawet jej nie podziękowała, a na to Cleo, że podziękowała, i to publicznie, i pokazała dowody w postaci wpisów dziękczynnych, a na to Edyta, że takie podziękowania to są za mało podziękowania i że pod presją, i weź może jednak podziękuj, a Cleo, że jest jej przykro i ona nie wie, jak bardziej podziękować, bo przecież podziękowała. A na to Edyta: „No proszę, nie podziękowała”. Nadmieniam, że wszystko, co napisałem, jest prawdą, ale wiem, że państwo nic z tego nie rozumieją, ponieważ to jest życie publiczne show-biznesowe, a nie jakieś tam książki, tygodniki opinii. Bardzo duża część społeczeństwa tym konfliktem się jednak przejmuje, no bo przecież ta nie podziękowała, a ta podziękowała, a tamta, że nie. To takie niesamowite. Albo ten hashtag (to taki znaczek #) SilniRazem. Część polityków PO mówi, że to wspaniały hashtag, a część, że nie, część, że nasz ci on i ku zwycięstwu powiedzie, a część się od niego odcina, jako od znaczka niosącego ze sobą emocje niskiej próby. Nadmieniam, że wszystko, co napisałem, jest prawdą, ale jeszcze to staram się zrozumieć.

Niezrozumienie części rzeczywistości zdaje się być dziś przywilejem elit. I nie świadczy to dobrze o rzeczywistości. Tutaj mi się przypomniał aforyzm Sławomira Kuligowskiego, z którego nie uśmiechną się ci, którzy konflikt Cleo – Edyta rozumieją. Oto aforyzmu prostota: „A taki Majakowski na przykład. Nie dość, że był poetą, to jeszcze wiersze pisał”. Są tacy, którzy wezmą to za informację. ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Tym gorzej dla faktów

MARCIN MAKOWSKI

Z kilku naukowców, którzy w spektakularnym stylu z branży badawczej postanowili powędrować do świata mediów, na szczególną uwagę zasługuje znany prawnik, prof. Marcin Matczak. Finezja, styl, humor, żelazna logika – to tylko cztery z bogatej palety przymiotników, którymi można opisać jego publicystykę. Zamiast o niej pisać, oddajmy profesorowi głos. W tekście „Polska PiS to naród, socjalizm i brak państwa prawa” w „Czarnej Księdze PiS-u” „Gazety Wyborczej” stawia on jakże sprytną tezę. Matczak pisze: „Nie zamierzam porównywać Kaczyńskiego do Hitlera ani PiS do nazistów. Znam prawo Godwina. Ale zarzucam wizji państwa, którą Kaczyński zaproponował, rzecz najgorszą: bezdenną głupotę. Cała ludzka historia pokazuje, że izolowany, oparty na chowie wsobnym biologiczny naród [...] jest skazany na porażkę, bo jest skazany na konflikt”.

– A ponieważ wybitny konstytucjonalista jeszcze kilkukrotnie w tekście przypisał Kaczyńskiemu lansowanie biologicznej definicji narodu, na której oparł przesłankę o „nieporównywaniu do Hitlera, ale”, postanowiłem poszukać źródła jego refleksji. Być może wzięła się z programu PiS? – pomyślałem. Niestety pudło, w nim bowiem napisane jest, że „choć narody mają swój etniczny rdzeń, są przede wszystkim wspólnotą polityczną i kulturową”. Jakkolwiekby te 230 stron wertować, nic o biologii.

Powodowany czystą ciekawością, postanowiłem o tę kwestię na Twitterze zapytać profesora. – W programie PiS jest też dużo o wolności i praworządności – puste słowa. Słyszał Pan, jak J. Kaczyński mówił na taśmach o prof. Śpiewaku per „żydowski profesor”? Czy Kaczyński czuje z Nim wspólnotę języka i kultury? – odpowiedział mi Matczak. – Jest Pan profesorem, stawia mocną tezę, nie podbudowując jej żadnym przykładem. Natomiast cały zapis programowy dotyczący narodu jest dokładną kontrą do tego, co Pan przedstawia jako fakt, o czym Pan milczy – nie dałem za wygraną. – Podbudowuję ją przykładami – wrogością wobec obcych i niechęcią do definicji narodu w obecnej konstytucji – ripostował profesor. – A nie prościej było napisać, „choć PiS w swoim programie definiuje naród tak a tak, ja uważam, że fakty mówią co innego”? – zasugerowałem. – Jarosław Kaczyński, kiedy krzyczał z mównicy o zdradzieckich mordach i oskarżał ludzi o morderstwo, nie bawił się w subtelności. Gdyby to zrobił, jego wypowiedź by na tym zyskała. Ja też nie zamierzam się bawić w subtelności, choć nikogo o morderstwo nie oskarżam – zakończył rozmowę ceniony badacz.

– To zjawisko można nazwać „Silnią Matczaka”. Występuje przy tak długim mnożeniu naturalnej tezy, aż osiągnie się oczekiwany efekt wzmożenia – wtrącił subtelnie pod naszą dyskusję Daniel Liszkiewicz z TVP. I widzą Państwo, jak można się pięknie różnić? A nie tylko hejty i brak argumentów. ©℗

eprasa.pl 74272a8403

KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Prezes nas ureguluje

JAROSŁAW KACZYŃSKI: ***W Polsce jest 370 czy nawet 380 zawodów reglamentowanych, które w tym czy innym sensie tworzą korporacje. Te zawody po prostu się zamykają. Po drugie, korporacje mają możliwość oceny swoich własnych członków i istnieje tendencja do tego, by te oceny były łagodzone przez różnego rodzaju korporacyjne lojalności.***

To oczywiście wypowiedź archiwalna, z 2011 r. Czy coś się zasadniczo zmieniło, że ówczesny krytyk zawodowych korporacji wpisał dzisiaj do wyborczego programu swojej partii utworzenie kolejnej – dziennikarskiej? Na dodatek całkiem wprost nawiązując przy tym do najbardziej przez siebie krytykowanych korporacji prawniczych, na których wzór miałaby być utworzona ta dziennikarska? „Wprowadzałaby ona rozwiązania podobne do tych, które mają inne zawody zaufania publicznego, np. prawnicy lub lekarze. Samorząd dbałby o standardy etyczne i zawodowe, dokonywał samoregulacji oraz odpowiadał za proces kształtowania adeptów dziennikarstwa" – czytam w uzasadnieniu propozycji Prawa i Sprawiedliwości i bardzo chciałabym, aby mnie ktoś uszczypnął. Rada Mediów Narodowych, Rada Etyki Mediów, Komisja Etyki TVP, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Towarzystwo Dziennikarskie – to tylko niektóre z już istniejących organizacji i organów, które mają stać na straży standardów dziennikarstwa, a jakie ono jest pilnowane przez tylu strażników – każdy widzi. Rozumiem, że PiS planując powołanie samorządu zawodowego, myśli więc o czymś większym, poważniejszym, z funkcjami, których te już istniejące ciała spełniać nie chcą, nie potrafią lub nie mogą. Przywołanie przykładu korporacji prawniczych czy lekarskich sugeruje, że ta dziennikarska także miałaby być obowiązkowa, a przy tym wyposażona w kompetencje większe niż wydawanie oświadczeń, których nikt nie traktuje poważnie. Na przykład pozbawianie prawa do wykonywania zawodu.

Co prawda nie jest to możliwe na gruncie obecnej konstytucji, która w art. 54 zapewnia każdemu „wolność pozyskiwania i rozpowszechniania informacji", ale wystarczy, że nowo utworzony samorząd będzie mógł orzec, kto z korzystających z takiej wolności zasługuje na miano dziennikarza, a kto jest tylko np. publikującą w tygodniku blogerką. A to tylko pozornie bez znaczenia, bo kolejnym krokiem może być odcięcie osób publikujących, ale przez korporację nieuznanych za dziennikarzy, nie tylko od akredytacji, ale przede wszystkim – wyjęcie spod dobrodziejstw tajemnicy dziennikarskiej jako prawnie chronionej.

Nietrudno sobie wyobrazić, kto stanie na czele powołanej przez PiS korporacji dziennikarskiej, nietrudno też sobie wyobrazić, jak będzie mógł wykorzystać daną mu władzę. Niedawno sam wicepremier Gliński przy okazji rozmowy o opisanej przez media gigantycznej niegospodarności w PFN kwestionował „dziennikarskość" jednego z lepszych i rzetelniejszych dziennikarzy – Andrzeja Stankiewicza. Gdyby tylko istniało jakieś ciało, które mogłoby orzec, że jakiś niewygodny dziennikarz nie jest dziennikarzem, a zatem nie ma prawa do ochrony swoich źródeł…

Mam nadzieję, choć niewielką, że jak przyjdzie do realizacji tej obietnicy, to środowisko się na chwilę zjednoczy ponad podziałami, bo nie mam złudzeń – każda kolejna władza będzie chętnie korzystać z narzędzi dyscyplinujących, które jej po sobie zostawi obecna. ©℗

PODSŁUCHANE

Coś się wymyśli

Panie Wojciechu, więc my tu mamy taki pomysł, żeby pan nam nagrał taki krótki spot, nie wprost za Platformą, ale żeby po prostu iść na wybory. Żeby można było pokazać, że to takie spontaniczne jest, a nie na nasze zamówienie.
Rozumiem, rozumiem… Ale co ma być konkretnie w tym spocie, panie Grzegorzu?

No… Nad tym to myśmy się nie zastanawiali. Taki znakomity aktor, myśleliśmy, że pan jakoś sam coś…
Bo ja wiem… Jakąś minę może zrobię i potem powiem, żeby iść głosować?

A jaką minę?
O, na przykład, taką: zatroskaną…

Ładnie, ale może…
Coś innego? No to taką, wkurzoną, że ci rządzą, wiadomo. O, proszę…

Też wspaniale, tylko jakby wciąż…
Ciągle nie to? No to może entuzjastyczną…

Pan to wspaniale robi, ale… Bo ja wiem? Tutaj, rozumie pan, trzeba przyciągnąć uwagę w kilka sekund.
Panie, no to co ja mam robić?! Język wywalić?! O, tak niby?!

Tak! Tak jest! To jest to! Znakomicie!
Ale jak ma z tego niby wynikać, że ludzie mają na wybory pójść?

A, to już tam wtórna sprawa. Coś się wymyśli. Ale mina! Mina cudna! Może pan jeszcze raz ten język? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Personel zakładów żywienia zbiorowego, pytany o składniki posiłków, zazwyczaj nie jest w stanie udzielić wyczerpującej informacji".

SYLWIA SPUREK, *eurodeputowana Wiosny, o stołówce dla europosłów w oficjalnej skardze do sekretarza generalnego Parlamentu Europejskiego*

eprasa.pl 74272a8403

Merdia (2)

fot. Jerzy Gumowski

Trwające wiele tygodni kłamliwe, bezsensowne straszenie przez Salon uczniów aspirujących do liceów, że z winy PiS–u zabraknie dla nich miejsc (miejsc było aż za dużo), to jeden z wielu kompromitujących opozycję dowodów na celność parafrazy znanego porzekadła: *„Tonący brzydko się chwyta”*. Salonowe media nie mają najmniejszych oporów wobec stosowania obrzydliwych propagandowych metod, gdy próbują wyperswadowywać elektoratowi popieranie PiS–u. Jednocześnie minimalizują/kamuflują wpadki własnej strony barykady. Swoich aktualnych lub byłych pupilków kompromitująco *„umoczonych”* — wybielają co sił, a kiedy już się nie da, starają się marginalizować lub przemilczać ich karygodne zachowanie, czego rażącym przykładem *„asy kierownicy”* (Czarzasty, Najsztub, Durczok) rozjeżdżający staruszki na pasach i słupki na szosach bez prawa jazdy, badań technicznych i po pijanemu. Albo *„Jurny Stefan”*. 31 stycznia 2019 główną polityczną wiadomością były od rana zarzuty korupcyjno–seksualne wobec związanego z PO posła Stefana Niesiołowskiego. Wieczorne telewizyjne dzienniki stacji niesalonowych („Wiadomości” TVP) i półsalonowych („Wydarzenia” POLSATU) dały je jako supernews na pierwszym miejscu, prezentując szeroko, tymczasem salonowe poświęciły sprawie kilkunastosekundowe mignięcia, i to na dalekich miejscach swych serwisów („Fakty” TVN na miejscu piątym, „Express” TTV na miejscu szóstym).

Szczególnie rażącym przykładem takich kuglarstw jest typowy dla salonowych mediów kunszt całkowitego przemilczania doskwierających im kwestii. Exemplum pedofilia. Nie wiem kto ma rację: czy salonowi dziennikarze, co wrzeszczą, że olbrzymia część duchowieństwa to pedofile, czy raczej obrońcy Kościoła, którzy twierdzą (jak chociażby Sebastian Karczewski, autor książki **„Pedofilią w Kościół. Oblicza kłamstwa”**, 2019), że to propagandowy antykościelny nonsens, typowa szczujnia lewackiego Salonu, bo przypadki pedofilii są wśród duchowieństwa bardzo nieliczne, rzadsze niż w innych grupach społecznych i branżach. Tego nie wiem, ale wiem, że nasi salonowcy, chętnie i głośno kolportujący informacje o przypadkach pedofilii wśród duchowieństwa amerykańskiego — ni jednym słowem nie wzmiankowali (ergo: całkowicie przemilczeli) fakt, że wielu duchownych oskarżonych i skazanych w USA trzeba było uniewinnić i uwolnić (wypuścić z więzień), gdy się okazało, że urządzająca na nich łowy organizacja SNAP razem ze *„zblatowanymi”* kancelariami prawnymi fabrykowała oskarżenia (dzisiaj Amerykanie zwą ten proceder szyderczo *„Przemysłem Pedofilia”*, w nawiązaniu do wcześniejszego terminu *„Przemysł Holocaust”*, tyczącego wyłudzania przez żydowskie organizacje *„odszkodowań”* dla ofiar *„Shoah”*). Milczy się też o tym, że amerykańscy biskupi okazali się idiotami, bo dawali się zastraszyć łatwo i wypłacali monstrualne *„zadośćuczynienia”* rzekomym ofiarom kościelnych pedofilów (czym doprowadzili sporo parafii do bankructw), nie sprawdzając rzetelności/prawdziwości dętych oskarżeń. Tacy są salonowi dziennikarze — umieją milczeć *„dla sprawy”*. Ich niedawna chluba, znany moralista Kamil Durczok (eksboss „Faktów” TVN–u), słusznie grzmiał na Forum Ekonomicznym w Krynicy–Zdroju (2018): *„ — Coraz mniej jest, niestety, dziennikarstwa rzetelnego, misyjnego! Jesteśmy świadkami absolutnego upadku obyczajów dziennikarskich!”*.

Gdy idzie o tę *„rzetelną misję”* salonową/opozycyjną, to niewątpliwie hucpiarski prym pośród telewizyjnych serwisów informacyjnych wiodą właśnie „Fakty”. Ostatnia ich edycja z roku 2018, podsumowująca ów rok, zawierała m. in. krótką informację, że Brett Kavanaugh, Trumpowski nominat do Sądu Najwyższego, został oskarżony o molestowanie i gwałt, kropka. Manipulatorom TVN–owskim serwującym tę wiadomość nie przeszkadzał fakt, iż kilka miesięcy wcześniej Kavanaugh został całkowicie oczyszczony i zaprzysiężony jako sędzia SN, dowiedziono bowiem, że główna oskarżycielka łgała i przed badaniem jej prawdomówności szkoliła się w oszukiwaniu wariografu, zaś jej promotorka zeznała na posiedzeniu komisji senackiej: *„ — Tak, owszem, kłamałam, ale kłamałam w dobrej sprawie!”*. Oni zawsze łżą *„w dobrych sprawach”*. Gwoli — że przywołam jeszcze raz pana Durczoka — *„dziennikarstwa misyjnego”*. Równie misyjnego co obsceniczna agitacja kręgów LGBT, lejąca się na społeczeństwo niby spust Trzaskowskich fekaliów do Wisły.

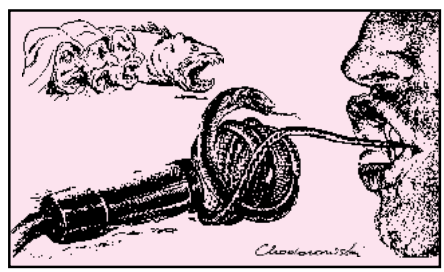

Gdy idzie o wiadomości z kraju — TVN „rzetelnością” przelicytowuje nawet swe *„newsy”* z zagranicy. Od samiutkiego rana wszystkie TVN–owskie serwisy informacyjne (czyli monotonna mantra polityczna misjonarzy tej stacji, będącej własnością amerykańskiego lewactwa *„liberalnego”* vel salonowego) zaczynają się przywitaniem widzów tradycyjną formułką: *„ — Dzień dobry”*, po czym leci ciąg tłumaczeń dlaczego tak nie jest, vulgo: czemu dzień jest fatalny za sprawą PiS–u, oraz czemu TVP kłamie. Dla uwiarygodnienia przekazu wzywa się celebrytów, chętnie *„twórców”*, jak literat Adam Zagajewski, przyjaciel Róży Thun i Donalda Tuska, ultralewak eksportowy (na politporawny panelowy obiad internacjonalny prezydent Macron do Pałacu Elizejskiego zaprosił jako Polaków trójkę: Michnik, Zagajewski i Anne Applebaum), a ten usłużnie gada: *„ — Sam fakt istnienia tej ohydnej telewizji państwowej powinien w każdym człowieku, który ma szacunek do siebie, budzić potrzebę protestu. To jest medium, z którego codziennie wylewa się pogarda, w którym obowiązuje brak elementarnego szacunku dla prawdy. Zupełnie jak w Russia Today”* (2019). Warto przypomnieć Zagajewskiemu i jego komilitonom jak wyglądał w TVP *„elementarny szacunek”*, gdy tą stacją kierowali salonowcy. Podczas debaty telewizyjnej między Tuskiem a Lechem Kaczyńskim (wybory prezydenckie w roku 2005) *„niezależni dziennikarze”* mieli traktować obu kandydatów sprawiedliwie, jednakowo. Pierwsze pytanie zadali Kaczyńskiemu: *„ — Dlaczego tyle rzeczy zrobił pan źle będąc prezydentem Warszawy?...”*. Drugie pytanie skierowali do Tuska: *„ — Dlaczego, według pana, Lech Kaczyński zrobił tyle rzeczy źle będąc prezydentem Warszawy?...”*.

Prócz celebrytów, artystów i tfurców Salon werbuje do walki medialnej *„ekspertów”*, czyli cięższy (scjentyczny) sort *„niezależnych komentatorów”*. Tych nie brak na rodzimym rynku opinii — jeśli któreś opozycyjne medium potrzebuje jakiegoś gorliwego antypisowsko kretyna do odegrania roli eksperta, może go sobie spokojnie kupić w platformerskim sklepie z kretynami. Istnieje tu też wymiana międzynarodowa z Salonem zachodnim, wedle łacińskiego *„manus manum lavat”* (ręka rękę myje). Służą do tego salonowi *„middlemeni”* priwiślińscy skarżący się cudzoziemcom na kraj zarządzany przez pisowską złą zmianę, tudzież polskojęzyczni europarlamentarzyści w typie Boniego lub Róży Thun und Händehoch (czy jakoś podobnie), prowadzący wobec PiS–u kampanię defamacyjną. Przed tegorocznymi wyborami do europarlamentu znany goszystowski tygodnik francuski **„L’Express”** opublikował duży artykuł o Polsce, budując swe bardzo krytyczne opinie kontrpisowskie na wypowiedziach pięciu polskich *„niezależnych komentatorów”* — byli nimi: Aleksander Kwaśniewski, Radosław Sikorski, Ryszard Schnepf, Konstanty Gebert i *„anonimowy dyplomata”*. Czy trzeba dodawać coś więcej?... ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 74272a8403

ROBISZ ZAKUPY DAJESZ SZANSĘ

#DobryKierowca

Kupując na stacjach ORLEN, wspierasz
PROGRAM STYPENDIALNY DLA DZIECI Z RODZINNYCH DOMÓW DZIECKA

Fundacja ORLEN od 2001 roku wspiera kilkaset Rodzinnych Domów Dziecka, fundując stypendia, programy edukacyjne oraz wyjazdy wakacyjne dla ich wychowanków.

Dowiedz się więcej na:
www.dobrykierowca.orlen.pl

ORLEN

eprasa.pl 74272a8403